

ANTOLOGIA TEKSTÓW

uczestniczek wyzwania "Nie mogę, bo piszę"

3

“Nie mogę, bo piszę”

NR 3

antologia tekstów uczestniczek trzeciej edycji wyzwania
“Nie mogę, bo piszę” (kwiecień - sierpień 2026)

Oddaję w Twoje ręce trzeci numer antologii “Nie mogę, bo piszę” z tekstami uczestniczek intensywnego wyzwania pisarskiego trwającego od kwietnia do sierpnia 2026 r.

Jeśli masz ochotę dołączyć do wyzwania i wydać swój tekst w kolejnej antologii zapraszam Cię po szczegóły na aleksandramakulska.pl.

Miłej Lektury!

Aleks ♡♡

Autorki:

Sonia Zając
Izabella Prochal—Kuchcińska
Anna Lechert
Marta Norenberg
Joanna Furdal
Kamila Kamińska
Wiesia Paszek
Sandra Solińska
Natalia Wrzesień
Ewelina Anna Zawadzińska—
Zawadzka
Julia RoguszczaK
Kasia Klein
Agnieszka Dziedzic
Marta Wieniawska
Sylwia Duda
Barbara Mytnik
Kamila Zięba

Agnieszka Ładocha
Paulina Świątecka
Agnieszka Malec
Anna Seredyka
Magdalena Szczepańska
Milena Malicka
Justyna Wenecka
Agnieszka Płuciennik
Monika Kwit
Natalia Miłtuńska
Agnieszka Herbut
Joanna Szałkowska
Sylwia Lenkiewicz
Triska Sky (Dorota Wojtanek—
Tylek)
Sylwia Dec
Anna Krasińska
Małgo Potocka

SPIS TREŚCI

FIKCJA	6
BĄBELKOWE LOWE Sonia Zając.....	7
ĆMA – CZĘŚĆ DRUGA Izabella Prochal – Kuchcińska.....	11
WŁADZA Anna Lechert.....	16
KŁÓTNIA Marta Norenberg.....	19
KOŁTUN Joanna Furdal.....	24
2005 Kamila Kamińska.....	29
KRZYK Wiesia Paszek.....	32
O NIC SIĘ NIE MARTW Sandra Solińska.....	35
SZEPTY I KRZYKI Natalia Wrzesień.....	38
WIZYTA W KOCIOLANDII Ewelina Anna Zawadzińska – Zawadzka.....	44
RÓWNOLEGŁE ŚWIATY Julia Roguszczyk.....	47
ZIELNA Kasia Klein.....	51
PHOENIX Agnieszka Dziedzic.....	56
PRAWDZIWE IMIĘ Marta Wieniawska.....	61
CZUŁOŚĆ Sylwia Duda.....	67
KSIĄŻKI, KTÓRYCH NIE BYŁO Barbara Mytnik.....	71
WIOLETTA I KORPOIMPREZA. KĄCIK CZUŁYCH WRÓŻB. Kamila Zięba.....	76
USŁYSZ SZEPT NATURY Agnieszka Ładocha.....	83
CÓRA ZIEMI Paulina Świętecka.....	86
MOKOSZ Agnieszka Malec.....	91
FIRANKI Anna Seredyka.....	95
CZEREŚNIA Magdalena Szczepańska.....	97
W IMIĘ LUDZKOŚCI Milena Malicka.....	104
WYSZLIŚMY PO DOM Justyna Wenecka.....	109
ZŁOTY KOLCZYK Agnieszka Płuciennik.....	115
ZNIKAJĄC Monika Kwit.....	119
BEZA Natalia Miłtuńska.....	123
POD CIENIEM BIAŁYCH KAPTURÓW Agnieszka Herbut.....	129
UCIECZKA Joanna Szatkowska.....	136
ŻOŁĘDZIE Sylwia Lenkiewicz.....	139
UMIERA OSTATNIA Triska Sky (Dorota Wojtanek – Tylek).....	141
KRYSTYNA BEZ GODNOŚCI Sylwia Dec.....	146
KSIĄDZ Anna Krasieńska.....	153

NON – FICTION.....	157
CYKL ŻYCIA MOTYLA Justyna Wenecka.....	158
POŻEGNANIA I POWROTY (DO SIEBIE) Agnieszka Płuciennik.....	162
NI UNA MÁ Monika Kwit.....	165
TAK SIĘ NIE ROBI Natalia Miłutńska.....	168
WŁADZO! ILE CIĘ TRZEBA CENIĆ, TEN TYLKO SIĘ DOWIE, KTO CIĘ STRACIŁ Agnieszka Herbut.....	174
KRZYKI I SZEPTY Joanna Szałkowska.....	179
PARASOL Sylwia Lenkiewicz.....	181
WYWIAD Z PRZYJACIÓŁKĄ Joanna Furdal.....	183
KIEDY KRZYCZĘ Małgo Potocka.....	188
PTASIE MÓŻDŻKI Kamila Kamińska.....	189
W HOŁDZIE BABCI ANASTAZJI Ewelina Anna Zawadzińska – Zawadzka	192
LET’S DANCE Kasia Klein.....	197
NAUCZYCIELE Agnieszka Dziedzic.....	201
FRANKENSTEIN CZYLI MOJE MAŁE UCIECZKI Sylwia Duda.....	204
KORPO – SRORPO, CZYLI PLUSZOWE KORPOKAJDANKI Kamila Zięba....	208
POWRÓT DO SIEBIE Paulina Świętecka.....	211
JĘZYK JAKO ZAMKNIĘTA PRAKTYKA Anna Krasińska.....	214

FIKCJA

BABELKOWE LOWE

Sonia Zając

— Michaś ma dziewczynę, Michaś ma dziewczynę — podśpiewywał dumnie mały chłopiec klaszcząc w dłonie i podskakując na rozgrzanym od lipcowego słońca miękkim piasku.

— I to niejedną — skomentowała ze śmiechem babcia malca. — Michaś w przedszkolu podrywa chyba wszystkie koleżanki. Ostatnio dał buziaka Helence. Niejedna będzie przez niego kiedyś płakała. Całe towarzystwo wybuchło gromkim śmiechem.

— Mój Michaś łamacz serc! — popatrzył z dumą Jarek — tata chłopca. Niski, ale rośły brunet, którego przedramiona były ozdobione wszystkimi kolorami tęczy i jego ulubionymi sentencjami. Na lewej ręce dumnie widniało drukowane Carpe diem, na prawej Yolo, a kark zdobiło wypisane gotykiem Persona non grata. Jaro jakiś czas temu rozpoczął onlinowy kurs filozofii, a wszystkie ważne, złote myśli, które prowadziły go przez życie zapisywał na swoim ciele, w umyśle i w kupionym ostatnio na pchlim targu notesie z wizerunkiem Marka Aureliusza, którego podziwiał całym sercem.

— Hej młody, zanieś Emilce muszelkę, bądź dżentelmenem — zachęcał synka podając mu blad różową sercówkę. — Idealna na prezent dla narzeczonej! Michaś przez chwilę się wahał. — Ale ja się wstydzę — wymamrotał pod nosem. — No co ty chłopaku! Carpe diem! Nie ma się czego wstydzić. Jesteś facetem, dasz radę! Idź daj prezent i buziaka koleżance. Szybko, szybko, tempus fugit — zachęcał Jaro i zarechotał wesoło.

Chłopiec przez chwilę kopnął jeszcze stopą w piasku, ale babcia i mama zaczęły bić brawo więc zebrał w sobie całą odwagę. Wziął głęboki oddech i w podskokach pognął do sąsiedniego parawanu mocno ściskając w piątce prezent. Jaro wyciągnął z plecaka smartphona i poszedł w ślad za synem.

Emilka akurat dreptała w stronę swojej budowali z piasku dźwigając plastikowe wiaderko pełne morskiej wody i glonów. Michaś podbiegł do niej, cisnął w jej stronę muszelkę krzycząc coś niezrozumiale. Już chciał wracać na swój koc, ale postanowił, że dziś będzie najodważniejszy na świecie. Tata coś mówił o carpe diem, że trzeba coś chwycić, dlatego podbiegł do dziewczynki, chwycił ją w ramiona i mocno przytulił. — Kocham cię i lubię — sepleniał jej do ucha nie puszczając uścisku.

Emilka zachowywała się jakoś dziwnie, ale może mu się wydawało? Tata z tyłu kręcił filmik więc Michaś wyszczerzył się w uśmiechu i ścisnął mocniej. Mama z babcią klaskały, a on czuł radość i dumę jakim jest dżentelmenem. Nie do końca rozumiał co to znaczyło, ale musiało to być coś dobrego skoro dorośli robili wokół tego tyle szumu.

— Jakie słodziaki — rzuciła mama Emilki, która właśnie wychyliła się zza bladoróżowego parawanu w paski. — No jeszcze jeden buziak bąbelki — zachęcała wyciągając z plażowej torby telefon. — Nie ma nic słodsze niż takie maluchy! — zaszczebotały matki obojga. A im głośniejsze pisały, tym mocniej Michaś ścisnął i pękał z dumy.

Jak długo tak trwali? Emilka nie wiedziała. Wydawało jej się, że to musiało być 100 godzin. Przez cały czas stała nieruchomo. Właściwie nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Nie знаła tego chłopca. Poznała go dzisiaj na plaży, kiedy nagle podbiegł do niej i dał buziaka. To było dziwne, ale szybko zniknął więc dziewczynka nie zaprzętała sobie tym głowy. Teraz wrócił i nie chciał jej puścić. Ścisnął i ścisnął, a dorośli cieszyli się i cieszyli. Bili brawo i wiwatowali. Miała wrażenie, że jednak coś jest nie tak, ale mama też klaskała i filmowała więc chyba wszystko było w porządku? Jakby na potwierdzenie tych myśli dziewczynka usłyszała głos mamy.

— Emiś co masz taką skwaszoną minę? Uśmiechnij się trochę! Nie bądź taka naburmuszona. Mama ścisnęła w rękę telefon i cykała zdjęcie za zdjęciem. — No Emiś noooo. Nie można być takim ponurakiem, bo chłopcu będzie smutno. Patrz jaki jest miły. Dał ci prezent — chichotała zachwycona bąbelkowymi zalotami i dumna, że jej mała gwiazdeczka znalazła adoratora.

Emilka przełknęła łzy, które ścisnęły jej gardło. — Nie becz — skarciła się w myślach. Przecież nic się nie dzieje — powtarzała raz za razem, chociaż marzyła o tym, żeby ten mały chłopiec, któremu z nosa leciały ohydne, lepkie gluty ją puścił. Ten mocny uścisk ją bolał, drętwiała jej ręka, bolało ją ramię. Żeby czas szybciej minął, wyobraziła sobie, że jest w Krainie Lodu i Elsa wszystko zamroziła i dlatego nie może się ruszyć. Wtedy ramię bolało trochę mniej, a ona mogła fantazjować, że jest dzielna jak Anna i jej obdarzona magicznymi mocnymi siostra.

Co jakiś czas coś w jej głowie, serduszku i brzuchu wybijało ją ze snu na jawie i biło na alarm. Sprawiało, że miała ochotę krzyknąć. Potem jednak przypominała sobie, że mama, babcia i ciocia Agnieszka zawsze powtarzały, że grzeczne dziewczynki nie krzyczą, nie rechoczą, nie grymaszą. Powtarzały, że z takimi co są rozwrzeszczane, niemiłe i naburmuszone nikt nie będzie chciał się bawić, a już na pewno taka to sobie kawalera nie znajdzie.

Emilka wzięła głęboki oddech. Jest tylko małą 5 letnią dziewczynką. Przecież cały świat, świat mamy, taty i tego dużego pana z kolorowymi napisami na ciele, świat dorosłych wie. Pilnuje. Stoi na straży. Przecież musi być wesoło skoro wszyscy tak się cieszą. Tylko jej się wydaje, że ramię boli, że ten chłopiec ścisną za mocno, że ona chce do mamy albo może do domu, bo już jej się na tej plaży nie podoba. Ale nie będzie grymasić, bo wszystkim będzie przykro. Da radę tak jak Kopciuszek znosił dokuczanie sióstr i macochy i podśpiewując wesoło szorował podłogi, okna i talerze. A może zakocha się bez pamięci w tym chłopcu z plaży tak jak Arielka, która oddała swój głos byle tylko być z ukochanym znalezionym na morskim brzegu?

Nagle, bez ostrzeżenia Michaś w końcu rozluźnił uścisk. Wreszcie ją puścił. Jego mama chyba wyciągnęła chrupki kukurydziane i to było bardziej zachęcające niż tulenie nowej dziewczyny. Emilka odetchnęła. Poczuli jak jej ciało się rozluźnia, chociaż jeszcze przez chwilę stała nieruchomo. Poszedł. Skończyło się. Uffff.

Emilka powoli poczłapała w stronę swojego zamku z piasku. Po drodze podniosła zgubione wiaderko i plastikową, niebieską łopatkę. A potem wszystko działo się bardzo szybko. Michaś nadbiegł znowu piszcząc coś niezrozumiałego.

Przebiegł jak słoń po jej budowali niszcząc wszystko w drobny mak. Potem złapał ją za rękę, szarpnął i pociągnął za sobą.

— Lody, lody, chodź na lody! — krzyczał wesoło ciągnąc Emilkę za sobą, a ona czuła, że to wszystko zaraz z niej wypłynie. Wydostanie się na zewnątrz, chociaż wie, że nie wolno. Przecież tak się starała, żeby było miło, ale jej małe ciało już tego nie pomieści. I wtedy Emilka potyka się o jakąś dziurę, wpada w piasek i zaczyna płakać. Łzy lecą niekontrolowanie. Buzia robi się purpurowa, a gluty ciekną po brodzie. Dziewczynka wyje na całe gardło, piszczy, krzyczy i wali pięściami w piasek wrzeszcząc w stronę Michasia zostaw mnie i powtarza to raz za razem.

Świat jakby się zatrzymał. Wszyscy patrzą, gapią się, nikt nic nie mówi. Jakby teraz oni byli w Krainie Lodu. Tylko mama się porusza. Idzie pośpiesznie w jej stronę, tym razem bez telefonu, bez uśmiechu, bez oklasków. Za to z wyrazem zaskoczenia, strachu i zatroskania na twarzy. Jakby nagle coś zrozumiała. Jakby krzyk córki wyrwał ją z jakiegoś odrętwienia. Emilka widzi to w jej oczach i ma pewność, że wreszcie może odetchnąć, że mama jest tu z nią, że w końcu jest bezpieczna. Potem czuje już tylko ciepło jej ramion, które delikatnie ją otulają i ciche, prawie niesłyszalne przepraszam, które mama szepta jej do ucha.

ĆMA — CZĘŚĆ DRUGA

Izabella Prochal—Kuchcińska

Jest to fragment dłuższego tekstu o roboczym tytule „Ćma”, którego całość będzie można znaleźć na [moim profilu](#).

Na zewnątrz wiatr uderzył z taką siłą, że zaparło mu dech w piersiach. Postawił kołnierz kurtki, aż poczuł względny komfort. W miejscu, w którym stał, powietrze nie cuchnęło już stacją benzynową, ale niosło ze sobą zapach słonej wody i ten drugi, kojarzący mu się od zawsze z płynem do podłóg — zapach kwitnących drzewek pomarańczowych. Właśnie zaczynał się sezon. Ludzie zachwycali się tym aromatem, ale on nie podzielał ogólnej opinii. Zresztą jego gust w ogóle rzadko pokrywał się z gustami ogółu...

Gdzie jesteś? Dokąd poszłaś?

Gdyby nie wiatr i wszystkie jego szумы i trzaski, był pewien, że wokół panowałyby niczym niezmacona cisza. Ciężarówki na swoich miejscach parkingowych, z zaciągniętymi zasłonkami kabin, ukrywały śpiących kierowców. Tuż obok zbiornika z LPG stała niewielka srebrna KIA, pewnie należąca do kelnerki w lokalu. Wokół żywej duszy, choć wszystko trzęsło się i szamotało na wietrze, tak że niemal nie było słychać przejeżdżających autostradą samochodów.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch — coś przebiegło między srebrną osobówką, a dorodnymi kaktusami, rosnącymi na trawniku. Szczur. Długi ogon zwierzątka rzucił cień, przez co szczur wydawał się mu dwa razy większy niż normalnie.

Wiatr znów uderzył, obsypując go potarganymi liśćmi i piaskiem.

Dobra, czas działać.

Cofnął się i zawrócił w stronę swojego auta. Wbił ręce w kieszenie, częściowo po to, żeby je ogrzać, a częściowo, by wyczuć w jednej z nich niewielki kształt kieszonkowego paralizatora, a w drugiej kluczyki. Nie rozstawał się z nimi nigdy.

Nieraz ratowały mu tyłek, a przy jego trybie życia, umiejętność ratowania się z opresji to podstawa.

Podszedł do samochodu i wszedł do środka. W schowku od strony pasażera miał trytytki i szmatę. Nie wypakował ich po ostatnim i ponownie pomyślał, że to wszechświat daje mu znak, że dziś jest dobry dzień na zabawę. Zwłaszcza, że zaraz go tu nie będzie i to na długo. Pochylił się, otworzył schowek i sięgnął do środka. Nagle poczuł z tyłu głowy ułucie. Jakiś ostry przedmiot wbijał mu się w podstawę czaszki, niczym gwóźdź.

— No te muevas!¹ — Niemal niesłyszalny w panującym szumie szept zabrzmiał tuż przy jego uchu. Nie widział dziewczyny, ale poczuł powiew jej oddechu na swojej skórze. Ona nie mogła dojrzeć uśmiechu, który wykwitł na jego twarzy, zanim na powrót stała się ona niezmaconą emocjami maską. W środku aż zachichotał.

A ja się chciałem za nią uganiać po krzakach.

Teraz musiał tylko umiejętnie poprowadzić rozmowę, która — w to nie wątpił — zaraz nastąpi. Wkrótce jego sytuacja się odmieni. Tego był pewien. Nie ruszał się, zgodnie z poleceniem i czekał. W końcu zrobi się jej niewygodnie.

Zamarli w milczeniu. On przechylony w stronę schowka, wsparty na siedzeniu pasażera. Ona, zapierając się o oparcie fotela kierowcy z ręką wysuniętą w stronę jego głowy. Czuł wyraźnie, jak ucisk ostrego narzędzia na jego skórze raz zwiększa się, raz maleje. Ręka zaczynała jej drżeć. Dziewczyna ewidentnie była zmęczona i zdenerwowana. Nie wiadomo kiedy ostatni raz jadła. Mogła zaatakować szybko, ale nie była przygotowana na trzymanie wroga w szachu dłużej. W przeciwieństwie do niego. On miał czas, wystarczająco dużo czasu. Pośpiech podczas polowania nie jest wskazany.

Nagle wewnątrz samochodu rozbłysło światłem. Z autostrady w stronę stacji zjeżdżał powoli samochód. Plastikowa belka na dachu odbijała światło latarni, a na ciemnogrnatowym boku widniał biały, dobrze widoczny nawet z daleka napis "Policía Nacional".

Dziewczyna syknęła i na moment odsunęła ostrze od jego głowy. Jej napięcie wypełniało niemal namacalnie wewnątrz samochodu. Wtedy podjął decyzję, która

¹ Hiszp. Nie ruszaj się!

później wydawała mu się zupełnie irracjonalna, sprzeczna z tym, co robił i dlaczego. Może to wina Mistrala, może nocy, może czegoś innego, ale gdy słowa opuściły jego usta, było już za późno.

— Jeśli chcesz się stąd wydostać, właśnie masz szansę. Jeśli ktoś cię szuka, za chwilę trafisz na patrol, który zawinie cię do domu. — Jego wypowiedziane półgębkiem słowa zdawały się nie docierać do dziewczyny, więc spróbował ponownie. — Żaden kierowca nie weźmie małolaty na pokład, ryzykując przy każdej kontroli drogowej. Lepiej odłóż to, co masz w ręce i zachowuj się normalnie. Jeśli teraz odjedziemy, policjanci nie zwrócą na nas uwagi. Tylko pozwól mi się wyprostować. Chyba, że wolisz wysiąść, to teraz jest ten moment.

Kontrole samochodów w tej części Hiszpanii nie były wcale tak rzadkie. Cieśnina gibraltarska była od dawna miejscem, do którego przybywali tłumnie uchodźcy. Część z nich miała już zapewniony transport, część ukrywała się na pakach samochodów, albo próbowała osiągnąć wymarzony cel podróży wszystkimi dostępnymi metodami. Po drogach krążyły liczne patrole, a odmowa przeszukania wozu mogła się skończyć czymś dużo gorszym niż mandat. Szczególnie, jeśli nie chciało się zostać zidentyfikowanym. On sam hołdował zasadzie, że publicznie porusza się zwykłym autem z wypożyczalni, nie zostawia w nim żadnych śladów. Im mniej rzucał się w oczy, tym lepiej.

Dziewczyna milczała, ale w końcu podjęła decyzję i odsunęła się od niego. Głośno odetchnął z ulgą i powoli, trzymając ręce na widoku, wyprostował się na swoim siedzeniu. Spojrzał w lusterko, ale w ciemności widział tylko podbródek wystający spod kaptura.

— Dobra decyzja. Teraz wyjmę z kieszeni kluczyki i odpalę. Nie obawiaj się. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Jeszcze.

Nic nie smakowało tak dobrze, jak zniszczenie wcześniej zbudowanego zaufania. Wiedział, że próba szarpania się z dziewczyną i paralizatorem tuż pod nosem policji nie ma najmniejszego sensu. Wyjął kluczyki z kieszeni, włożył do stacyjki i przekręcił, gdy nagle w lewym lusterku zamigotało światło. Ktoś z latarką

w ręku szedł w ich stronę, oślepiając go. Nie widział nic, dopóki młody policjant nie zapukał w szybę samochodu od strony kierowcy.

Nie było sensu ruszać, uciekać, ani kombinować. Jedyne co mógł zrobić, to udawać praworządnego obywatela i nie dać gliniarzowi żadnego pretekstu do wylegitymowania. Uchylił szybę z uprzejmym uśmiechem, wyrażającym najszczerze zdziwienie tym nocnym spotkaniem.

— ¡Buenas!² Nie zostawił pan przypadkiem? — W dłoni policjant trzymał mały czarny przedmiot.

— Nie, to nie mój móvil³. — Pokręcił głową, zadowolony, że nie musi uciekać się do kłamstwa i że gliniarz najprawdopodobniej zaraz się odczepi. — Telefon mam w kieszeni.

Policjant poświecił na niego latarką, zajrzał do środka i zeszytniał, widząc na tylnym siedzeniu dodatkową osobę. Zakapturzoną i milczącą. Jego ręka odruchowo sięgnęła do kabury zawieszanej na biodrze, kiedy dziewczyna poruszyła się i pochyliła w jego stronę.

— To mój. Musiałam zapomnieć ze stolika, bo znów mnie poganiałeś. — W jej głosie zadźwięczała typowa dla nastolatków pretensja. Wzięła telefon i szybkimi ruchami odblokowała ekran. Odwróciła go do policjanta, udowadniając, że aparat należy do niej.

— Tata zawsze mnie pogania. Jakbyś nie pił tej kawy, to bylibyśmy już w domu! — Burknęła i opadła na oparcie, zakładając buntowniczo ręce.

Policjant rozluźnił się i odsunął od ich samochodu.

— Z daleka jedziecie?

— Z Kadyksu. Wizyta rodzinna, a że droga przedłużyła się, zjechałem na kawę.

— Słuszna decyzja. Rosalia ma najlepszą kawę w okolicy. Proszę jechać ostrożnie i pilnować swojej własności! — Zasalutował do czapki i odwrócił się na pięcie.

Dopiero, gdy światła samochodu zniknęły na zjeździe na autostradę, policjant pomyślał, że kierowca wyglądał wyjątkowo młodo, jak na tak wyrośniętą córkę. Nie

² Hiszp. Witam! Dobry wieczór! (nieformalnie)

³ Hiszp. Telefon komórkowy

zaprzętał sobie tym jednak głowy, bo jego służba kończyła się za kilka godzin i zamierzał je spędzić w zaciszu stacji, nad kawą, żeby choć trochę odpocząć od tego przeklętego wiatru.

Kiedy wyjechali na autostradę, dziewczyna wyjęła telefon z kieszeni, uchyliła okno i wyrzuciła go na pobocze. Gdy zasunęła szybę, ich oczy spotkały się w lusterku i zobaczył, jak wzrusza ramionami.

— No co, mieli mnie namierzyć po tym telefonie? Celowo zostawiłam go na stacji.

WŁADZA

Anna Lechert

Kaśka obudziła się jak zwykle o 6 rano. W odbiciu lustra zobaczyła szarą plamę z workami pod dwiema przekrwionymi kropkami. Zimny prysznic niespecjalnie pomógł się wybudzić. W sumie — dlaczego miałby? Przecież zwykle działał tylko na jakieś 15 minut. Natomiast wypicie mocnej kawy z ekspresu w eleganckiej różowej filiżance, pomogło wysłać komunikat do wzdętych jelit: CZAS NA KIBELEK. To był za każdym razem szczególny czas: tylko ona i najnowszy Samsung Galaxy w białym etui z różowymi i błękitnymi jednorożcami. Sami w toalecie metr na metr przez około 15 minut, dopóki alarm nie krzyknął: PODCIERAJ TYŁEK I RUSZAJ DO ROBOTY.

Niedawno zaczęła jeździć do pracy tramwajem zamiast samochodem. Zauważyła, że ma wtedy więcej czasu na scrollowanie, a znajomym mówiła, że tak jest przecież ekologicznie, bo stary czarny Opel, na dodatek diesel, rozsiewa wokół śmiercionośne spaliny.

— No jasne, Kaśka — odparła Monika, gdy usłyszała w pracowniczej kuchni o tym nowym pomysśle. Poprawiła okulary u nasady nosa. Robiła tak za każdym razem, gdy nie wiedziała, co mówić dalej w trakcie codziennego small talku przy kawie. Potem potarła nos środkowym palcem prawej dłoni.

— Kurczę Kaśka. Ja myślę, że to naprawdę świetny pomysł — odezwał się chudy Krzysiek, mówiący niewyraźne “r”.

Gdyby Kaśka miała wybrać najbardziej nieatrakcyjnego faceta na świecie, to byłby to właśnie on. Szara koszula i granatowe jeansy wraz z nieodłączną mgiełką spoconej pachy. Czasem zastanawiała się, czy gdzieś w głębi duszy leci na nią.

Monika, nowa pracownica, nic nie powiedziała, tylko postanowiła pokazać aparat ortodontyczny w przymuszonym uśmiechu.

— A ja bym nie mogła tramwajem. Za dużo śmierdzących ludzi — Beata jak zwykle głosem bez entuzjazmu przedstawiła swoje zdanie. Poprawiła przy tym włosy za prawym uchem.

Cała czwórka spojrzała z lekkim niedowierzaniem. Bo nikt nie sprzeciwiał się wcześniej Kaśce, szefowej działu rozliczeń. Albo nie używał tak dobitnych opinii.

Nastąpiła chwila ciszy.

Pierwsza odezwała się Kaśka:

— No no. Tak tak. Rozumiem. Czasem się i tak zdarza — skubała włosy z boku głowy, po czym zaczęła się śmiać.

Śmiech roznosił się falą po małej kuchni i zostawił wśród reszty pracowników poczucie winy za koleżankę.

Beata stała nieruchomo, ale jej oczy rozglądały się po bokach. Wąskie usta zastygły.

— Chociaż jechałam dwa tygodnie temu do mamy, bo akurat tak się zdarzyło i spoko było — rozciągnęła usta w szerokim bezzębnym uśmiechu. — Ale może dlatego, że jechały ze mną może z trzy osoby.

Tu urwała i wydobyła z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak "Hehy". Na ostatniej sylabie wyraźnie wzięła wdech i tak z nim została kilka sekund.

Kaśka zmrużyła oczy w sztucznym uśmiechu, chciała zakończyć niby rozmowę, by oddać się scrollowaniu jeszcze przed briefingiem.

— Dobra, to chodźmy wtedy. Jest końcówka miesiąca, dużo pracy. O 9:30 opowiecie, czym się dziś zajmujecie.

Jedno za drugim ruszyło przed siebie do swych biur, które wraz z fotelami tworzyło bezpieczną bazę.

Kaśka odstawiła kubek na swoje biurko, chwyciła telefon i szybkim krokiem wyszła z pokoju. Reszta patrzyła, jak znika w toalecie naprzeciwko.

W kabinie opuściła klapę bidetu, rozsiadła się i odpaliła shortsy na Jutjubie.

Uwielbiam przemycać azjatyckie smaki do polskiej kuchni...

Stuknięcie o szybkę i palec do góry.

Marek! Zamów pizzę na kolację!

Po co? Przecież robię.

Pokażemy ci jak!

Stuk i ziup.

Największy przekręt na półce z jogurtami. Zaraz wam wyjaśnię, tylko zasubskrybujcie mój kanał.

Stuk i ziup.

Romina Palejczuk i Oskar Michałowski wzięli bajkowy ślub. Suknia aktorki to obłęd.

Tu palec się zatrzymał i zjechał w dół telefonu odkrywając komentarze:

Wszystko pycha i na pokaz.

Całuje i patrzy czy filmuje. Szok.

W dupie się przewraca konkretnie.

Wyreżyserowane do bólu.

Nagle do toalety wchodzi Beata. Kaśka wie, że to ona, bo jej buty, niby martensy, odzywają się charakterystycznym “pip” w momencie odbicia stopy od podłogi. Siada na sedesie w kabinie po lewej stronie Kaśki, po czym nastaje cisza. Każda z nich stara się oddychać jak najciszej. Pierwsza wychodzi Kaśka, spuszcza wodę dla niepoznaki i podchodzi do umywalki. Po chwili zjawia się Beata. Myją dłonie ze spuszczonymi głowami.

— Beata.. Chciałam ci coś powiedzieć.

— Ooo... No?

— Szanuję twoją pracę.

— Ja swoją też — bąknęła Beata.

Dwa wymuszone uśmiechy. Chwila ciszy. Wycierają dłonie i wychodzą.

Za chwilę zaczynał się briefing.

KŁÓTNIA

Marta Norenberg

Tekst jest fragmentem powstającej właśnie humorystyczno—obyczajowej minipowieści o perypetiach Maliny, Jędrusia i Halinki. Trzy pokolenia, dwie linie fabularne, jeden przedmiot, który łączy wszystko w całość.

Dorosłość. Gdzie jest granica. Kiedy ją osiągamy, co jest wyznacznikiem? Czy tylko metryka, lista dokonań, a może wystarczy świadectwo dojrzałości, a może ukończone studia?

Te ostatnie od razu mogę wykreślić, nikt w mojej, znaczy w naszej rodzinie, nie ma wyższego wykształcenia, miałam być pierwsza. Mama nie mogła przeboleć, że je porzuciłam. Kolejny zawód, który jej sprawiłam, kolejne niespełnione oczekiwanie i tak od zarania Chrystusa. W końcu nie wytrzymała, czekałam, aż to nastąpi, wzbierało to w niej jak powodziowa rzeka. Gęstniało, narastało, nabierało mocy.

Przydybała mnie w mieszkaniu babci, dobrze wiedziała, że to mój azyl. Schron przeciw wszystkim jej humorom i wymaganiom. Wieczna kontrola i ocena, autodestrukcja. W końcu i bez jej nadzoru ją stosuję, byleby tylko nie zmartwić mamy, byleby jej nie zdenerwować. Strofuję się nawet jak matka nie widzi, kontroluję się, żeby nie powiedzieć zbyt dużo. Przesiąkłam jej słowami do szpiku kości, ale więcej nie wchłonę. Poczułam się jak ciasto nasączone rumem, które zamiast nabrać smaku zaczęło rozpadać się i zmieniać w odpychającą pulpę. Niezdatną do jedzenia, niezdatną do życia.

Akurat malowałam wzory na ścianie w twoim pokoju. Maleńkie łódeczki kołysane przez wiatr na wodnych falach. Nigdy nie lubiłam wody, ale czuję, że to będzie twój żywioł, po tacie. Choć najpierw będziesz musiała pokonać lęki babci, nie daj się jej malutka, nie poddawaj się, jak ja. Te łódki przelały czarę goryczy, którą wylała na mnie z impetem.

- Jesteś niepoważna, o czym ty myślałaś?
- Mamo przestań, jestem dorosła.
- Dorosła!?! — pytanie aż zaskrzeczało w jej gardle — chyba sobie żartujesz. Jak jesteś taka dorosła, to przestać zachowywać się jak dziecko. Weź odpowiedzialność!
- Właśnie to próbuję zrobić — czułam jak głos zaczyna mi drżeć, od tygodni, a może od lat nosiłam w sobie tę rozmowę, niewypowiedziany bunt. Teraz ja wzbierałam jak rzeka. Wielka. Niepowstrzymana, bura Amazonka.
- Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Jak zamierzasz sobie poradzić? Bez pracy, bez studiów, bez męża, za to z brzuchem? Zaraz wszyscy będą wiedzieli. Będą wytykać Cię palcami.
- A więc to jest twoja największa bolączka? Wstydzisz się mnie. Interesuje Cię tylko co inni powiedzą, jak zwykle. Twoja troska o moje zdrowie, to tylko płaszczyk na kupie wstydu.
- To nieprawda, przeinaczasz po swojemu. Troszczę się o ciebie od początku, od pierwszego oddechu, od pierwszej diagnozy. Czy ty w ogóle wiesz ile serca włożyłam w to, żebyś miała spokojne dzieciństwo, żebyś się nie przeciążała, to takie ważne w twoim stanie.
- Chorobie! Powiedz to wreszcie, ile lat można udawać przed światem, że Malinka taka delikatna, że nie może bo się uczy, bo pomaga babci, bo, bo i bo. Zamiast wprost powiedzieć, że choruję, ale jak zwykle opinia innych znów była ważniejsza ode mnie. Zamknęłaś mnie w klatce swoich wyobrażeń — czułam jak ucieka mi oddech, włosy lepią się do skroni, choć listopad nie rozpieszczał ciepłem, grzejniki też były przykręcone, ale nie dopuszczałam do siebie tych sygnałów, choć znałam ich konsekwencje.
- Od zawsze trzymasz mnie na krótkiej smyczy.
- Jak możesz ta mówić? Myślałam, że jesteś szczęśliwa. Zawsze byłaś taka grzeczna, nie marudziłaś, nic nie mówiłaś.
- Bo tego ode mnie oczekiwałaś! A ja chciałam się bawić, być jak inne dzieci. Ale ja nie jestem twoją własnością, już nie — wyrzessałam, ale na jej twarzy nie pojawiła się złość, już odczytała wszystkie symptomy. Zawsze widziała je przed

wszystkimi innymi, mikro zmiany, przyspieszony oddech, blednący zaróżowiony policzek. Wiecznie pod obserwacją.

— Spokojnie Malinko, nie unós się proszę. Zaszkodzi ci to — już zmieniała front, ton głosu, wyraz twarzy. Łagodna mamunia, której zazdrościły mi koleżanki — usiądź kochanie, przyniosę Ci szklankę wody. Już spokojnie. — jednak tym razem nie dałam się udobruchać, miałam gdzieś jej zgrabne słówka wymawiane jednostajnym, przyciszonym głosem, jak do przestraszonego szczeniaczka. Wyrzuciłam z siebie wszystkie żale.

— Wiesz dlaczego tak często tu wracam? — nie czekałam na odpowiedź — bo babcia mnie akceptowała, nigdy nie oceniała. Nie obchodziło jej, co powiedzą sąsiedzi na moje ręce ubabrane błotem lub na to, że połączyłam różową bluzkę z żółtą spódniczką. Do dziś pamiętam, jak szliśmy do kościoła i kazałaś mi się przebrać, bo te kolory się gryzą. Ona miała to gdzieś, bo mnie kochała. A ty za każdym razem to samo: nie wolno nie rób, zachowuj się. To byłam jak ta lalka, co dyga w rytm, który jej zagrasz. Mam tego dość. Tak bardzo dość. Chcę znaleźć mój rytm, choćby to miało przyspieszyć koniec. Chcę umrzeć szczęśliwa.

— Nie mów tak, wypłuj te słowa!

— Nie! Nie jestem twoją porcelanową lalką, twoim skarbem, który możesz zamknąć przed światem. Za długo żyłam pod kloszem. Co to za życie? Malinko to, Malinko tamto, nie biegaj, nie krzycz, basen nie dla ciebie, rower też nie, masz wypieki od tej książki, lepiej jej nie czytaj, nie emocjonuj się, nie jedz ostrego. Nie żyj! — krzyczałam bez opamiętania, nie słuchałam, co do mnie mówi, odtrącałam wyciągnięte do mnie dłonie. Do mojej świadomości przebił się dopiero jej krzyk, pierwszy jaki w życiu słyszałam. Cztery słowa, które zmieniły wszystko.

— Zrób to dla dziecka!

Nastała cisza, krzyki odbiły się od ścian i uleciały do sąsiadów. Twarz miałam zalaną łzami, dyszałam, jak po przebiegnięciu maratonu, choć to nigdy nie było mi dane. Powoli obraz przede mną zwężał się do tunelu o zamazanych krawędziach i z twarzą mojej matki na końcu. Padłam na kanapę, tę samą na której teraz siedzę i pisze te słowa. Po chwili wróciła mi świadomość. Mama znów paplała, choć łagodnie.

— Nie możesz się tak nadwyręzać, to za dużo stresu, złych emocji, one ci szkodzą.

Wsparałam się na łokciach, żeby złapać pion. Jak mawiał dziadek — zawsze lepiej przedstawiać swoje argumenty, gdy ciało przyjmie postawę pionową, horyzontalna odbiera siłę perswazji i resztki przytomności umysłu. Co prawda powtarzał to zawsze, gdy zbyt wiele wylał za kołnierz u wujka Józka, a babcia czekała u progu mieszkania z gradową miną. Usiadłam. Milczałam. Zastanawiałam się, w jakie słowa ubrać moje uczucia. Nigdy o nich nie rozmawiałam.

— Mamo pozwól mi żyć. Ja już się z tym pogodziłam, ta kosa wisi nade mną od urodzenia.

— Ale...

— Mamo! — podniosłam głos — wysłuchaj mnie.

— Ta porcelanowa lalka ma spękania od początku swojego istnienia. Dobrze wiesz, że w końcu się rozpadnie. Wszystkie drobne rysy, które pogłębiają się z każdym dniem w końcu się rozpękną. Rozsypie się na kawałki i zamieni w pył. Boje się tego tak samo jak ty, ale chcę przeżyć resztę życia po mojemu, chce się nim delektować, smakować, próbować. Chcę zostać mamą, choćby to miało trwać choćby tylko kilka minut. Potrzebuję cię. Muszę mieć pewność, że zajmiesz się nią, gdy mnie już zabraknie. Milczała, po czym zerwała się, podeszła do pędzli i farb rozłożonych na stoliku i powiedziała coś, czego żadna z nas się nie spodziewała.

— Te farby pamiętają czasy twojej podstawówki. Nie będziesz takim szmelcem malować pokoju mojej wnuczki. Idziemy na zakupy do Pana Krzysia i jego syna Zdzisia, oni na pewno coś wyciągną spod lady.

Nim się obejrzałam obie płakałyśmy i śmiałyśmy się do rozpuku, jak nigdy. Chyba po raz pierwszy widziałam prawdziwe emocje mamy, zawsze ukrywała je pod warstwą słów, zadaniami do wykonania, które nie cierpiały zwłoki: przetworem z porzeczek, myciem okien, prasowaniem. Zawsze coś było do zrobienia byleby nie mówić i nie okazywać uczuć. A teraz siedziałyśmy i trzymałyśmy się za ręce. Bez komentarzy, bez upominania, oceny, to była piękna chwila. Wtedy już wiedziałam, że będzie dobrze, że pokocha cię całym sercem, że już cię pokochała i otoczy cię najlepszą opieką. W ten oto sposób dzięki Tobie zyskałam mamę.

P.S. I żeby nie było tak słodko, mama nie porzuciła swoich władczych nawyków, nadal wtryna nos w nie swoje sprawy, ale ty to już pewnie wiesz i poznałaś już tę jej stronę skoro to czytasz.

P.S. 2 Zrobiło się cikliwie. Ciekawa jestem ile masz teraz lat. Jaką wartość mają dla ciebie moje słowa. Czy są tylko przesłodzoną gadaniną obcej baby? Babcia jeszcze nie wie, że piszę dla ciebie ten dziennik, ukrywam go przed nią w pudełku po marcepanowych czekoladkach. Mama ich nienawidzi, znaczy twoja babcia. A wszystko przez wielkanocnego baranka, ale teraz czas na drzemkę, sen mnie morzy, opowiem Ci o nim następnym razem.

KOŁTUN

Joanna Furdal

Znowu to robi. Popatrzyłam na nią z niesmakiem. Uwięziona w holu między automatem z kawą a zawieszonym tam nie wiedzieć czemu lustrem, bujała się w tył i w przód. Poruszała wargami, czochrając gęste, poprzetykane siwizną włosy. Zakład pracy chronionej! Na co też mi przyszło. Ponoć mierzymy się obecnie z największym wzrostem zaburzeń lękowych, zaburzeń osobowości i depresji. Na szczęście ja jestem normalna. Dosłyszałam jej szept:

— *kruszę... grzeszę... kuszę... gorszę... gaszę... zduszę... dusze...*

Spojrzała na mnie tępym wzrokiem. I znów te włosy. Zanurzyła w nich dłonie i zaczęła szorować paznokciami po skórze. — Pewnie to kołtun — pomyślałam mimo woli.

Pamiętam pewną scenę. Ja — zapłakana roztrzęsiona z kawałkiem szkła w zakrwawionej dłoni. Babcia popatrzyła na mnie, zacmokała i stwierdziła autorytatywnie:

— To kołtun!

Na naradzie rodzinnej ustalono, że udam się do szeptuchy. Zawsze to mniejszy wstyd niż psychiatra. O głowie się nie mówi. Z głową jest zawsze w porządku. To tylko melancholijne bingo: zły nastrój, wahania hormonalne, jesień, brak witamin, nieodpowiednia dieta. Nigdy depresja. Cicho sza. Z głową jest zawsze w porządku. No, chyba że to kołtun.

Dzień czy noc przed chatą Aliny stoi kolejka.

— Długo pani już czeka? — kobieta za mną zagadnęła sąsiadkę.

— Ano długo, ale warto, bo jak mi babka Alina nie pomoże, to nikt mi nie pomoże. Lekarze już na mnie krzyżyk położyli.

— A co też pani dolega?

— Rak trzustki.

— No tak, ale musi pani wierzyć! To działa tylko wtedy, kiedy pani wierzy. Znałam takiego, co tylko w lekarzy wierzył i wyśmiał żonę, gdy go do szeptunki zaciągnęła. Ta od razu wiedziała, że nic z tego nie będzie. No i zawinął się chłopina w pół roku.

— Słyszałam, że przychodziła tu matka z dzieckiem chorym na guza mózgu — głos należał do młodej kobiety.

— Ano przychodziła. Po pewnym czasie badania wykazały, że guz zaczyna się wchłaniać i koniec końców dzieciątko z tego wyszło.

— A moja kuzynka, dzięki babce Alinie w ciążę zaszła — odezwiała się inna orędowniczka cudotwórczyni. — Mówię pani, wszystkiego już próbowali z mężem!

A seksu? Kompleksu? Refleksu?

— In vitro, kuracje nie kuracje i nic, a wystarczyło kilka wizyt u babki Aliny. — Zamilkła, by po chwili dodać z satysfakcją: — Ich Jasio to już w tym roku do przedszkola idzie.

Drzwi otworzyła śniada kobieta w liliowym swetrze. Ciemne włosy miała przewiązane wzorzystą chustą. Nie była stara. Pewnie nawet nie przekroczyła pięćdziesiątki. Moim zdaniem nie zasługiwała na miano babki, ale może to coś takiego jak tytuł naukowy. Kwestia zawodowego prestiżu.

Szeptucha... szept do ucha... szept z brzucha...

— Jak się nazywa? — zapytała.

Zdziwiłam się, bo byłam pewna, że będę musiała rozszyfrowywać białoruski. Tymczasem szeptucha jedynie lekko zaciągała. Poczułam rozczarowanie.

— Anna Sabała — wybąkałam.

— Jestem Alina — oznajmiła sucho kobieta. — Będę ci mówiła Anka — dodała.

Szept Anki... szeptanki...

— Sama przyszła, czy z kimś?

— Z babcią.

Zrobiło mi się głupio. Stara baba z taką obstawą. Kobieta zmierzyła wzrokiem babcię Bogusię.

— Pani poczeka w sieni!

Babcia Bogusia usiłowała protestować, ale szeptunka jedynie machnęła ręką i podążyła ciemnym korytarzem. Zdążyłam zobaczyć zwisające z belki pęki ziół.

Skrzyp... skrzyp... zaskrzypiała podłoga...

Przeszliśmy do zagraconego pokoju, w którym o swój kawałek przestrzeni walczyły drewniane taborety, stolik nakryty koronkową serwetą, odrapane biurko, toaletka, PRL—owska meblościanka i pasiasta sofa. Poczułam się przytłoczona. W dodatku z gęstwiny wyblakłej winorośli zdobiącej tapetę spoglądali na mnie liczni święci, których ze względu na swoją ignorancję nie potrafiłam rozpoznać. Usiadłam na wskazanym krześle, pod którym stał garnek z wodą. Alina zaczęła od modlitwy:

— Boże, Ty dobry, Boże, Bożeńku...

Boże... boże... Bożenko... Zdradziłaś mnie z Cyganem...

Słowa modlitwy zlewały się w nieznośnie dokuczliwy strumień bełkotu. Gdy wreszcie odprawiła swoje godzinki, przeszła do kuchni. Po chwili wróciła z aluminiowym rondelkiem, z którego unosił się zapach stearyny. Schyliła się, chwyciła garnek z wodą i trzykrotnie przelała nade mną wodę. Następnie kolejno wyjmowała niekształtne grudy. Każdą obracała w palcach, uważnie jej się przyglądając.

— To kołtun! — orzekła.

— Co? — Mimowolnie przeczesalam palcami włosy.

— Najpierw był przestach. Czy w jej życiu stało się coś złego?

Przypomniała mi się ostatnia wizyta w sądzie na rozprawie rozwodowej. Wzdrygnęłam się mimowolnie.

— Anka? — Szeptucha oczekiwała odpowiedzi.

Milczałam. W domu mojej mamy i babki milczało się na ten temat. W mojej rodzinie nie było przemocy. Nie mówiło się o niej nawet szeptem. Alina westchnęła.

— Coś zburzyło twojego gościca — oznajmiła.

— Gościca?

— Nie wiesz co, to gościec?

Pokręciłam głową.

— Gościec, gość, takie żyjątko, które mieszka w każdym człowieku. Delikatne ono i łatwo je zruszyć. Wtedy szuka ucieczki i przez to, co rusz człowieka boli co inne. Trza być ostrożnym, bo jak gość dojrzeje, nie będzie już dla ciebie ratunku.

— I co teraz? — Zastanawiałam się, kiedy właściwie dostałam rolę w remake'u filmu „Obcy — ósmy pasażer Nostromo”.

— Moja babka mawiała, że kołtun ze zbitych włosów pozwala gościowi wydostać się powoli i razem z nim może być usunięty.

Skrzywiłam się na myśl o splątanych, brudnych włosach.

— Teraz kobiety dbają o włosy. Nic dziwnego, że histeryczek coraz więcej — zaśmiałam się nerwowo, przypominając sobie tę jedną z mojej pracy.

Alina przyjrzała mi się uważnie.

— Kołtun potrafi tak zanieczyścić głowę, że później w żaden sposób nie da się jej doprowadzić do porządku — powiedziała z powagą, po czym podeszła do biurka.

Wyciągnęła z szufladki motek wełny. Zapaliła stojącą na stoliku gromnicę i nadpaliła początek nici. Podeszła do mnie, przeżegnała się trzykrotnie i zaczęła przykładac do mojej głowy cuchnący spalenizną kłębek. Z jej ust popłynęły słowa:

— Na przestkach piach... na kołtun piołun... na krzyk pokrzyk.

Mamrotanie Aliny zdawało się wwiercać w mózg. Świat wirował, a święci patrzyli oskarżycielsko. Nie wiem, jak długo to trwało, ale na zakończenie szeptucha chwyciła gromnicę, trzykrotnie zatoczyła nią krąg nad moją głową i trzy razy się przeżegnała. Wreszcie zapadła cisza. Alina zniknęła w kuchni. Wróciła z zawiniątkiem.

— Jeden kawałek zje rano, drugi po południu, a trzeci wieczorem. Za każdym razem trzeba jej trzy razy odmówić zdrowaśkę. — Rozwinęła bawełnianą ścierkę z Ikei, ukazując trzy kawałki czerstwego chleba. — Okruszki, które pozostaną, zawinie w szmatkę, pójdzie na najbliższe skrzyżowanie dróg, znów odmówi trzy razy zdrowaśkę i wyrzuci pakunek ruchem od siebie. — Pokazała jedyny słuszny sposób zaśmiecania środowiska naturalnego. — Anka!

Modlitwa... brzytwa... gonitwa... sitwa...

— Słuchasz mnie?

— Tak — mruknęłam.

— To ważne, bo ruch od siebie złe odpędza, a ruch do siebie złe przyciąga.

Wiara... mara...

— Ile płacę? — zapytałam.

— Ty? Nic.

— Jak to?

— Twoja babka zapłaci. Ten ciężar, który zruszył twojego gościa, jest w waszej rodzinie od dawna.

Chciałam zaprotestować, ale Alina tylko machnęła ręką na znak, że wizyta skończona.

Kiedyś nie było depresji. O tym nie mówiło się głośno. Tylko że kiedy ignorujesz krzyk, musisz pogodzić się z szeptami.

Muszę... noszę... proszę... spieszę... krzeszę... słyszę... ciszę... — mruczałam rytmicznie, bujając się w tył i w przód.

— Anka, co ty robisz?

— Co? — wróciłam do rzeczywistości.

Nade mną stała Agnieszka. Popatrzyłam na odbijającą się w lustrze skuloną sylwetkę. Oderwałam dłonie od głowy. Paznokcie i opuszki palców miałam lepkie od krwi. Drżącymi dłońmi poprawiłam rozwichrzone włosy. Starłam się nie patrzeć w oczy Agnieszce. Ot, kołtun!

2005

Kamila Kamińska

Tekst stanowi fragment powieści, nad którą pracuję.

Kaśka nieprzytomnym wzrokiem omiata piaszczyste podłóżę i na widok usypanych grud mocniej chwyta drżącą dłoń babci. Musi być dzielna. Dla Niego. I dla niej, bo Teresa, jak to cała ona, upiera się, że stać będzie. Tak jakby krzesło miało magicznie zdmuchnąć ten bezmiar miłości jaki niosła blisko sześćdziesiąt lat małżeństwa. Dobrego, pełnego akceptacji dla mijającego czasu. Bo nawet na stare lata w ich domu cisza była pełna dotyku. Wiedzieli komu jaką kawę, a kiedy pozwolić by oko bezwładnie w fotelu opadło i którym kocem nogi nakryć przed chłodem narożnego parteru.

Mimo przeciągów miłość nie ulatywała z ich domu. Oplatała go niczym pajęczyna.

Miała kolor mroczków pod powiekami, gdy słońce operowało wysoko. Żal było rolety opuszczać, gdy ONA łapała słońca pocałunki po zbyt długiej zimie.

Smakowała długo moczoną pszenicą, by ON wzruszony zjadł kutię jak z dziecięcych lat.

Pachniała kremem do golenia, choć drżąca ręka ledwo unosiła gęsty pędzel ku twarzy.

Tłuściła palce czarnym drukiem, gdy codzienną prasą przerzucali się przez ławę. Komu krzyżówki? Komu pogodę? Barometr znów coś przekłamał.

Stała na półce w każdym zdobycznym tomie Wołoszańskiego i skrzętnie skrywanych seriach Harlequinów.

Mościła się wygodnie w barwnych laurkach i szkolnych fotografiach wnucząt, wciśniętych w przesuwne szyby witryny.

Futryna z wrytymi w olejnej śladami od miarki nosiła ich przemijanie. Rok za rokiem, wnuki rosły, oni kurczyli się, z czego często żartowali.

Bo z Kazikiem świat swój utkali z wzajemnej troski, humoru, i tych małych czułości codziennych. Czasem tonęli we wspólnych łzach, gdy życie się trudniej żyło. I chociaż sieć tkana coraz rzadszym ściegiem, cerowana gdzieś to nie zerwała się do samego końca.

Dziś Teresa tkwi w niej sama, targana sierpniowym wiatrem, co rozgonił poranne chmury. Tkwi zgarbiona w pełnym słońcu, a buty zapadają się w piach, brudząc wypastowane czernią noski. Na pierwsze dźwięki trąbki kurczy się w sobie jeszcze mocniej, co dla Kaśki zdaje się niemożliwością.

Trębacz wkłada całe serce, płuca całe wygrywając kawaleryjskie „Śpij kolego”. Zawadiacki ton ustępuje rzewnym nutom i choć nikt nie śpiewa to obie wiedzą. Obie znają. Teresa i Kaśka nucą bezgłośnie.

A za jego trudy, prace,
Zagrają hejnał trębaczce.
A za jego służby lata,
Zagra trąbka tratatata.
A za jego walki, znoje,
Wystrzelą mu trzy naboje.
Śpij kolego w tym grobie,
Niech się Polska przyśni tobie.

Paradne, bordowe poduszki ze złotymi frędzlami błyszczą medalami. Kaśka widzi te same medale na wielkiej fotografii dziadka. Nie czuje go. Nie ma go w orderach. Nie jego są zdobne poduchy.

Jej dziadek jest w dzierganej poduszce, na której siadała na szerokim parapecie wtykając stopy w ciepłe żeberka kaloryfera słuchając opowieści, których nie zatart czas.

Jej dziadek jest w jaśku wetkniętym pod plecy w zbyt głębokim fotelu, gdy partia szachów robiła się interesująca.

Wreszcie, jej dziadek jest w białej poduszce szpitalnej wygniecionej pod ciężarem nieprzytomnej głowy.

Z rozmyślań wyrывa ją ścisk dłoni. Teresa prostuje się na grzmiący głos dowódcy, unosząc czubki czarnych mokasynów ponad piach.

Baczność!

Na ramię broń!

Do nogi broń!

Prezentuj broń!

Na prawo patrz!

Salwa honorowa!

Pa!

Huk i proch otulają żałobników wstrząsanych serią wystrzałów. Oczy zachodzą im łzami. Kaśki wzrok napotyka szkliste oczy obcego im, młodego żołnierza. Łez tama pęka. Przepraszająco zerka na babcię. A miała być dzielna.

KRZYK

Wiesia Paszek

Siedzę zamknięta w mojej Yarisce na szpitalnym parkingu i krzyczę, a właściwie wyję. Mój ryk wydobywa się, gdzieś z głębi, z trzewi i chyba nie przypomina nic co ludzkie. Nie wiedziałam, że moje ciało jest w stanie stworzyć takie przeraźliwe dźwięki. Nie ma to jednak najmniejszego znaczenia, bo i tak nikt mnie nie słyszy. Wycie wiatru jest jeszcze silniejsze niż to, co dają radę wyprodukować moje płuca. Czuję, że każda moja komórka boli. Czuję przeszywający ból w klatce piersiowej, w głowie, w brzuchu, wszędzie. Czuję ból istnienia, ból bezsilności. Z trudem łapię powietrze pomiędzy jednym krzykiem a drugim. Łzy spływają mi po policzkach i jestem przekonana, że nigdy się nie skończą.

Umarł.

Umarł chłopiec, którego ostatnio znieczulałam do zabiegu. To nie pierwszy pacjent, który odchodzi, ale po raz pierwszy straciłam dziecko. Nie zmarło w trakcie mojego znieczulania. Nie zmarło nawet w trakcie mojego dyżuru, ale wiele razem przeszliśmy. Moje pierwsze dziecko. Ono na zawsze już pozostanie moim dzieckiem i na zawsze będę je ze sobą nosić. Naiwnie wierzyłam, że skoro chłopiec przeżył zabieg, to teraz będzie już z górki. Chciałam w to wierzyć. Przecież najgorsze miał już za sobą. Najgorsze miałam za sobą ja. Znieczulanie dziecka nigdy nie jest łatwe, a moje niewielkie doświadczenie sprawiało, że sytuacja była jeszcze trudniejsza. Byłam więc taka szczęśliwa, że się udało. Pacjent przeżył. Lekarka, choć z duszą na ramieniu, też przeżyła. Zabieg się udał, a pacjent nie żyje. Gdzie tu logika? Gdzie w tym wszystkim mam być teraz ja?

Krzyczę, jakby mój krzyk miał coś zmienić. Jakby miał przywołać go z powrotem. Wyję za nim i wyję za sobą. Mam wrażenie, że uczucia ostatnich miesięcy skumulowały się we mnie i teraz znalazły pretekst, żeby z pełną mocą ująć na zewnątrz. Do tej pory nie płakałam. Udawałam, że wszystko jest w porządku, że

sobie radzę i że to normalny okres przejściowy jak po każdej wyprowadzce do obcego kraju. Wmawiałam sobie, że tak to po prostu wygląda u każdego. Wszzechogarniająca samotność. Samotność wśród ludzi, obcych mi ludzi.

Udawałam więc przed sobą, udawałam przed Anią no i przede wszystkim udawałam przed mamą. Tak mi było też łatwiej. Zaklinanie rzeczywistości, zamiatanie pod dywan. Jak zwał tak zwał. Tak to się przecież powinno robić w każdej normalnej rodzinie. Nie ma tu na co patrzeć. Proszę się rozejść do swoich spraw.

A teraz chłopiec umarł, a ja nie jestem w stanie już udawać, że wszystko jest w porządku. Coś się skończyło i nie jestem pewna czy nowe się zacznie. Nie jestem pewna, czy to udźwignę. Czy udźwignę życie, które tak bardzo mi ciąży.

Siedzę na siedzeniu kierowcy i obserwuję krople deszczu spływające po przedniej szybie. Lecą ciurkiem. Najwidoczniej świat płacze razem ze mną. Obserwacja kolejnych kropel łączących się ze sobą i sunących w dół po szybie powoli mnie uspokaja. Już nie wyję, a tylko szlocham. Od czasu do czasu pociągam nosem. W kieszeni kurtki, którą zarzuciłam na siebie w biegu, znajduje jakąś starą, już nieco wymęczoną chusteczkę, ale z braku innej opcji wydmuchuję w nią nos. Spoglądam w lusterko wsteczne. Moje oczy są podpuchnięte i czerwone. Cała jestem spuchnięta i czerwona, co z jakiegoś bezsensownego powodu wywołuje u mnie kolejne łzy. Mam teraz totalnie gdzieś jak wyglądam, ale wyglądam aż tak żałośnie, że nie mogę się powstrzymać. Otwieram boczną szybę. Uderza we mnie chłodne powietrze i pojedyncze odbite od lusterka krople lodowatej wody. Mam szczęście, że wieje z przeciwnej strony, bo byłabym cała mokra. Choć w sumie, jakie to by miało teraz znaczenie? Nie wiem. Siedzę tak chyba kilka minut, zagubiona w swoich myślach. Mój mózg produkuje obrazy z zabiegu, przeżywam jeszcze raz resuscytację, odwiedzam małego Arnara na intensywnej terapii. W tamtej chwili jest stabilny, jestem teraz w kafeterii, siedzę w gabinecie, siedzę w swoim domu, siedzę w niecce z ciepłą wodą na basenie. Jestem sama. Ciągle tak cholernie sama, ale jestem. Jestem i muszę sobie z tym faktem jakoś poradzić.

W mojej kieszeni czuję vibrację. Sięgam po telefon. Na wyświetlaczu czytam znienawidzone, izba przyjęć. Odbieram.

— Hej Agnes. Przyjechała politrauma. Zaraz po tomografii będzie zabieg na ortopedii, chyba że wyjdzie jeszcze coś innego. W każdym razie musisz przyjść — słyszę głos jakiejś kobiety, której imienia nie zrozumiałam. Jak wszystko dzisiaj, to też nie ma znaczenia.

Ocieram więc oczy wilgotnym rękawem kurki. Zamykam szybę i wyskakuję z samochodu, biegnąc szybko w stronę drzwi wejściowych. Wbiegam do budynku wjazdem dla karetek i kieruję się na izbę przyjęć.

Wkładam gdzieś głęboko do wnętrza siebie moje dziecko i mój ból i moje wszystkie problemy.

Cichutko szepczę do nich, do siebie — Musicie troszeczkę poczekać, bo teraz trzeba się zająć kimś innym.

O NIC SIĘ NIE MARTW

Sandra Solińska

To był najgorszy dzień w jej życiu. Naprawdę.

„Nic gorszego mi się nigdy nie przydarzy”, pomyślała Oana, gdy gwardziści podnosili ją z ziemi po upadku z konia, a jej nogę przeszła błyskawica bólu. I nieważne, na jak bardzo zahartowaną próbowała wyglądać, w tym momencie zwyczajnie krzyczała, a z jej oczu popłynęły łzy.

Wytarłaby je najszybciej, jak się da, gdyby nie to, że mężczyźni nieśli ją w sposób uniemożliwiający jej poruszanie się. I choć starali się być delikatni, Oana czuła każdy ich krok w swojej prawdopodobnie złamanej nodze.

— Poinformujcie panią Sylvanę, że niesiemy księżniczkę do infirmerii — zakomenderował jeden, zwracając się nie wiadomo do kogo w szczególności.

— Ariel. Zawołajcie Ariela — poprosiła płaczliwie.

Nie miała pewności, że ktoś jej posłucha, choć liczyła, że skoro nazwali ją księżniczką, to może zadziała posłuszeństwo wobec rodziny rządzącej.

Oana szczerze nienawidziła całego tego księżniczkwania, bo narzucało ograniczenia na to, co panienka w jej wieku naprawdę chciała robić — być jak jej starszy brat, ni mniej, ni więcej. Ale jeśli miało sprawić, że rzeczony brat zostanie wezwany w trybie pilnym, wyjątkowo nie zamierzała narzekać na swój status.

— I co teraz zrobimy!? — warknęła ciotka, materializując się nad łóżkiem Oany.
— Miałas być na balu, a ty łamiesz sobie nogę!

Gdyby Oana miała więcej siły, pewnie coś by odpyskowała, ale medyk napoił ją środkiem uśmierzającym ból, przez co czuła się szalenie otępiła. Była przekonana, że ciotka myśli, że Oana specjalnie spadła z konia, żeby nie pójść na bal. A to przecież zupełnie nie tak...

Oana chciała być jak Ariel. A żeby być jak Ariel, musiała ćwiczyć. Chciała uczyć się fechtunku, ale najpierw kazali jej opanować strzelanie z łuku. Z końskiego grzbietu. Które trenowała właśnie dzisiaj. I jakoś tak wyszło...

— Myślę, że ból nauczy cię, że nie warto bawić się w chłopaka i lepiej dla ciebie będzie, jak zaczniesz się zachowywać, jak przystało twojej pozycji — ciągnęła ciotka swój wywód, którego połowy dziewczynka w ogóle nie zarejestrowała. — Poproszę medyka, żeby podawał ci mniej leków...

Mętным wzrokiem patrzyła, jak Sylvana, wciąż wzburzona, ale wyraźnie zadowolona ze swojego pomysłu, opuszcza infirmerię. Chwilę później zasnęła.

Przyśniła jej się mama. Jej delikatna dłoń, odgarniająca czarne loki z czoła córki. Jej ciepły głos, szepczący, że kocha, że jest dumna, że wszystko będzie dobrze. Jej łagodny uśmiech, gdy poprawiała prześcieradła okrywające Oanę.

— O nic się nie martw. — Usłyszała głos, ale nie należał do mamy. Był niższy, zdecydowanie młodszy, ale równie czuły.

Uśmiechnęła się, zanim otworzyła oczy.

— No, nareszcie. — Ariel wyszczerzył się do niej. — Ile można spać, śpiąca królowno?

— Złamałam nogę, boli — rzuciła tonem wyjaśnienia.

— Wszyscy już wiedzą. Ciotka zrobiła awanturę.

Ariel pokręcił głową z niedowierzaniem. Mało brakowało, a Sylvana rozniósłaby cały plac treningowy, wrzeszcząc na gwardzystów i wszystkich obecnych. Wiedział, że przynajmniej przez jakiś czas będą pamiętać o zakazie wpuszczania „księżniczki Oany” — z przesadnym naciskiem na „księżniczkę” — na ćwiczenia bojowe i obronne. Ariel zupełnie nie podzielał zdania ciotki. Podobnie jak jego ojciec był przekonany, że trening nie zaszkodzi Oanie. No, może na dłuższą metę, bo obecnie zdecydowanie zaszkodził...

— Masz szczęście, że zrastanie trochę potrwa — mruknął. — Może do tego czasu Ren zdąży zapomnieć o zakazie.

— Jakim zakazie?

— Sylvana zabroniła nam cię trenować.

— Co!?

Oana podniosła się gwałtownie na poduszkach i zaraz jęknęła z bólu. Ariel przytrzymał ją opiekuńczo. Zmarszczył brwi.

— Dostałaś zioła, nie powinno aż tak boleć — zdziwił się, odgarniając jej włosy z czoła zupełnie jak mama we śnie. Przyjrzał się jej badawczo.

— Ciotka powiedziała medykowi, żeby dawał mi mniej. Bo ból ma mnie nauczyć, że mam być grzeczną dziewczynką — poskarżyła się, przecierając oczy. Nie zamierzała się rozbeczeć.

Widziała, jak jego twarz się zmienia, jak nastoletnie rysy wyostają się pod wpływem gniewu. Jak dłonie zaciskają się w pięści. Jak jej brat oburza się na tę jawną niesprawiedliwość. Okrucieństwo wręcz. Bo przecież nie można karać dziecka za to, że spadło z konia. A już z pewnością ból nie jest metodą wychowawczą. Zaraz jednak wyraz jego twarzy się zmienił i Ariel uśmiechnął się pokrzepiająco do siostry, po czym poczochnął jej włosy.

— Coś ci przyniosę, nie martw się.

Z oczu Oany powoli zniknęły łzy bólu, który pojawił się przed chwilą. Spuściła wzrok, na jej policzki wypłynął delikatny rumieniec.

— A przyniesiesz mi misia? — wyszeptła. — I książkę o zwierzętach?

Ariel zaśmiał się cicho, nachylił się nad nią i pocałował w czoło. Nieważne, jak bohaterska starała się być, jego siostra nadal była dzieckiem potrzebującym opieki.

— Przyniosę.

SZEPTY I KRZYKI

Natalia Wrzesień

Ten tekst to fragment powstającej powieści. Łódź, sam środek lat 90., czasy, w których wszystko jest możliwe i o wszystko można zawalczyć. Dziesięcioletnia Matylda trenuje pływanie w klasie sportowej. Jej mama, solidarnościowa działaczka i projektantka w łódzkich zakładach dziewiarskich, po kilkuletnim internowaniu wychodzi na wolność i odkrywa, że jej mąż związał się z inną kobietą. Beata, nowa partnerka taty Matyldy, decyduje się na otwarcie własnego biznesu. Życie Matyldy jest rozdarte między dwa odmienne domy rodziców, a przestrzenią jej wolności staje się pływalnia. Jej życie ulega drastycznej zmianie, kiedy dowiaduje się, że jej mama jest ciężko chora, a ona sama zaczyna osiągać sportowe sukcesy.

Odkąd zaczęłam chodzić do szkoły, wieczór wigilijny był dzielony. Najpierw, o szesnastej siadaliśmy do stołu z tatą i Beatą. Po karpiu była przerwa na prezenty, a po nich, o osiemnastej przyjeżdżała po mnie mama i zaczynałyśmy u niej wigilię od początku.

Kiedy skończyliśmy odpakowywać prezenty, zadzwonił domofon. Tym razem to nie była mama. To była ciocia Lidka, jej starsza siostra. Mieszkała ze swoją rodziną w Łasku, niedaleko dziadków i pozostałego rodzeństwa mamy. Ciocia Lidka była jedyną osobą z rodziny mamy, którą trochę znałam, bo czasami odwiedzała mamę w Łodzi. O reszcie wiedziałam tylko, że mieszkają w Łasku. Nigdy nie pojechaliśmy tam z mamą.

— Aleś ty wyrosła! Rośniesz i rośniesz! — ciocia Lidka pokręciła głowę na powitanie, a końcówki jej loków śmiesznie zatańczyły spod czapki. — Tylko uważaj, bo wysokim dziewczynom trudno chłopaka znaleźć! — Pogroziła mi palcem. Wsiadłam do jej jasnoniebieskiej Łady. — Moi synowie są starsi od ciebie o rok, a niżsi! No, no, taka wysoka jak matka rośniesz! — kręciła głowę, taksując mnie wzrokiem.

Ciocia Lidka miała dwóch synów. Bliźniaków. Nazywali się Jan i Jakub, jak apostołowie. Bo cała rodzina mamy była bardzo wierząca i ciocia Lidka też. Tylko mama nie chodziła do kościoła. Nie pamiętam już, skąd o tym wiedziałam.

Obecność cioci Lidki była czymś dziwnym. Przyjechała na wigilię sama, bez rodziny i bez moich starszych kuzynów. Wszyscy zostali w Łasku. Z reguły to mama jechała do Łasku w drugi dzień świąt. Sama, beze mnie. No i to mama zwykle mnie odbierała od taty.

— Ciociu, a gdzie jest mama?

— W domu, a powinna być w szpitalu! Już tydzień, jak z nią tu siedzę i wszystko za nią robię: zakupy, sprzątanie, gotowanie... Co to ja własnego domu nie mam?! Poważnie chora, a w domu siedzi! Twoja mama zakazała ci o tym mówić, ale jesteś duża dziewczyna i rozumna. — ciocia Lidka spojrzała na mnie przez lusterko wsteczne — Uparła się, żeby spędzić z tobą wigilię. Czysta głupota i fanaberia! Więc pamiętaj: żadnych wariactw! Nie wolno jej męczyć! I nic nie wiesz o chorobie! Obiecałam jej, że ci nic nie powiem!

Mała stalowa kulka w moim brzuchu poruszyła się i zaczęła jak gdyby rosnać.

— Jakiej chorobie? — zapytałam przez zaciśnięte gardło.

— Mądra dziewczynka! — ciocia Lidka puściła do mnie oko w lusterku wstecznym.

Choinka u mamy stała na stoliku obok telewizora. Całkiem malutka, ale pachniała i miała wszystko co trzeba: srebrny szpikulec na czubku, włosy anielskie, srebrne małe bombki i moje ulubione oszronione muchomorki ze szkła. I łańcuch ze srebrnych kawałków folii. I kolorowe lampki. Mama leżała na kanapie przykryta kocem. Stół był nakryty, z magnetofonu leciały kolędy. Przytuliłam się do mamy, która podniosła się pomału i usiadła na kanapie.

— Cześć, malutka! — pocałowała mnie na powitanie — Ale masz zimny policzek!

— Bo jest zimno, mamo.

— Rozbieraj się i siadamy do stołu. Czekałyśmy na ciebie ze wszystkim!

— Ale mamo, ja już się najadłam.

— Mówiłam, że tak będzie! — ciocia Lidka przewróciła oczami. — Że się naje pierogów w domu! Mama zgromiła ją wzrokiem.

— Chociaż karpia zjesz, bo nasmażyłam. — Lidka nie ustępowała.

Zaprzeczyłam gwałtownie ruchem głowy.

— Nie! Nie zjem żadnej ryby! Nienawidzę ryb! Śmierdzą i są obślizgłe! Blee! — wytknęłam język w grymasie obrzydzenia.

Ciocia Lidka zmarszczyła brwi.

— Jak ty się do dorosłych odzywasz? Słyszałaś kiedyś o szacunku?

— Daj jej spokój. — wtrąciła mama — Matylda, biegnij umyć ręce, raz dwa!

Kiedy dzieliłyśmy się opłatkiem, mama mnie przytuliła dłużej niż zwykle.

— Rośnij duża i mądra! I wygrywaj każde swoje zawody. — to były jej życzenia. Była bardzo wzruszona. Obserwowałam ją ukradkiem i nie zauważyłam, żeby była biała ani żeby łysiała. Pewnie Ewelina jak zwykle zmyślała i ta choroba wcale nie jest taka straszna.

U mamy było całe wigilijne menu, z kompotem i chlebem licząc, wyszło dwanaście dań. Wszystko nagotowała ciocia Lidka. Nie lubię wigilijnej kolacji, prawie nic mi nie smakuje, poza grzybową, ale nawet tego się nie dało zjeść, bo ciocia Lidka dodała natki pietruszki do wazy. Nie znoszę pietruszki. Wyławiałam zielone listki łyżką i starałam się je odkleić od klusek. Ciocia patrzyła na mnie krytycznie.

— Nie ma takiego gmerania w zupie. Zajadaj, nie wybrzydzaj. Pietruszka jest zdrowa!

— Daj jej spokój, mała nie lubi pietruszki. — ujęła się za mną mama. — Ty też nienawidziłaś pietruszki, jak byłaś mała, nie pamiętasz?

— No ale musiałam ją jeść. — ciocia Lidka wzruszyła ramionami.

— No to skoro tak — wtrąciłam się — to dlaczego mi każesz jeść, jak sama nie lubiłaś?

— O patrzcie, jaka pyskata! — ciocia Lidka odłożyła łyżkę na talerz. — Jakby mi moje chłopaki tak pyskowały, to by od razu miały za swoje.

— Ja nie stosuję kar wobec mojego dziecka. — powiedziała sucho mama.

— No i patrz, jaka pyskata córka ci rośnie.

— Nie pyskata, tylko samodzielnie myśląca.
— Czas pokaże. Jakieś metody wychowawcze trzeba mieć, a tu wszystko leży i kwiczy.

— Mówisz jak ojciec.
— Jestem w końcu jego córką.
— Doprawdy? Już cię przyjął z powrotem do rodziny?
— W dupie mam twoją ironię. Zapomniałaś już, co ma do powiedzenia o twojej aktualnej sytuacji?

Zamilkły. Czułam, że chodzi o coś więcej niż jedzenie pietruszki. Na wszelki wypadek się nie odzywałam. Całą uwagę skupiałam na wyławianiu listków z brązowej zupy i odkładaniu ich na brzeg talerza.

— Karanie jest przemocą i przejawem słabości. Zawsze. — przerwała ciszę mama. Ciocia Lidka głośno westchnęła. — Nie będę mojej córki uczyła bezsilności, lęku i niesprawiedliwości.

— Jezus Maria, Roma! — krzyknęła ciocia Lidka — Nikt tu nie mówi o wsadzaniu dziecka do więzienia, tylko o skorygowaniu złego zachowania! Mówisz, jakbyś nie oberwała nigdy za twoje wybryki!

Mama uparcie patrzyła w swój talerz zupy. Był prawie nietknięty.

— Myślę, że bardzo dobrze wiem, jak oberwałam za moje, jak to nazywasz „wybryki”. — powiedziała obrażonym tonem. — Użyłabym chyba jednak innego słowa.

— Tak, bo zapomniałam. Roma i jej wielka walka o wolność. — Lidka prychnęła. — I zobacz, dokąd cię zawiodła. Gdzie jesteś teraz, co? Zapominasz, moja droga, że nie jesteś sama na tym świecie. Kto ci zupki do więzienia przynosił? Kto ci teraz wigilię zrobił? Kto pojechał po twoją córkę do twojego męża, który siedzi w twoim mieszkaniu przy wigilijnym stole z jakąś babą?! Weź się ocknij! Świat idzie dalej i nie potrzebuje twoich wielkich ideałów.

Mama podniosła głowę znad talerza. Miała zaciśnięte usta.

— „Moich” ideałów?! — wycodziła — „Moich” ideałów! Dziesięć milionów Polaków miało te „moje”, jak powiadasz, ideały! Solidarność nawet z definicji

zakłada zbiorowość, idiotko! Już chyba zapomniałaś, komu zawdzięczasz wolną Polskę!

— Solidarność! Wolna Polska! Rzygać mi się od tego chce, wiesz? — ciotka aż poczerwieniała. — Weź się rozejrzyj dookoła i popatrz, jak każdy zapierdala za swoim interesem teraz! Solidarnie ze swoimi czterema literami! W pełnej wolności! O to wam chodziło, nie? To może się za siebie też zabierzesz wreszcie, co? A nie się mnie czepiasz?

— Ja się ciebie czepiam?! To ty się wszystkiego czepiasz! Odkąd przyjechałaś, ciągle wszystko krytykujesz: moje życie, moje wybory, moje mieszkanie, a teraz moją córkę! Znoszę to, bo nie mam wyjścia! Nie mam siły na nic! Zemdlałam w samochodzie! Jestem na zwolnieniu i pojutrze jadę do szpitala!

Mama opadła na oparcie krzesła i zamknęła oczy, ciężko oddychając.

— Nie wytrzymam! — ciotka Lidka trzasnęła łyżką o talerz. — A to moim obowiązkiem jest, żeby ci pomagać?! Prawda jest taka, że poza mną nie masz nikogo, kto ci życie ogarnie! Solidarność! Gdzie są twoje koleżanki ze strajków głodowych?! — ciotka dyszała ze złości.

— Wyemigrowały. — wyszeptała mama. Wciąż miała zamknięte oczy.

— Ja w przeciwieństwie do ciebie, mam swoją rodzinę i mogę spędzić z nią wigilię! — ciotka zdawała się nic nie słyszeć — Nic mnie tu nie trzyma, może tylko litość. Ale wdzięczności i pokory to tu nie uświadczysz.

— A za co mam być wdzięczna? Za donosy twojego męża? — głos mamy był cichy i świszczący.

— Co?! — ciocia Lidka tak krzyknęła, że aż się opluła. — Coś ty powiedziała!?

— Nie udawaj, że nie wiesz. — mama ciężko łąpała oddech.

— O nie! Nie wytrzymam! — ciotka wstała od stołu cała purpurowa — Gównu wiesz! — wrzasnęła — Krył cię, rozumiesz! Krył! Nawet nie wiesz, cośmy przeżywali przez ciebie! Całą rodziną! Ojca przesłuchiwali. Mieszkanie nam chcieli zabrać, Witkowi grozili, że go ze służby zwolnią! Rozumiesz co to znaczy?

— Jakoś go nie zwolnili jednak. — wyszeptała mama. Wyglądała, jakby traciła siły z każdą sekundą. — Takie to szykany, że nawet pracy nie stracił. — mówiła — Nikt też nie wpadł na pomysł, żeby mnie wcześniej wypuścić.

— Tu cię boli! Gardzisz człowiekiem całe życie, a potem oczekujesz, że się za tobą ujmie?! — ciotka przełknęła głośno ślinę. — A myślisz, że starszy kapral to daleko sięga?!

Ciotce drżał głos, ręce i żabot bluzki. Stała tak nad stołem i nad mamą, która z kolei nie ruszała się z krzesła, z głową odchyloną do tyłu i nie mogła złapać tchu. Z emocji i z choroby chyba. Obie wyglądały jak w jakiejś scenie z „Jolandy”. Brakowało tylko pokojówki w fartuszu, która by stała w drzwiach z rozdziawioną buzią. Ale za tę postać mogłam robić ja, taka byłam przerażona. Nie rozumiałam tylko, co to jest ten donos. Czy wujek Witek też przywoził mamie zupy do więzienia? Krył się, bo pracował w milicji? O to się złościła na ciocię?

— Opanujmy się. — wyszeptała mama. — Wigilia jest.

— Jestem bardzo opanowana. — Wysapała ciocia.

— Lidka, przepraszam. Przecież wiem, jak wiele dla mnie zrobiłaś. I robisz. Bez ciebie bym nie dała rady. Teraz ani wtedy. — spojrzała na Lidkę znacząco.

Ciocia zamiast odpowiedzi, omiotła stół spojrzeniem.

— Idę odgrzać rybę i kapustę z grochem. Matylda! — spojrzała na mnie surowo — Czego siedzisz jak trusia! Jazda, zbierz mi ze stołu te naczynia po zupie!

WIZYTA W KOCIOLANDII

Ewelina Anna Zawadzińska—Zawadzka

- Cześć, no obudź się.
 - Gdzie ja jestem? Ty mówisz, Pysiu?
 - No tak, a ty myślałaś, że jak miauczę, to co ja robię cały czas?
 - Chyba nie myślałam. W sensie myślałam — miauczy to chce jeść lub chce by ją przytulić czy wypuścić na dwór.
 - Oj wy ludzie tacy jesteście śmieszni w tym swoim rozumowaniu.
 - Pysiu a powiesz mi proszę, gdzie my jesteśmy i co ja tutaj właściwie robię? Przecież ty odeszłaś w marcu tego roku.
 - Tak to prawda mój żywot w waszym ludzkim świecie się zakończył. Obecnie jesteśmy w Kociolandii.
 - Czy to znaczy, że ja śnię czy ...?
 - Powiedzmy, że coś na zasadzie snu i jawy. Po przebudzeniu będziesz pamiętać coś tam, aczkolwiek nie wszystko i nie od razu.
 - A jest jakiś powód, że tutaj jestem?
 - Tak chciałam się z tobą spotkać oraz byś spotkała inne swoje wcześniejsze koty.
 - Jest tutaj Maciek?
 - Ta Maciek, czy raczej powinnaś nazwać ją Maciejka?
 - Oj Pysiu wiem, że to była kotka, ale o tym dowiedziałam się jak zaginął a raczej zaginęła.
 - A co się z nim stało?
 - Najlepiej ja sama tobie opowie. O, właśnie idzie.
- Na horyzoncie pojawiła się idąca dość powoli postać czarnego kota. Gdy bardziej się zbliżyła, zobaczyłam, że ma biały krawacik pod bródką. Nie mogłam uwierzyć, że to mój Maciek.

Maciej zbliżył się niespiesznie, obszedł mnie dookoła i obwąchał, jednocześnie delikatnie łaszcząc się. Czułam dotyk jego delikatnego futerka. Stanął naprzeciw mnie z tymi swoimi zielonymi, wielkimi oczami. Uśmiechnął się.

— Hejka. Pamiętasz mnie?

— No jakże mogłabym Ciebie zapomnieć, byłeś moim pierwszym czarnym i ukochanym kotem.

— No tylko nie kotem, jestem kotką, pamiętaj proszę, o tym, a teraz chodź tutaj i poprzytulaj mnie. Ile to w końcu lat minęło? Miałaś dziesięć lat czy więcej, jak zaginęłam?

— Pewnie tak. To znaczyłoby, że widzimy się po czterdziestu latach. Ty nic a nic się nie zmieniłaś. Nadal masz pięknie lśniąca sierść, taką czarną jak węgiel i te twoje zielone, wielkie oczy.

— Za to ty jesteś większa, choć nadal szczupła. Przytyłaś cokolwiek w międzyczasie? Ładnie wyglądasz, choć pachniesz inaczej niż wtedy.

— To znaczy, jak pachnę?

— Nie jak dziecko, tylko jak dorosła kobieta. Dzieci inaczej pachną — tak słodko, mlecznie, nawet jak już nie są niemowlakami. Poza tym emanuje od nich świeżość, miłość, wiara, czułość i spokój. Wy, dorośli, tego już w sobie nie macie. Choć muszę przyznać, że od Ciebie bije spokój i siła wewnętrzna.

— Dziękuję serdecznie Maciusia, mogę tak mówić do Ciebie?

— Może być Maciusia.

— Jest jakichś powód, dla którego tak naprawdę jestem tutaj?

— Tak. Obserwujemy was ludzi. Każde zwierzę, które do kogoś należało jakby czuwa nad swoimi właścicielami. Choć czasami zastanawiamy się kto czyim był właścicielem. Gdy uznajemy, że jest wyższa potrzeba wzywamy was do siebie by przestrzec lub jeszcze raz was zobaczyć, przytulić się i poczuć wasz zapach. Jak jesteśmy tutaj to tego nie czujemy, w sensie waszego zapachu.

— A czy schodzicie do naszego świata ponownie jako małe koty?

— Tak bardzo często, jeżeli nasz Mistrz wyrazi zgodę.

— Wezwaliśmy ciebie by podziękować Tobie za to jak się nami opiekowałaś, byś nie dręczyła się, że może Pysię dałoby się uratować gdybyś wcześniej ją

znalazła i że Twix żyje i ma się całkiem dobrze. Żyje na Ziemi. Zmienił tylko właścicieli. Musiał, bo jego zadanie u was się zakończyło. Tak więc nie dorwał jego żaden lis, ani nikt nie zrobił jemu krzywdy.

— A co z Białą?

— Biała też ma się dobrze. I podobnie jak Twix jest u innej rodziny. Choć ona wielokrotnie zmieniała rodziny. Jej zadaniem jest jak się dobrze domyśliłaś, pomagać kobietom, czasami mężczyznom. Generalnie ma was, kobiety wyciszać, byście mogły mieć swoje upragnione dzieci.

Usłyszałam śpiew ptaków dochodzący za okna. Przewróciłam się na lewy bok, wzięłam telefon. 8:00 rano.

Czyli to był tylko sen?

RÓWNOLEGŁE ŚWIATY

Julia Roguszcza

Zula zaciska nerwowo lewą dłoń na uchwycie wielkiej granatowej walizki. Prawą dłoń, lepką już od potu, trzyma w kieszeni oversizowej kurtki i zaciska na swoim smartfonie. Długo wpatruje się w tablicę odlotów. Jakby się bała, że zapomni, do którego check—inu powinna się udać, by odpowiednio nadać bagaż, który odbierze w Sao Paulo. Ma nadzieję, że walizka nie zaginie w niebycie transferów. Poprzedniego dnia starannie pakowała próbki do zaprezentowania na spotkaniach z potencjalnymi klientami. Same spotkania jej nie stresują, robi to w końcu od lat. Jeszcze nigdy jednak nie leciała służbowo w tak daleką podróż do kraju, o którym mówiło się, że jest niezwykle niebezpieczny. Zula od kilku dni czuła narastający lęk przed wyprawą, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, co oznacza „niebezpieczny”. Wyjmuje z kieszeni telefon. Odczytuje wiadomość od mamy: „Bezpiecznej podróży!”, odruchowo scrolluje ostatnie posty na Instagramie i szybko pisze wiadomość do męża: „Zaraz nadaję bagaż, odezwę się jeszcze z samolotu”. Przynajmniej nie czuje się samotna, mając dostęp do całego świata w tym małym urządzeniu.

Po drugiej stronie globu, na pierwszym spotkaniu Gangue do Quebra—Vidro*, siedemnastoletni Miquel zaciska pięści równie nerwowo jak Zula. Skrywa lepkie dłonie w kieszeniach swoich znoszonych, przykrótkich džinsów. Nie jest to odpowiedni moment na okazywanie słabości. W tym świecie nie ma miejsca dla mięczaków, Miquel to wie. Jego przyjaciel Jesus niedawno zaproponował mu dołączenie do ekipy, która obstawia Radial Leste**. Miquel wcześniej działał na własną rękę, kradł telefony i portfele w różnych miejscach, jednak nie było z tego wielkich korzyści. Niekiedy udawało mu się szybko opchnąć telefon, ale w portfelach rzadko kiedy znajdował gotówkę. W zorganizowanej ekipie przynajmniej będzie miał wsparcie i wypłaty od zdanych łupów. Widział w tym

szansę na poprawienie swojego losu. Nie chciał, jak jego starszy brat Pedro, handlować dragami. Miquel był przekonany, że Pedro sam zaczął ćpać, a to jego zdaniem, był najgorszy upadek.

Zula dotarła do Sao Paulo, miasta metropolii, regionu Brazylii, który jest wielki jak Polska. Nie mieściło jej się w głowie, że cały ten kraj jest większy od Europy. Nie mieściło jej się również w głowie, że tak blisko siebie mieszkają bogacze, którzy poruszają się samochodami z kuloodpornymi szybami i ludzie biedni, na granicy bezdomności, których jedynym celem jest przetrwanie. Ostrzegali ją kierowca taksówki, recepcjonista w hotelu oraz kelner w restauracji: wyglądasz jak turystka, widać, że nie jesteś stąd, uważaj na siebie, możesz być łatwym celem. Noś plecak z przodu, nie wyciągaj telefonu, nie chodź sama, jak tylko możesz, poruszaj się samochodem. Zula była przekonana, że to przesada, ale nie zamierzała prowokować losu. Trzymała się wszystkich wskazówek. Była zawiedziona, że nie może swobodnie robić zdjęć na ulicach. Bardzo chciała pokazać na Instagramie ten dziwny, ale ciekawy świat.

Miquel nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest nie być głodnym. Jak to jest, czuć się bezpiecznie. Mieć od ręki kasę na żywność dla rodziny, na buty dla młodszego brata. W jego domu każdy musiał kombinować. Matka zarabiała marnie sprzątając w sklepie spożywczym, nie było jej stać na wykarmienie trójki chłopaków. Każdy z braci wiedział, że musi dołożyć do budżetu domowego. Jak to zrobić w miejscu, gdzie nie ma pracy dla takich, jak oni? Miquel próbował dorywczych zajęć, sprzątania, kurierki. Nigdzie nie było umów, zarobki były mizerne lub nie było ich wcale. Postanowił więc wziąć sprawy w swoje ręce. Teraz, razem z Jesusem, obstawiają Radial Leste cztery razy w tygodniu przed południem. Zmieniają się z innymi chłopakami, by nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Chociaż w tym rejonie policja i tak ma wszystko gdzieś. Drobne kradzieże, znikające telefony i portfele wtopiły się w codzienność Sao Paulo.

Na ostatnie spotkanie Zula musi pojechać 20km na wschód od swojego hotelu. *Gdybym była we Włoszech, pojechałabym pociągiem*, pomyślała. Tu jednak bezpieczniej pojechać prywatnym transferem. Spotkanie ma się odbyć za 1,5 godziny, ale kierowca uprzedził ją o korkach na trasie. Lepiej mieć zapas czasu.

Droga dłuży się niemiłosiernie. Faktycznie, w środku tygodnia przed południem miasto jest zakorkowane na full. Samochody poruszają się w ślimaczym tempie. Słońce dogrzewa przednią szybę i Zula czuje, że zaczyna odpływać. Nie może przecież zasnąć przed spotkaniem, musi się ogarnąć. Bierze długi łyk zimnej wody gazowanej. Chce pogadać z kierowcą, żeby się rozbudzić, ale on przecież nie mówi po angielsku. Wyjmuje telefon, żeby napisać do niego na komunikatorze. Tylko po co? Chowa telefon z powrotem do torebki. Jej myśli zaczynają krążyć wokół powrotu do Polski. Musiałaby się dzisiaj spakować. Jutro przed wymeldowaniem zdąży jeszcze pójść do marketu. Chciałaby przywieźć do domu brazylijską kawę. Wyjmuje telefon by w google sprawdzić, od której otwarte są sklepy.

Miquel stoi na poboczu wielopasmowej jezdni. By lepiej widzieć, co dzieje się na drodze, ułożył sobie podwyższenie z kilku znalezionych w rowie cegieł. W tych godzinach cały ruch stoi. Pięć pasów jezdni wypchanych samochodami. Między pojazdami śmigają w tę i z powrotem mężczyźni w różnym wieku. Jeden proponuje mycie szyb. Kolejny sprzedaje mentosy. Jeszcze inny próbuje wcisnąć kierowcom chipsy. Nikt z pasażerów nie zwraca na nich uwagi. Są jak brzęczące upierdliwie wokół głowy muchy. Miquel rozgląda się uważnie, jest dobry w swoim fachu. Nagle wypatruje ją. Siedzącą na miejscu pasażera blondynkę z pochyloną głową. Cel idealny. Nie spuszcza jej z oka, lewą ręką klepie po ramieniu kucającego obok Jesusa. Ten od razu wie, co robić. Odpala skuter. Obaj młodzi mężczyźni wskakują na siodelko i ruszają wzdłuż zewnętrznego pasa.

Zula chowa telefon do torebki, która spoczywa na jej kolanach. Pamięta przecież, że nie należy wymachiwać urządzeniem, nawet kiedy siedzi bezpiecznie zamknięta w samochodzie. Znużona wyczekiwaniem, rozgląda się wokół. Kiedy sprzedawca mentosów przechodzi koło niej, mocniej zaciska dłonie na torebce. Sprawdza w lusterku bocznym, czy oddalił się na bezpieczną odległość, po czym wypuszcza wstrzymywane powietrze z płuc. Za to zupełnie nie zwraca uwagi na nadjeżdżający z naprzeciwka skuter. Nawet przez sekundę nie dociera do niej, że pojazd porusza się pod prąd. Kiedy jeszcze wgapia się w lusterko, słyszy huk. Rozbite szkło rozpryskuje się milionem odłamków na jej kolana. Zula jeszcze nie rozumie, co się dzieje, gdy w mgnieniu oka do środka wsuwa się obca ręka i równie

szybko znika jej torebka. Totalnie zdezorientowana wychyla się przez rozbite okno. Dociera do niej tylko dźwięk bzzyt, bzzyt, lawirującego między autami skutera. Zdąży uchwycić spojrzenie młodego mężczyzny, uciekającego z jej torebką w ręce.

Przez głowę Zuli przemyka myśl, że straciła całe życie zamknięte w małym czarnym pudełku telefonu. W tej samej chwili przez głowę Miquela przemyka myśl, że jutro nie będzie musiał się martwić o ciepły posiłek.

*Gangue do Quebra—Vidro (gang wybijaczy szyb) — potocznie o grupach specjalizujących się w atakowaniu aut w korkach

**Radial Leste — główna droga łącząca wschodnią część Sao Paulo z centrum, regularnie wymieniana przez służby bezpieczeństwa jako punkt zapalny dla „gangów wybijaczy szyb”, zawiera od 3 do 5 pasów ruchu w każdym kierunku

ZIELNA

Kasia Klein

Słońce nie jest nawet w połowie drogi do zenitu, a już czuję, jak czubkiem promieni wypala mi kolejne piegi na ramionach. Zadbałam o głowę słomkowym kapeluszem z szerokim rondem. Zadbałam o nos, kładąc na nim liść babki, tak jak mnie tutaj kiedyś nauczyła. Ale nie zadbałam o ramiona zakładając sukienkę hiszpankę. Wieczorem będę cierpieć.

Akurat dzisiaj, przebudzona o czwartej nad ranem, w najgorętszy dzień tygodnia, jakiś bies we mnie, kazał wsiąść w auto i jechać dwie godziny na tę konkretną łąkę. Rozsądne myśli, coś tam próbowały przekazać, ale wszyscy wiedzieliśmy, że na nic to, więc nawet racjonalne argumenty materializowały się bez przekonania.

Po drodze zatrzymałam się dwa razy — na stacji benzynowej, gdzie oprócz kawy kupiłam więdnący bukiet kwiatów i przy polu, z którego przezornie zabrałam kilka kłosów żyta. Z kłosami oraz z kwiatami dalii wyjętymi z bukietu, wysiadłam z auta i ruszyłam spod kościoła znaną mi ścieżyną prosto w dzikie.

I dlatego stoję rano pośrodku łąki, słońce spala skórę na moich ramionach, a ja zrywam zielsko do bukietu. Tak, jak robiłam to kiedyś co roku tego dnia. Ostatni bukiet związałam tu piętnaście lat temu.

Bies miał rację. W okolicach wsi nie było już pól porośniętych zbożem, a potrzebowałam ich, by prosić, ale też podziękować za urodzaj, plony i obfitość. A ostatni rok obfitował w zmiany, które nieproszone wywróciły porządek rzeczy. Jak się okazało, porządek powierzchowny, z przekonaniami, rutynami upchanymi w trudno dostępnych miejscach.

Składałam bukiet pilnując, aby liczba roślin była nieparzysta. Nie dbam już tak bardzo o to, aby było ich równo siedem. A było lato, gdy złożyłyśmy bukiet składający się z 77 gałązek.

Dobieram zioła.

Rumianek na ochronę domowników, zdrowie.

Ale mówiła również, że jest dobry na magię początków i miłość.

Z miłością to nie wiem, ale na magiczne początki jestem otwarta.

Potem dziurawiec na ochronę przed największym złem, ale też na źródło słońca i radości.

A tego ostatniego potrzeba mi garściami.

Jest wrotycz, który oczyszcza i chroni.

Kolej na polne kwiaty.

Zrywam chabry, które cenila za prostotę. Były pochwałą prostego życia.

Tęsknię za prostym życiem. Przez tyle lat uciekałam od niego na oślep, a teraz próbuję znaleźć do niego drogę i wciąż z niej zbaczam.

Nawłóć, rozrastająca się jak dzika, bez żadnych zahamowań.

Ten kwiat też jest o obfitości, ale mawiała, że i o dojrzewaniu, zamykaniu etapów. Zdecydowanie, nie otworzę już niektórych drzwi. Ale może przez inne powinnam wchodzić bez wahania?

Składam zioła, kwiaty i zboża. Mieszam je między sobą, zamieniam miejscami i dopiero po chwili orientuję się, że robię dwa bukiety. Niech i tak będzie.

Do każdego dodaję po dalii.

To były jej ulubione. Mówiła, że każdy bukiet potrzebuje czegoś pięknego. A dalia mówiła o wdzięczności, wewnętrznej sile i odwadze.

Z tą wdzięcznością to różnie bywa. Niewidzialna, nieuchwytna. Łatwa do pominięcia, gdy wypatruje się tego, co za rogiem, za horyzontem. Nawet jak się o nią potkniesz, to nie zauważysz, bo weźmiesz za pewnik. Ale odwagi mi nie brakuje.

Choć też mawiała, że między odwagą a głupotą przebiega cienka, również niewidzialna linia. Więc kto wie?

Dodawała do bukietów dary ziemi. Makówki albo gałązkę śliwy z owocami. Ja wkładałam jarzębinę, którą zerwałam przy miedzy.

Z torebki wyciągam czerwoną nić. Aż dziw, że wciąż trzymam zestaw do szycia w bieliźniarce, choć od lat nie cerowałam ani niczego nie zaszywałam. I może dlatego wszystko się rozlazło?

Tamte bukiety związywałyśmy czerwoną tasiemką. Mówiła, że czerwona jest po to, aby nie zgubić samej siebie. I choć ta nić jest cienka, to wierzę, że tym razem mocno przytrzyma mnie przy sobie, skoro już siebie znalazłam.

Z gotowymi bukietami wychodzę na drogę. Dołączam do kobiet, które również niosły w dłoniach bukiety. Bogate w kolory, pełne i piękne. Szłam wraz z nimi, ale gdy one skręcały w stronę kościoła, jak odbiłam w prawo. Prosto na cmentarz.

Pewnie wołałaby dostać poświęcony bukiet, ale ja już dawno odeszłam od tej wiary, a bukiet składałam dzisiaj dla niej.

Babka lubiła to święto i ten czas, choć w sercu robiło się już trochę tęskno, że mija. Mówiła, że bukiety to pełnia lata, którą można wetknąć za ramę obrazu lub powiesić przy drzwiach w domu, aby cały czas przypominała, że piękno jeszcze powróci.

To ona musiała zbudzić mnie dziś nad ranem. To ona kazała przyjechać i składać bukiet. A jak się okazało dwa. Po jednym dla każdej. Zostawiłam jej na płycie polskie lato owinięte mocno czerwoną nicią i ruszyłam w stronę auta.

Po kawie i staniu w łące przy pełnym słońcu, język miałam suchy a w gardle czułam drapanie. Na szczęście właściciel wiejskiego sklepu musiał dostać dyspensę od proboszcza, bo sklep był otwarty. Tuż przed nim, na ławce, siedziało trzech mężczyzn. Na oko w moim wieku, choć czas, praca na roli i alkohol, nie były dla nich łaskawe. Coś rzucili do mnie, a ja pomyślałam, że gdyby los potoczył się inaczej, to kto wie? Może któryś z nich byłby moim mężem?

Zgasłam tę głupią myśl i żar w gardle niegazowaną wodą. Dochodziłam już do drogi, gdy ktoś zawołał moje imię. Czyżby jeden z moich niedoszłych mężów? Odwróciłam się.

Przedemną stał wysoki, błękitnooki mężczyzna. Siwe nitki przetykały bujną, ciemną czuprynę.

— Nie wierzę, Inka! Prawie cię nie poznałem przez ten... liść. — Szeroki uśmiech jak u Kota z Cheshire.

Głupia — zgańlam się ściągając babkę z nosa i jednocześnie poklepując się w myślach po spalonym ramieniu za wybór hiszpanki.

— Czarek? — Z niedowierzaniem patrzyłam na miejscowego chłopaka, z którym spędzałam czas co roku podczas wakacji u babci. — Kopę lat!

— Tak, ale szczerze mówiąc spodziewałem się, że przyjedziesz.

— Doprawdy? — Cóż ta babcia miesza z zaświatów?

— W sprawie domu. — Nie widząc żadnej myśli przebiegającej przez moją twarz, dodał — Koralewscy sprzedają dom twojej babci.

— Jak to? Mieszkają tu już kilkanaście lat.

— Koralewska ma dość powodzi.

— Przecież dom jest na górze.

Czarek wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że wiesz i chcesz odkupić.

— Nie, przyjechałam na groby.

Chciałam coś jeszcze powiedzieć, ale myśli rozbiegły się we wszystkie strony świata, na dźwięk klaksonu z terenowego auta, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Czerwone paznokcie niecierpliwie uderzały o kierownicę.

Oczywiście, że muszą być czyjeś paznokcie.

— Muszę lecieć, świetnie było cię zobaczyć! — ruszył w stronę auta.

A ja, zamiast wrócić do swojego, poszłam pod dom babci.

Stał tak samo jak zawsze. Mimo zmiany właścicielstwa pod oknami nadal rosły malwy, a przez płot przelewały się gałęzie obwieszone śliwkami. To z tej śliwy babka dodawała gałązki z owocami do bukietu.

Zerwałam śliwkę i wrzuciłam ją sobie prosto do ust. Jej słodki miąższ rozpułynał się na języku a przed oczami szybko przesunął się kalejdoskop barwnych wspomnień.

Nim wypluta przeze mnie pestka spadła na ziemię, wybrałam numer wydrukowany na płachcie wiszącej na balkonie.

— Dzień dobry! Dzwonię w sprawie ogłoszenia.

Gorzki, ziołowy zapach wrotyczu zmieszał się z ciepłą słodkawo—ziołową wonią rumianku i słodkim aromatem nawłoci.

W końcu kwiaty do domu już mam.

PHOENIX

Agnieszka Dzedzic

Audiodziennik Józefy

Dziś pierwszy raz byłam w ogrodzie bez Wiktorii. Sama ze swoją ciemnością. Trasę od wejścia przy ulicy Kopernika do mojej ławki, tam gdzie rośnie Fagus, znam już na pamięć. Tyle razy przeszłam już tędy z Wiktoria, że o zmieniającej się nawierzchni mogłabym napisać doktorat. Ale dziś było inaczej. Poszłam prosto do szklarni. Do tej szklarni. Głos mi się łamie, kiedy chcę o tym opowiedzieć.

Musiałam przerwać nagrywanie. Rozpadłam się na kilka niepołączonych części. Moje chęci, moje myśli i mój głos — każdy z tych elementów opowiadał sobie tylko znaną opowieść. I te opowieści nigdzie się nie spotykały. Próbuje jeszcze raz. Kilka oddechów. Próbuje jeszcze raz. Raz, dwa, trzy.

Choć od wyjścia ze szpitala jestem w Ogrodzie prawie codziennie, to dotąd ani razu nie odważyłam się stanąć przed nim.

Wiktorii podczas naszych pierwszych spacerów pytała wiele razy, czy nie chcę iść do swojego ukochanego drzewa. Drzewa! Kiedy wreszcie wbiła sobie do głowy, że daktylowiec nie jest typowym drzewem, to pytała już trochę ostrożniej. I rzadziej. A potem przestała pytać. W analitycznym, zero—jedynekowym mózgu mojej dobrej córki nie mieściło się chyba, że mogłabym nie chcieć iść do Phoenixa canariensis. Rośliny, która była całym moim życiem przez piętnaście ostatnich lat. No ale, że Wiktorii to naprawdę dobra córka, na którą raczej nie zasłużyłam, to w końcu odpuściła. Mam tylko nadzieję, że już nigdy nie nazwie Phoenixa drzewem!

Wokół Phoenixa była grupa ludzi. Czyli nic się nie zmieniło — jak zawsze musi otaczać go wianuszek adoratorów. Rozpoznałam trzy, może cztery głosy, ale czułam, że grupa jest większa. Od kiedy straciłam wzrok jestem wyczulona na obecność ludzi w przestrzeni, w której przebywam. Nie umiem tego wyjaśnić, po

prostu wyczuwam, kiedy obok są inni ludzie, nawet jeśli nie odzywają się ani słowem. Pozostało więc czekać aż zostanę sama z daktylowcem.

Pierwsze dotknięcie Phoenixa sprawiło mnie w zakłopotanie. Uświadomiłam sobie nagle, że żadnej rośliny, a nawet żadnej innej żyjącej istoty nie miałam tak dogłębnie i szczegółowo przeanalizowanej. A jednocześnie przez te wszystkie lata intensywnych badań dotknęłam go może kilka razy. I to raczej od niechcenia, przypadkowo. Lub co gorsza — przedmiotowo. Bo dotyk w ogóle nie miał miejsca w moich badaniach. Nie miał żadnej wartości dla poważnej nauki, którą wtedy parałam się i ja — poważny naukowiec. Tak, koniecznie w męskiej formie.

Skóra Phoenixa nie była tak zimna jak u Fagusa. Może jeszcze miała w sobie zamknięte promienie słońca z Wysp Kanaryjskich? Naraz wyczułam setki namnażających się niby palców wieńczących nasadę kłodziny. Przesuwałam dłoni niczym wskazówkę zegara zataczając coraz szersze kręgi. I ze zdziwieniem odkrywałam w każdym tym ni to soplu, ni to palcu chłód. Jednocześnie nie byłam pewna, czy to rzeczywiście fizyczne odczucie zimnej powierzchni, czy raczej moje subiektywne wrażenie. Coś jakby poczucie wyższości i wręcz wzgardy, które stanowiło nieprzekraczalną barierę między mną a rośliną. Chłód jaki podobno często sama miewałam w oczach. Ale akurat tego bym się nigdy nie spodziewała po ukochanej istocie.

Chwilami wydawało mi się, że dotykam drogiego, eleganckiego papieru. Chłodny i gładki do szaleństwa. Taki papier przyjmuje każde słowo i nigdy nie zdradzi się ze swoim obrzydzeniem do spisanych na nim treści. Tak właśnie było, kiedy dotykałam korzeni powietrznych u nasady Phoenixa. Ile rąk dotykało go przede mną? To w końcu nasz najstarszy szklarniowy okaz tej rośliny zasadzony w gruncie. Tu, w krakowskim Ogrodzie przebywa już prawie od 200 lat, więc jak wyobrażam sobie te ilości rąk, które go dotykały, robi mi się niedobrze. Tłuste pocące się od zbyt dużej wilgotności dłonie starych biologów. Małe, lepiące się od lodów dziecięce rączki. Dłonie młode, stare, wysmukłe i pulchne. Ale może wcale nie? Może dotykam go jako jedna z nielicznych? Może ta dziwna płatanina korzeni napowietrznych skutecznie odstrasza? Jeszcze pamiętam jej obraz — nieprawdopodobny, biomorficzny stwór, bardziej jak zwierzę niż roślina. Nigdy

nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby tego dotknąć. Tak, tego. Bo w moim umyśle ta część rośliny oddzieliła się od reszty ciała *Phoenixa canariensis* i stała się odstręczającym a jednocześnie budzącym respekt i ciekawość autonomicznym bytem.

Phoenix canariensis pod palcami sprawił, że zaczęły do mnie wracać dawno przykurzone albo może wręcz wyparte wspomnienia. Ta przedziwna mieszanka, połączenie strachu, fascynacji i obrzydzenia, a wszystko to jednocześnie w najwyższym stężeniu, pojawiło się podczas pierwszych kąpieli Wiktorii.

Znowu musiałam zatrzymać nagrywanie. Co się ze mną dzieje? Nie przypuszczałam dotąd, że dotyk może być wehikułem do podróży w czasie. A właściwie — w bezczasie, bo chyba tak najlepiej określić te pierwsze tygodnie po narodzeniu córki. To, że obie przetrwaliśmy tamten okres zawdzięczamy mojemu doskonałemu autopilotowi, który zresztą potem ratował mnie jeszcze nieraz w życiu. Ale rachunek zawsze przychodził za niego srogi, bardzo srogi.

Bałam się, tak cholernie bałam się, że moje ręce za mocno przycisną i skrzywdzą to małe ciało, ciepłe i zaróżowione jak pierwsze płatki magnolii. Najbardziej bałam się kąpieli. Tysiąc razy przed zaśnięciem pod powiekami wyświetlał mi się film jak Wiki wyslizguje się z moich bezradnych rąk. Jak rozbryzguje się na podłodze, a ja zastygam w bezruchu, usta rozdzierają się do krzyku, ale nic się z nich nie wydobywa. Nie mogę się nawet ruszyć.

To było ponad moje siły, wymyśliłam więc podczas kolejnej nieprzespanej nocy, że schowałam dumę perfekcjonistki na chwilę do kieszeni i poproszę koleżankę z instytutu, żeby przychodziła do nas wieczorami wykąpać Wiki. Mieszkała na tej samej ulicy i sama chętnie szukała pretekstu, by wyskoczyć gdzieś na chwilę. Pójść na plotki, oderwać się od gderającego męża i trójki własnych dzieci.

I o ile jakoś znosiłam to jej całe paplanie, to Wiktorii od pierwszej minuty, kiedy znajoma przekraczała próg naszego mieszkania wpada w histeryczny, niepohamowany płacz. Było to o tyle osobliwe, że poza wizytami tej kobiety prawie nie wydawała z siebie dźwięków. Po kilku dniach tej katorgi stwierdziłyśmy zgodnie,

że należy mi się medal najbardziej nietrafiony pomysł roku i znajoma przestała przychodzić.

Zostałam sama z moim strachem, o którym trochę wstyd mi mówić nawet teraz, po tylu latach. Przed pierwszą samodzielną kąpielą zaparzyłam melisę dla uspokojenia, ale nie byłam w stanie jej wypić, bo tak miałam ściśnięte gardło. Do tego dłonie nie były w stanie utrzymać szklanki, a co dopiero niemowlęcia. I kiedy miałam się już poddać, znowu szukać jakiejś innej kobiety, która mogłaby mi pomóc, Wiktoria zamachała paluszkami w moją stronę. Nie wydawała przy tym dźwięku, nie płakała, nie uśmiechała się. Mało tego: miała przymknięte oczy, ale malutkie palce — które teraz trochę kojarzą mi się z tymi soplowatymi palcami Phoenixa — celowała prosto we mnie. Wtedy poczułam, że jesteśmy w jakiś niezrozumiały sposób połączone na zawsze. Wrócił upragniony spokój. Zaczęłam polewać ją delikatnie wodą. Uśmiechnęła się, ale oczu nie otworzyła. To była jej pierwsza kąpiel bez krzyków.

Narracja Phoenix canariensis

są oddychają ruszają się słońce świeci są szumią ludzie liście poruszają się
ludzie ludzie są chmury cień ruszają się oddychają są ludzie ludzie dotykają klepią
głaszczą drapią wachają ułamują ból boli ludzie są ruszają się słońce świeci są
ruszają się dotykają głaszczą

nie ma

wiatr liście poruszają się

nie ma

szeleszczą są ludzie ludzie szumią poruszają się nie dotykają ludzie ludzie
ludzie jestem czuję rosnę słońce ludzie łaskoczą głaszczą

nie ma

jestem woda piję rusza się człowiek szeleszczą liście czuję woda krąży jestem
słońce

nie ma nie ma

ludzie są poruszają się szumią nie czują czuję jestem

To fragment powieści nad którą aktualnie pracuję. Kraków, lata 20. XXI wieku, botaniczka pracująca w Ogrodzie Botanicznym, Józefa Warszewicz, zagłusza depresyjne myśli pracą naukową, której poświęciła całe swoje prywatne życie. Przez to jej relacja z dorosłą córką Wiktorią jest naszpikowana tematami tabu. Po tym jak Józefa doprowadza do wypadku samochodowego, w wyniku którego całkowicie traci wzrok, sens życia próbuje odnaleźć w prowadzeniu audiodziennika. Powieść składa się z trzech ścieżek narracyjnych: audiodziennika Józefy, maili Wiktorii do przyjaciółki oraz narracji roślin.

PRAWDZIWE IMIĘ

Marta Wieniawska

Wysoka kobieta o jasnej cerze i krótko obciętych włosach blond wita kolejne osoby w sposób zdawałoby się serdeczny, choć powściągliwy. Z jej gestów przemawia doświadczenie osoby, o której mówi się profesjonalistka. Ktoś, kto może czerpać pewność siebie z długich lat wytrwałej pracy. Ktoś, kto już dawno nie ma potrzeby udowadniania sobie i innym, że świetnie zna się na rzeczy.

— Staśmy w kręgu. — Zaprasza kilkanaście osób zgromadzonych w przestronnej sali.

Przez szerokie drzwi tarasowe za jej plecami wpada szare światło deszczowego dnia. Szelest przechodzących przez pokój osób zlewa się z przytłumionym dźwiękiem ziarnistego stukania deszczu o szkło szyb. Po chwili na sali cichnie i słychać już tylko głuchy szum na dworze.

— Nazywam się Froukje Hannema. — Rozpoczyna spokojnie kobieta, wodząc wzrokiem po zgromadzonych. Ręce trzyma delikatnie splecione na brzuchu. — Przez wiele lat prowadziłam zajęcia z emisji głosu i występowałam na scenie. W pacy tej moim celem było wyćwiczyć głos tak, by brzmiał jak najpiękniej i jak najczyściej w szerokiej skali oktav. Na każdej lekcji rozróżniałam pomiędzy tym, co w brzmieniu ludzkiego głosu precyzyjne i stabilne, a co fałszuje i co technicznie niepoprawne. To, czym obecnie zajmuję się w mojej pracy nie ma nic wspólnego z poprawnością.

Zastanawiam się, czy jej wierzę. Czy jest autentyczna? Czy potrafi nie oceniać? Ja sama składam teraz w ułamkach sekund elementy jej wyglądu, gestów i słów w obraz, który automatycznie poddaję testowi o skali od pretensjonalna do godna zaufania. Wynik jest niejednoznaczny.

Kobieta bierze spokojnie głębszy oddech i lekko się prostuje, utrzymując cały czas kontakt wzrokowy z uczestnikami, po czym kontynuuje.

— Zanim zaczęłam prowadzić warsztaty z uwalniania głosu, uczyłam również ekspresji głosu. Na takich zajęciach skupialiśmy uwagę na artystycznym wyrazie emocji poprzez wydawane dźwięki. Pracowaliśmy z dynamiką, natężeniem i intonacją głosu. Siła wyrazu głosu to potężne narzędzie komunikacji. Jednak to również niewiele ma wspólnego z moją obecną pracą i naszym dzisiejszym spotkaniem. W uwalnianiu głosu nie cel, ale proces jest tym co nas interesuje. Każde brzmienie głosu ma wartość samo w sobie i jest na miejscu.

Ktoś nagle głośno odchrząkuje i zawstydzony posyła zgromadzonym nieśmiały uśmiech. Rozpoznaję w mężczyźnie człowieka, z którym krótko rozmawiałam popijając herbatę przed wejściem na salę. Ma na imię Mohammed i pochodzi z Jemenu. W Holandii mieszka od ośmiu lat. Na twarzy kobiety prowadzącej warsztaty również pojawia się lekki uśmiech. Bierze znów głębszy oddech i tym razem zachęca.

— Poczuj czy twoje ciało chce się może teraz poruszyć tak, by uwolnić wszelkie napięcie. Może chcesz ziewnąć, westchnąć, może przeciągnąć się lub wzruszyć ramionami. Weź wdech, a z wydechem wypuść na zewnątrz wszystko to, co domaga się uwolnienia. Możesz to zrobić poprzez sam wydech, a może chcesz też wydać z siebie jakiś dźwięk.

Zaczynam ruszać powoli głową, robiąc niewielkie obroty. Czuję sztywność i napięcie mięśni szyi i karku. Coś mnie krępuje, jakby powietrze wokół stawiało niewidzialny opór. Próbuję wziąć głębszy oddech, ale przy pierwszym podejściu nie bardzo mi się to udaje. Wydechu niemal nie słyszę. Prostuję się bardziej zdecydowanie i uśmiecham z dobrej woli. Przyszłam tu przecież co najmniej z ciekawości.

— W naszych ćwiczeniach dzisiaj nie będziemy się starać odezwać głosem czystym, pełnym, czy w jakikolwiek sposób poprawnym. Te kategorie tu nie istnieją. Będziemy dawać sobie przestrzeń, by zabrać taki głos jaki jest w nas na ten moment, w każdym z was z osobna. Będziemy próbować odezwać się swoim autentycznym, własnym głosem. — Kobieta przerywa na chwilę i patrzy na nas z zaciekawieniem. — Czy macie może jakieś pytania?

W odpowiedzi ludzie rozglądają się tylko po sali, niektórzy przestępują z nogi na nogę, ktoś przykucnął i zaraz potem znowu wstał. Kobieta mówi dalej.

— Jako osoby z historią obcego pochodzenia swoją własną lub pośród bliskich, wiecie zapewne lepiej niż inni jak to jest starać się dopasować do otoczenia. Być może zdziwi was, gdy powiem, że ja również przeżyłam proces asymilacji w Amsterdamie. Wyglądam jak typowa Holenderka, jestem wysoką blondynką o jasnej cerze i nie mam obcego akcentu, mówiąc po niderlandzku. Pochodzę natomiast z Fryzji na północy kraju. W moim rodzinnym domu mówiło się po fryzyjsku i choć w szkole uczyłam się niderlandzkiego, żyłam w odmiennej kulturze i przyjazd do tej części Holandii ponad trzydzieści lat temu wiązał się dla mnie z dużą zmianą. Moje imię, Froukje, jest typowym imieniem fryzyjskim.

Przyglądam się teraz kobiecie uważniej i powtarzam w myślach Frałkje... Ciekawe czy to imię ma jakieś znaczenie. Brzmi zabawnie i jakby trochę niepoważenie. Wiem, że to głupie tak myśleć, ale przecież nie powiem tego na głos. Czy takie imię mogłoby znaczyć na przykład pełna mocy alba pełna pokoju, lub może czcigodna? Kobieta, jakby słysząc te myśli, powtarza spokojnym głosem. — Froukje. — Po czym milknie na moment na tyle długi, że wśród obecnych daje się wyczuć pewne zmieszanie. Wreszcie kobieta, Froukje, odzywa się znowu, mówiąc.

— A teraz chciałabym, żeby każdy z was po kolei powiedział swoje imię. Swoje prawdziwe imię, takie jakim nazywano was, gdy byliście dziećmi. Tak często bowiem zdarza się, że przenosząc się do innego kraju, nasze imię ulega zmianie. W nowym otoczeniu miejscowym ludziom trudno jest czasem wymówić nasze imię poprawnie, a czasem my sami rezygnujemy z nadanego nam imienia, modyfikujemy je lub wybieramy inne. Powiedzcie proszę samo swoje imię, to jedno słowo. Czy możemy zacząć od ciebie? — Froukje zwraca się do stojącej po jej lewej stronie młodej kobiety w kręconych włosach i z rumieńcami na twarzy. Dziewczyna uśmiecha się swobodnie i patrząc przed siebie, mówi dźwięcznym głosem.

— Pilar.

Zaraz po niej głos zabiera stojący obok ciemnoskóry mężczyzna.

— Jan.

Naprawdę? Myślę. Tak ma na imię mój brat. No ale oczywiście nie on jeden. Stukam się w myślach palcem w czoło. Słucham kolejnych imion, które nie wiedziałabym jak zapisać.

— Eda. — Odzywa się niska kobieta lekko drżącym głosem.

— Fatema. — Brzmi matowo imię dziewczyny o złoto—beżowych oczach.

— Charo. — Pada szybko z ust chłopaka o oliwkowej cerze i wyrazistych rysach twarzy. Myślałam, że Charo to imię żeńskie.

— Adelia. — Dziewczyna w moim bodajże wieku wymówiwszy swoje imię chowa twarz w dłoniach. Po chwili podnosi głowę i widać, że stara się powstrzymać łzy. Czuję lekki ucisk w żołądku.

— Roksołana. — Ktoś mówi spokojnym głosem.

— Jigit. — Mocnym głosem.

— Ezra. — Szeptem.

Twój głos mówi o Tobie i pokazuje cię przez swój dźwięk, zauważam. Może ujawnia też trochę to czy chcesz być usłyszana czy nie. Ale czy nie każdy chce być usłyszany? Przychodzi kolej na mnie.

— Agnieszka. — Słyszę swój niepewny głos.

Tak dawno nie przedstawiałam się tym imieniem. Od lat mówię po prostu Aga. Tak jest prościej. Gdy dawniej mówiłam jeszcze Agnieszka, Holendrzy robili z tego coś, co przywodziło mi na myśl mielone mięso, którego od lat nie jem. Literę G często wymawiają przechodzącym przez gardło dźwiękiem zbliżonym do litery H. Pamiętam jak żał mi było, gdy dowiedziałam się jak wymawiają nazwisko Van Gogha. Teraz nie wzbudza to już we mnie większych odczuć, ale dlaczego moje własne imię odgrzebane przed chwilą z odległej czasoprzestrzeni uwiera mnie lekko swoim brzmieniem? Czy ono jest moim prawdziwym imieniem? Co to w ogóle znaczy prawdziwe imię?

— Charlie—Ray. — Mówi wesoło postawny chłopak w długich włosach.

W sumie myślę, że Agnieszka to ładne imię. Ma coś w sobie z szumem deszczu i wiatru. Ma w sobie asertywne nie, a zaczyna się i kończy otwartym dźwiękiem litery A. A otwartym na świat i otwartym na ludzi — rozwodzę się życzeniowo w myślach nim Froukje znowu zabiera głos.

— Dopasowywanie się do otoczenia, do oczekiwań innych lub własnych, perfekcjonizm, to wszystko może zabierać poczucie wolności w sposobie wyrażania się. Może czujesz, że straciłaś kontakt ze swoim autentycznym głosem, chcąc zbliżyć się do nowych dla ciebie norm. Ćwiczenia z uwalniania głosu mogą nam pomóc odnaleźć łączność z naszym wewnętrznym głosem. Wspierają nas w tym, by poczuć większą wolność nie tylko w tym jak wyrażamy się głosem, ale też szerzej w życiu i w relacjach z innymi ludźmi.

Przypomina mi się, jak będąc dzieckiem śpiewałam pełną piersią ulubione piosenki.

— A teraz sprawdź na chwilę co czujesz w swoim ciele i jaką przybrałaś postawę. Możesz rozstawić szerzej nogi i skupić uwagę na swoim ugruntowaniu. Poczuj ciężar swojego ciała na podłodze.

W grupie powstaje szmer. Chwila przerwy daje moment wydechu. Czuję jak się rozluźniam. Froukje siada przy pianinie cyfrowym, które cały czas stało z boku i naciska na klawisze. Zaczyna grać wolno jakąś prostą melodię.

— W tym następnym ćwiczeniu — mówi nie przestając grać — chciałabym, byśmy wszyscy jednocześnie wypowiedzieli każdy swoje imię. Posłuchajcie mnie najpierw przy akompaniamencie muzyki, a za drugim razem w tym samym momencie melodii wypowiemy nasze imiona wszyscy razem. Możesz powiedzieć, zaśpiewać, wyszeptać, wykrzyknąć swoje imię. Jak czujesz. Nasze głosy spotkają się we współbrzmieniu.

Dźwięki muzyki wypełniają salę. Moje myśli robią się lżejsze i stopniowo przechodzę z pozycji obserwatora w doświadczenie. W kolejnym ćwiczeniu każdy po kolei znów sam wymawia swoje imię, a zaraz potem cała grupa powtarza je razem.

— Mohammed. — Mówi człowiek z Jemenu.

— Mohammed. — Odpowiadamy pół—śpiewem i jest to niczym powiedzieć do niego: Witaj w domu. Jesteś tutaj u siebie.

— Adelia. — Drży głos dziewczyny.

— Adelia. — Rezonuje jej imię kilkunastoma głosami. Jesteś na swoim miejscu. Możesz być sobą.

- Ezra. — Szepcze mężczyzna.
- Ezra. — Odpowiadamy chórem. Słyszemy cię. Widzimy cię.
- Agnieszka. — Mówię, czując na sobie pełną intencji uwagę kilkunastu osób.
- Agnieszka. — Rozbrzmiewa ciepły wielogłos.

Po deszczu słońce wychodzi zza chmur. W drodze powrotnej do domu sprawdzam w telefonie znaczenie imion. Froukje to fryzyjskie imię żeńskie pochodzenia gockiego oznaczające dostojną kobietę, panią lub małżonkę. Imię Agnieszka pochodzi z języka greckiego od słowa hagnós, co oznacza czysta, niewinna lub nieskalana. Czy coś by się zmieniło gdybym wróciła do tego imienia? Agnieszki! — Pamiętam jak krzyczała nauczycielka w szkole, gdy razem z imienniczką nie przestawałyśmy gadać w ostatniej ławce. Aguś. — Mówiła mama.

CZUŁOŚĆ

Sylwia Duda

Spojrzała na łóżko. Spał w zmiętej pościeli. Zastuchała się chwilę w jego spokojny, równy oddech. Patrzyła na zamknięte oczy. Przesunęła wzrok od jego twarzy w stronę wytatuowanych ramion i tego jednego niedokończonego smoka na klatce piersiowej. W jej głowie pojawiła się myśl, na którą mimowolnie zareagowała czułym uśmiechem. On już nigdy nie skończy tego smoczego obrazka. Dwa lata wspólnego życia. Tyle się wydarzyło, a czarne kontury smoka na jego piersi nie wypełniły się tuszem.

I kiedy tak patrzy na jego spokojny sen przypomina jej się początek ich znajomości. Kiedy wszedł do jej przedziału w pociągu. Zerknął na nią ukradkiem przez pierwszą godzinę. Myślał, jak zagadać. To ona odezwała się pierwsza i już nie przerywali rozmowy milczeniem do końca podróży. Gdy wysiadał trzy stacje przed nią, zapytał, jakim pociągiem i kiedy zamierza wracać. Pomyślała, że i tak nie znajdzie jej w tłumie podróżnych. Nie zada sobie tego trudu, żeby szukać jej w kolejnych przedziałach. A jednak. To było przeznaczenie.

Na pierwszą randkę, kiedy spotkali się na Placu Wolności, on przyszedł z bukietem czerwonych róż. Gładziła czule te płatki. Delikatny atlasowy dotyk, wyraźna zbita struktura pod opuszkami palców. Długo wdychała słodki zapach, gdy krwawe pączki z dnia na dzień rozsuwały się na boki, ozdabiając blat stołu w pokoju. Później ten dotyk był jego, na rozpalonej skórze. Czuły. Intensywny. Pomyślała o tej chwili, gdy pierwszy raz przesuwiała dłoń po konturach niedokończonego smoka. Zrobiło jej się gorąco na samo wspomnienie tamtego wieczoru.

Od tamtej pory czekał na nią pod uczelnią niemal każdego dnia. Odkrywali miasto i siebie nawzajem.

Właściwie powiedział jej prawdę od razu:

— Jestem wychowankiem Domu Dziecka. Nie miałem prawdziwej rodziny odkąd skończyłem siedem lat. Tak się tułam.

Pomyślała: to nic. Nie przyszło jej nawet do głowy, że może być trudno. Oboje posklejają w jedno dwa połamane życia. Pół roku później znów ponowił to smutne wyznanie:

— Nigdy nie miałem prawdziwej rodziny. Nie pamiętam.

Wtuliła się wtedy w niedokończonego smoka z całych sił. Żeby czuł, że ona jest przy nim, jest blisko. Gładził jej włosy, by po chwili padły z jego ust kolejne słowa:

— Chciałabyś stworzyć ze mną prawdziwą rodzinę?

Uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy

— Tak— jej serce eksplodowało prawdziwym żarem, a niedokończony smok przykrył znów jej ciało, gdy szukali siebie w kolejnym miłosnym spełnieniu.

Kilka miesięcy później zwierzyła mu się, że okres jej się spóźnia, że czuje się dziwnie... Razem poszli do apteki, razem śledzili okienko białego testera. Dwie upragnione kreski wybiegły im naprzeciw. On płakał, wzruszony. Nie przyznała mu się, jak bardzo się tego boi. Ważne, że on był szczęśliwy.

— Zrobię dla nas wszystko, dla naszego maluszka. Kocham was na zawsze— powtarzał, zanim wyjechał do Niemiec, żeby zarobić więcej pieniędzy na ich nowy początek.

Miał zostać tylko miesiąc, obiecywał. Porządnie zarobi, wróci. Odpoczną chwilę razem i znów pojedzie zarobić. Żeby niczego im nie brakowało.

Po miesiącu przestał pisać i dzwonić. Wisiąca na telefonie kilka godzin. Abonent tymczasowo niedostępny. Odchodziła od zmysłów, bo coś musiało się stać. Słała mu setki wiadomości bez odpowiedzi.

Odezwał się po kilku dniach. Bez tłumaczeń.

— Martwiłam się! — rzuciła, a łzy spłynęły w słuchawkę.

— Też się martwię — zaczął a ona czuła, że gniew jej topnieje, dopóki nie dokończył powoli— że to dziecko nie jest moje.

Myślała, że się przesłyszała. Ale on powtórzył to raz jeszcze. A potem, kiedy zaczęła do niego z czułością przemawiać, połączenie zostało zerwane. Na powrót

abonent stał się niedostępny. Zatopiła się we łzach. W strachu. Sama w ciąży. W obcym mieście, gdzie skończyła niedawno studia. Bez pracy i bez pieniędzy. Poczula strach, jak teraz ona i dziecko zależą od niego. Że nie wie, co bez niego zrobić.

Wrócił po kolejnym tygodniu. Padł na kolana na progu wynajmowanego mieszkania. Trzymał w rękach czerwone róże. Płakał.

— Wybacz, przestraszyłem się. Ale już jestem. Już będę. Będziemy prawdziwą rodziną, przysięgam.

Nie pytała już o pracę. Nie pytała, co działo się za granicą, że nie miał dla niej czasu. Przyjęła róże i przyjęła kontury smoka w łóżku, jakby tamtej rozmowy nie było.

Nie zapamiętała momentu, kiedy zaczął znikać. Z nim zaczęły znikać pieniądze. A kiedy już się pojawiał, krytykował porządek. Kucharki z domu dziecka lepiej gotowały od niej. Jej koleżanki miały na nią tylko zły wpływ.

Rzucił jej pewnego wieczoru:

— Zbrzydłaś ostatnio.

Nie wytrzymała:

— Tak dla Ciebie ma wyglądać prawdziwa miłość i prawdziwa rodzina? To jest szacunek i zaufanie? — mówiła, choć bała się tych słów. Bała się prawdy. Że się pomyliła. Zerwał się na równe nogi. Stanęła na wprost niego. Zanim pięść trafiła ją pierwszy raz, w jego oczach zobaczyła wściekłość konturów smoka.

Potem była ciemność. Krew.

Nazajutrz róże w tym samym kolorze.

Wybacz. Przepraszam.

Kolejny raz.

Teraz stała w drzwiach, patrząc jak śpi ze swoim smokiem, nieświadomy. Morfeuszem mogła być morfina. Późno odkryła jego sekret uśmierzania życiowego bólu. Gdy brał, chwilę był sobą. Potem znów był napastliwy. Agresywny. Odklejony. Kiedy nie brał, też nie było lepiej.

Kilka godzin temu powiedziała mu, że odchodzi. Zamknął drzwi na klucz, który gdzieś przed nią ukrył. Nie pierwszy raz. Tylko dziś była bardziej gotowa niż kiedykolwiek.

Chwilę dotknęła opuchlizny pod swoim prawym okiem. Czy dalej nabiera kształtu, czy już tak zostanie? Zapiekło ją rozcięcie na wardze. Policzyła w myślach wszystkie siniaki, które malował na jej skórze przez ostatni rok. Nie pamiętała już, jak wyglądała przed nimi.

Czułość była już tylko okruchami w jej wspomnieniach. Jej świat skurczył się do jednego człowieka. Spojrzała na kontury niedokończonego smoka. Prawdziwa rodzina zawsze musi być razem. Tak mówił. Trzasnęła zapałka. Zapach siarki wymieszał się z ostrą wonią benzyny.

KSIĄŻKI, KTÓRYCH NIE BYŁO

Barbara Mytnik

Wielka, metalowa klamka stawiała opór, ale pod naporem obu dłoni niechętnie ustąpiła. Chybotliwe, drewniane drzwi skrzypnęły i Marianna przestąpiła próg, który jeszcze kilka lat temu prowadził do czyjegoś domu, a teraz wiódł do miejscowej biblioteki publicznej. Przywitał ją zapach starego papieru, kurzu, drewna i kwaśny uśmiech pani Krystyny. Siedziała w zielono burym sweterku przy jednym ze stołów, niemal całkowicie skrytym pod wieżami książek, jak ropucha wśród wodorostów. Przez głowę Marianny przemknęła myśl, że brakuje tylko muchy i że oto ona sama, ze swoim dźwięcznym „Dzień dobry” pcha się w sam środek pułapki.

— No jesteś wreszcie — sarknęła bibliotekarka. Podniosła się ze stęknieniem i głośno odsuwając krzesło ruszyła w stronę Marianny.

— Już myślałam, że w tym miesiącu nie przyjdiesz, a ludzie pytają o Andrzejewskiego — prawie wyrwała jej z rąk pakunek z książkami.

— Mogłabym wymieniać książki co cztery tygodnie, wtedy szybciej byłyby z powrotem tu, na miejscu — niewinnym tonem zaproponowała Marianna, ściskając za plecami kciuki.

Krystyna, która wypakowywała książki na biurko obok katalogów, wyprostowała się gwałtownie, jak rażona piorunem. Rzuciła jej ostre spojrzenie spomiędzy gniewnie zmarszczonych brwi.

— A co to za wymysły?! Przecież zna zasady! Wójt wydał jasne zarządzenie, że wiejskie Punkty Biblioteczne mają wymianę książek co dwa miesiące! — zacisnęła zęby, uwydatniając mocno zarysowaną żuchwę.

— Mam uwierzyć, że tam u was tak się garną do czytania? — z zaciśniętych szczęk wydarł się złośliwy chichot.

Marianna z nieprzyjemnym dreszczem poczuła, jak bibliotekarka lustruje jej przykurzone od długiej, pieszej wędrówki buty, skromną niebieską sukienkę i zbyt mocno opalone przy pracy w polu dłonie. Odruchowo, trochę jeszcze dziecięcym gestem, zacisnęła palce na fałdzie sukienki. Nabrała powietrza i już, już miała stanąć w obronie swoich sąsiadów, kiedy w głowie zadźwięczał jej głos mamy i pełne niezrozumienia słowa *A rzuć tę książkę! Po co ci to?*

Niestety, pani Krystyna miała rację. Prawda była taka, że Marianna była jedyną czytelniczką Punktu Bibliotecznego, który szczęśliwym zrządzeniem losu prowadziła w rodzinnym domu. Punkt Biblioteczny brzmiał dumnie, ale w rzeczywistości był to po prostu skromny, mały regał z kilkunastoma książkami i niemal pusty kajet do rejestrowania wypożyczeń. Dziewczyna co jakiś czas dopisywała któregoś z sąsiadów na listę wypożyczających, jako że władza pragnęła wprowadzenia czytelnictwa na wsi i wymagała takiej aktywności. Tymczasem czytać nikt nie chciał, albo nie miał czasu i siły. Marianna przezornie nie informowała nikogo o braku czytelniczego entuzjazmu w Zofijówce.

Toteż uniosła teraz dumnie głowę, odrzucając swoje piękne, czarne warkocze na plecy.

— Wystarczająco, by zabrać nową partię książek, pani Ratajowa — zbliżyła się kilka kroków w stronę stojącego w głębi pomieszczenia i tonącego w wolumenach stołu.

— A co to? Nowe powieści? — już miała chwycić pierwszy z brzegu egzemplarz, gdy pani Krystyna niemal podskoczyła, wciągnęła gwałtownie powietrze i wyrwała go jej sprzed nosa.

— Niech się nie interesuje! — co oczywiście tylko wzmogło ciekawość Marianny. Wzruszyła jednak ramionami i nonszalancko odeszła parę kroków w stronę zbitego z sosnowych desek regału. Trafiła na nauki przyrodnicze i geografię. Ciekawe, ale nie tak bardzo, jak to, dlaczego Ratajowa nie pozwala nawet przeczytać tytułów książek ze stołu. Wyjęła przypadkową książkę i zaczęła leniwie przerzucać jej pożółkłe kartki.

Uspokojona pani Krystyna wyjęła z szuflady biurka wykaz lektur przygotowany według instrukcji Ministerstwa Kultury i Sztuki.

— Pakiet piąty, pakiet piąty... — mruczała do siebie, przesuwając palcem po kartce.

Ze ściany nad jej głową życzliwie spoglądał dystyngowany Bolesław Bierut. Tuż pod portretem zawieszono nowe hasło: *Książka pomaga w pracy*. Marianna siłą powstrzymała się, by nie przewrócić oczami.

Tymczasem Ratajowa zaczęła krążyć po pomieszczeniu, wyszukując tomy do kompletu numer pięć — Marianna była przekonana, że lustrzanie podobnego do wszystkich wcześniejszych. Kilka obowiązkowych produkcyjniaków i propagandowych pism, parę rolniczych poradników, coś z literatury rosyjskiej i radzieckiej, no i klasyka literatury polskiej. To dla tych ostatnich tu przychodziła.

Pani Krystyna zniknęła za jednym z regałów. Popołudniowe słońce wpadało przez wielkie okna, wesóło migocząc na okładkach rozłożonych na stole tomów. Rozproszone, figlarne promienie zdawały się zachęcać, by do nich podejść.

Marianna przesunęła się kilka kroków w stronę stołu. Bierut nie zmienił pogodnego oblicza, nadal lekko się uśmiechał. Przystanęła, nasłuchując. Dochodzące zza szaf szuranie butów pani Krystyny ucichło, by ustąpić miejsca szeptanej litanii: Polewoj, Fadejew, Ostrowski... Marianna przeszła na palcach jeszcze parę metrów, udając, że wygląda przez okno, a w rzeczywistości zezując na stół. W centralnym miejscu, przy brzegu, leżał jakiś dokument. Obok niego znajdowały się czyste karty katalogowe i niemal nie zapisana kartka.

— *Trędowata* Helena Mniszkówna — przeczytała na leżącej najbliżej okładce.
— *Znachor* Tadeusz Dołęga — Mostowicz. *Ocalenie* Czesław Miłosz.

— Czesław Miłosz? — zdziwiła się w duchu. Nigdy nie słyszała tego nazwiska. Szybko zerknęła czy Ratajowa nie wraca i podeszła bliżej, tak, że mogła odczytać nagłówek urzędowo wyglądającego pisma: *Wykaz książek podlegających niezwłócznemu wycofaniu*. Kartka obok okazała się listą tomów skazanych na potępienie, które znalazły się z miejscowej bibliotece. Ratajowa wpisała dopiero kilka pozycji.

— Kolejna czystka — szepnęła do siebie i pod wpływem impulsu chwyciła jedną z książek leżących na blacie. Dłonie jej dygotały, a w klatce piersiowej czuła bolesny, szybki puls. Tętno zadudniło jej w skroniach.

Za plecami usłyszała kasznięcie pani Krystyny, a po chwili jej gderliwy głos:

— No, mam już wszystko, chodź no tu, dziewczyno!

Marianna, przebijając nogami w jednym miejscu, uświadomiła sobie, że nie ma gdzie schować książki. Coś powstrzymywało ją jednak przed odłożeniem jej z powrotem. Świat na chwilę zwolnił. Własny oddech huczał jej w uszach, kroki pani Krystyny stukały coraz bliżej, a ona nie mogła ruszyć się z miejsca. Stała ze zdradziecką książką w dłoniach, kiedy jej wzrok padł na najbliższy regał.

Wśród zbieraniny najróżniejszych mebli składających się na wyposażenie biblioteki znajdował się solidny, przedwojenny regał, z głębokimi półkami. Przyskoczyła do niego i wepchnęła książkę na jedną z półek, w miejsce przy samej ścianie, ukrywając ją tym samym za rzędem dopuszczonych do obiegu lektur.

Zirytowana Ratajowa podeszła w tym czasie do biurka, na którym z łoskotem odłożyła skrzynkę z książkami.

— Nie słyszysz, jak cię wołam? — spojrzała podejrzliwie, lustrując miejsce, w którym stała Marianna.

— Pani wybaczy, pani Ratajowa, zapatrzyłam się na leszczynę za oknem. Są już na niej orzechy! — wskazała ręką na okno, by odsunąć uwagę kobiety od mebla za swoimi plecami. Pani Krystyna patrzyła na nią z kamienną twarzą, by po dłuższej chwili przenieść wzrok na drzewo. Pokręciła tylko głową i dorzuciła do skrzynki broszurę tłumaczącą założenia Planu Sześćioletniego

— Rychło w czas — pomyślała Marianna — mamy 1952... Nic jednak nie powiedziała i ostrożnie, starając się opanować drżenie nóg, podeszła po pakunek.

Drewniany pojemnik nieprzyjemnie wbijał się jej w biodro, kiedy wracała do domu. Zachodzące słońce mocno jeszcze ogrzewało strudzone ciało. Choć musiała się spieszyć — miała wrócić na wieczorne dojenie krów — zdecydowała się chwilkę odpocząć. Odłożyła skrzynkę i przysiadła na kępie trawy pod dębem rosnącym przy polnej drodze, którą wędrowała. Jej myśli krążyły nieustannie wokół książek zakazanych i tego, co zrobiła. Słyszała o karach za posiadanie niektórych

tekstów, ale dotąd kojarzyło się jej to wyłącznie z poniemieckimi, znalezionymi w ich domach, książkami.

Wiecznie głodne wiedzy i literatury serce Marianny ścisnęło się na myśl o tych wszystkich powieściach, których nie przeczyta. Przymknęła oczy, dając się ukoić otaczającej przyrodzie. Wiatr delikatnie szumiał w koronie drzewa, skąd spływał czule rozgarniając jej włosy. Skowronki śpiewały, a koniki polne dzielnie im przygrywały. Wsłuchiwała się w znajome, błogie dźwięki, kiedy jej uszu dobiegł odgłos...przewracanych kartek? Ciasno upakowane książki leżały bezpiecznie i nieruchomo w skrzynce. Czy to omamy słuchowe po dzisiejszych bibliotecznych emocjach? I znowu ten charakterystyczny szelest!

Zerwała się na nogi i uważnie nasłuchując rozejrzała dookoła. Kawałek dalej, na poboczu, leżała książka. Zdumiona Marianna podbiegła i chwyciła tom. Nie miał okładki, a niektóre strony były pogniecione, ale była to najprawdziwsza książka, porzucona wśród pól. Spojrzała na stronę tytułową, na której rysował się wyblakły tytuł *Wrzos* M. Rodziewiczówna. Wstrzymała oddech, a jej palce odruchowo zacisnęły się na papierze. Zlustrowała otoczenie, powoli i uważnie. Droga była jednak pusta, podobnie jak okalające ją łąki i pola. Ktoś się bardzo spieszył albo bardzo bał, wyrzucając ten kawałek przedwojennego świata prosto w pył i brud. Po plecach przebiegł jej dreszcz — poczuła strach, spotęgowany wspomnieniem państwowego wykazu, który oglądała tak niedawno. Po raz kolejny tego dnia zamarła z zakazaną książką w dłoniach. Miała wrażenie, że śni, unieruchomiona w chwili, niezdolna do podjęcia decyzji. Podobnie jak wcześniej, coś powstrzymywało ją przed jej odłożeniem. Jeszcze raz obejrzała się, sprawdzając, czy na pewno nie jest obserwowana i wróciła do skrzynki z pakietem numer pięć. Wcisnęła znalezisko pod broszurę o planie sześćioletnim i nie zwlekając dłużej, ruszyła w dalszą drogę do domu. Postanowiła, że za dwa miesiące wróci i po tamtą książkę. Ukryte za biografią Feliksa Dzierżyńskiego *Pożegnanie jesieni*.

WIOLETTA I KORPOIMPREZA. KĄCIK CZUŁYCH WRÓŻB.

Kamila Zięba

Poniżej fragment książki urban fantasy, którą obecnie piszę o czarownicy Wioletcie. Jest po czterdziestce i jest wkurzona. Mieszka z mężem Kubą oraz Leosiem i Stasiem — uroczymi nietoperzami. Próbuje ogarnąć swoje życie, po tym, jak traci moce w wyniku nieudanego zaklęcia. Omyłkowe przywrócenie do życia zombie psa zmarłej babci, zamiast ukochanego kota okazuje się brzemienne w skutkach. W dodatku świeżo zmartwychwstały Atos okazuje się wcale nie być psem. Wielcy bohaterowie ratują świat, ale Wioletta nie ma czasu ratować całego świata. Musi ogarnąć swoje życie oraz rozwikłać kilka mrocznych zagadek.

Zanim docieram uberem do hotelu na wypiądziejewie, w którym ma się odbyć impreza integracyjna, jestem cała mokra. Jest niesamowicie duszno albo mam początki menopauzy. Kuśtykam w stronę głównego wejścia. Niestety, walizka rozwalila mi palec u stopy. Ledwo chodzę, ale zaciskam zęby i postanawiam trzymać fason. W końcu jestem profesjonalną wróżką. Od razu znajduję koordynatorkę imprezy.

— O, ojej, to tak pani będzie wyglądać? — pyta pracownica HR, nie próbując nawet ukryć rozczarowania.

— A jakby pani chciała, żebym była ubrana?

— No, tego, jakąś taką kolorową spódnice, złote kolczyki.

Bogowie, już się bałam, że powie złote zęby. Na szczęście mam sukienkę w kwiaty i trochę bransoletek, więc mówię, że się przebiorę, a pani obdarza mnie wreszcie uśmiechem.

— Super, o to chodziło! — mówi, gdy wracam przebrana, a jej wzrok dodaje: “Nie można tak było od razu?”

Pokazuje mi wróżbiarski kącik. Nawet fajny, stolik i wiklinowe fotele ustawione pod drzewem, wokoło latarenki. Muszę przyznać, że ktoś się postarał. Ponieważ przyjechałam z daleka, firma załatwiła mi pokój. Będę mogła przenocować, przespać się i wyjechać po śniadaniu. Ładnie z ich strony. Może to jednak będzie miły wieczór. Zaczynają mnie nachodzić nietypowe, bo pozytywne, myśli. Co za odmiana. Zaczynam się cieszyć, że Aga załatwiła mi to zlecenie i mnie namówiła na wyjazd. Nawet już przelew mi zrobili na całą kwotę.

— Ale te wróżby niech pani robi takie pozytywne — oznajmia pracownica HR, ta sama, która doczepiła się do mojego wyglądu.

— Słucham?

— No wie pani, taki kącik czułych wróżb. Good vibes only — wymienia — pozytywnie i do przodu.

Biorę głęboki oddech i już planuję wypłuć cały wywód, co o tym myślę, ale jestem tu jako profesjonalna wróżka, więc połykam, co mam do powiedzenia i postanawiam sobie, że utrzymam fason do końca imprezy. Kojarzę te tylko pozytywne wróżby. Widziałam już, jak niektóre wróżki na jarmarkach wyciągały z talii Tarota karty Diabła i Wieży, żeby nie straszyć kwerentów. Ja nigdy bym tak nie zrobiła, zawsze czytam całą prawdę, a nie tylko kwiatki i serduszka.

— Postaram się pamiętać — odpowiadam wymijająco.

Początek imprezy rozkręca się powoli. Ludzie tłumnie ruszają do baru. Pewnie przyjdą, jak już sobie coś wypiją na odwagę. Podchodzi młoda dziewczyna.

— Czy ma pani jakieś pytanie do kart?

— Tak, co do mnie czuje Jarek?

No tak, myślę sobie, teraz będzie wysyp pytań w stylu czy X mnie kocha? Wróżę każdemu około kwadransa i leczę standardowe pytania: “czy poznam przystojnego bruneta/ śliczną blondynkę?” lub “czy będzie podwyżka albo, he he, awansik?”

Atmosfera jest średnia. Przypomina mi się, dlaczego nie lubię brać takich zleceń. Kolejka się zwiększa. Ktoś z obsługi przynosi mi ciasto, ale nawet nie mam czasu na nie spojrzeć. Do stolika podchodzi babka koło trzydziestki.

— Mi się nie spieszy. Może chce pani najpierw zjeść spokojnie ciasto? — pyta, przywracając mi wiarę w ludzi. — Chciałam zapytać o moją córeczkę.

Wyciągam karty i mina trochę mi rzędzie. Nagle dostaję olśnienia. Od czasu, jak zniknął mój familiar i duch Bobek, nie miałam tak klarownego odczytu. Karty są przeraźliwie dokładne w tym, co mi pokazują. Widzę historię choroby dziecka i walki z chorobą.

— Proszę mi powiedzieć, czy choroba wróci? — Kobieta odzywa się cicho, a ja czuję, jak coś wykręca mnie w środku. Karty pokazują nawrót choroby. Nie wiem, co zrobić. Zawsze mówię prawdę na odczytach, ale jedno spojrzenie w oczy kobiety sprawia, że po prostu nie jestem w stanie. To nie miejsce i czas na takie informacje.

— Nie wróci, ale proszę zrobić wszystkie badania — odpowiadam z trudem, przełykając kłamstwo.

Tylko jedna osoba potraktowała mnie jak człowieka. To była jedyna miła osoba na tej imprezie, a ja ją okłamałam. Nie miałam serca powiedzieć jej prawdy. W tym momencie czuję, że coś we mnie pęka.

Nagle zaczyna padać, więc wszyscy wbiegają do środka. Wcisnęli mnie między fotobudkę a roll-up z wielkim napisem: "Innowacyjność i zmiana. Razem ku przyszłości." Tak, kurde! Na koniec świata i chuj wie, gdzie jeszcze!

Jest tłoczno, gwarно i jeszcze bardziej duszno. Obecność tylu osób to wielka energia. A ja czuję, że mam dość.

Następny podchodzi podpity team leader. Zadowolony z siebie facecik przed czterdziestką w opiętym garniturze i koszuli o kroju slim.

— Ja tam nie wierzę w takie pierdoły, ale może mi pani powie coś zabawnego — podśmiechuje się, a mi coś klika w głowie.

Rozkładam karty i znów widzę wszystko zaskakująco dokładnie, choć nie ma przy mnie moich duchów. Mimo usilnego postanowienia, żeby owijać wszystko w bawełnę, wrywa mi się, co zobaczyłam.

— Widzę pojazd, prędkość i katastrofę budowlaną.

— O, a jaki pojazd? — Oczy faceta zrobiły się okrągłe.

— W poniedziałek rano nie wyhamuje pan na zakręcie podziemnego parkingu w biurowcu i skasuje zderzak w tym swoim nowym, leasingowanym aucie. I to o ten betonowy filar przy windzie.

— O! — odparł tylko i zerwał się z krzesła, nerwowo wybierając numer w nowym modelu smartfona.

— Halo, Marzena, sprawdź mi szybko w dokumentach, jakie mam warunki AC na to nowe BMW.

Tłum koło mnie robi się coraz większy. Irytuje mnie gwar i hałas. Co chwilę ktoś koło mnie przechodzi w drodze do fotobudki. Ludzie przymierzają śmieszne przebrania i gadżety. Czapki w kształcie pieczonego kurczaka, wielkie okulary, różowe boa z piór, cekinowe kamizelki i inne dziwaczne rzeczy. Kolejka po wróżby robi się coraz większa, bo “skoro już tu jestem, to poczekam na wróżbę”.

— Czy jak skończę projekt przed czasem, to dostanę podwyżkę?

Karty znowu są klarowne jak nigdy, a mnie się już nie chce owijać wszystkiego w bawełnę.

— Dostanie pan więcej pracy za tę samą pensję.

— A jakaś premia albo nagroda? — pyta, a ja dokładam karty.

— Będzie.

— Jaka?

— Uścisk dłoni prezesa. Zapraszam następną osobę!

Podchodzi młody chłopak.

— Czy zatrudnią mnie tu po stażu?

— Tak.

— Na umowę na stałe?

— Nie, na śmieciów..., znaczy, na umowę zlecenie.

— Do dupy takie wróżenie — dzieciak wybucha. — Miało być pozytywnie!

— Niską pensję wynagradzasz sobie podbieraniem jedzenia innym pracownikom.

— Co? — pyta, a ja widzę, jak czerwieni się na twarzy.

— Widzę, że to ty zjadłeś obiad z lodówki na trzecim piętrze i zrzuciłeś winę na kolegę.

— Skąd pani wie?

— Widzę w kartach.

Chłopak zrywa się z krzesła i ucieka.

— Zapraszam kolejną osobę! — uśmiecham się pod nosem.

Podchodzi pani.

— Czy jeśli przedstawię wyniki projektu przełożonemu, to dostanę to stanowisko, na którym mi zależy?

— Ma pani na myśli projekt, który przygotowuje pani pracownica, a który planuje pani przedstawić w całości jako własny?

— Proszę?

— Ten projekt, o który się pani obawia, że pracownica dostanie podwyżkę, a nie pani.

— Coś się pani pomyliło. Proszę potasować karty jeszcze raz!

— Koleżanka dostanie podwyżkę. Pani awansu nie widzę.

— Sama wszystkiego ją nauczyłam, dlaczego ona ma awansować, a nie ja!

— Zapraszam kolejną osobę! — wołam i czuję, że jest mi coraz weselej.

Podchodzi facet koło pięćdziesiątki w brązowym garniturze z koszulą tak opiętą, że obawiam się, że w każdej chwili mogę stracić oko, gdy któryś z guzików wystrzeli w moją stronę. Na stoliku odstawia szklankę z whisky. Jego stan wskazuje, że była to już jego kolejna.

— Co tam ciekawego powie mi pani wróżka? — Uśmiecha się niby miło, ale protekcyjny ton nie pozostawia złudzeń, kto tu jest managerem wyższego szczebla.

Rozkładam karty, a w mojej głowie widzę nie tylko dokładny odczyt, ale mam całą wizję, jak wygląda praca w tej firmie. Powiem krótko, nie wygląda dobrze. Mobbing, obowiązkowe nadgodziny, brak umów na stałe i kopanie dołków pod współpracownikami.

— Może mi pani powie, jak będzie szedł biznes?

— Dobrze, ale zależy dla kogo. Najlepiej idzie pana spółnikowi.

— Jak to?

— Kolega drenuje z budżetu dodatkowe pieniądze na boku.

— Wiedziałem! To dlatego nie zgadzały mi się ostatnio Excele! — zawołał i zerwał się z krzesła tak gwałtownie, aż się przewróciło. — Gdzie jest Piotr? — zaczął wrzeszczeć. — Marzena, natychmiast mi, kurwa, poszukaj Piotra!

Widziałam, jak pobiła pani, do której zaczął przeklinać.

Dużo rzeczy nie wychodziło mi dokładnie tak, jakbym chciała. Za to klątwy wychodziły mi zawsze idealnie. Po prostu mistrzowsko i to właściwie bez żadnego wysiłku. Przypomniła mi się moja praca w korpo i wszystkie przykre rzeczy, które mnie spotkały. Wtedy nie mogłam nic zrobić, ale teraz — dlaczego nie?

“A żebyś dostał sraczki w najmniej spodziewanym momencie i drogi do kibla nie znalazł.”

Wielka moc to wielka odpowiedzialność, czy jakoś tak, a przynajmniej podobno.

Pracownica HR i jednocześnie koordynatorka imprezy zaczęła zwoływać pracowników, żeby obejrzeni prezentację podsumowującą pracę firmy przez ostatni rok. Przy okazji przyszła z pretensjami, że pracownicy narzekali, że wróżby nie były pozytywne, tylko szczere.

— Może już pani kończyć na dzisiaj.

Kiedy przechodzę przez główną salę, żeby dojść do części z pokojami hotelowymi, moim oczom ukazuje się ogromny telebim, a na jego tle drugi najważniejszy manager w firmie, który peroruje coś o postępie, innowacji i że “musimy bardziej cisnąć ze sprzedażą” i że “zaprasza na prezentację”.

“A do chuja z waszą prezentacją” — klnę siarczyście pod nosem.

W tym momencie telebim rozbłyska tysiącem światełek LED, a z ust pracowników wydobywa się donośne “Och!”. Ja również spoglądam w stronę telebimu, a tam radośnie mrugają penisy różnorodnych kształtów i rozmiarów. Moja magia i umiejętności klątwienia najwyraźniej nie osłabły. Brawo ja!

W tym momencie na scenę wbiega manager w brązowym garniturze, któremu chwilę wcześniej rozkładałam karty.

— Piotr! Ty złamasie! — czka donośnie. — Wiedziałem, że zachachmęciłeś przy Excelu z budżetem, dupku! — Następnie dobiega do zaskoczonego Piotra i z całej pety wali go w twarz.

Reszta wydarzeń tego wieczoru toczy się lawinowo. Nieświadomi niczego kelnerzy wjeżdżają z wózkiem, na którym pyszni się wielki tort upstrzony pierdylionem świeczek i z hukiem otwierają szampana. Ich miny szybko jednak rządzą, gdy zauważają managerów okładających się po twarzach na scenie, nad którą wisi telebim ze zdjęciami penisów.

Postanawiam szybko się wycofać z sali. Czy jestem zazdrosna o szczęście innych ludzi? Oczywiście, że nie. Nie i może trochę tak. A może po prostu tak. Za moimi plecami rozgrywa się istne pandemonium. Po telebimach szaleją ogromne penisy, wielki tort płonie, managerowie w podartych marynarkach okładają się po gębach. A ja odchodzę, a właściwie kuśtykam znacznie weselsza niż przed imprezą.

Nie planowałam zostawać w hotelu na noc, ale teraz jasne, że zostaję do jutra. Świetna impreza. Normalnie bałabym się zemsty managerów korpo, ale byli zbyt zajęci dawaniem sobie po ryju. Jak dla mnie to były idealne warunki na relaks. Nawet stopa jakby mniej mnie bolała.

To były uczciwie zarobione pieniądze. Zaczynam podejrzewać, że wcale nie straciłam swojego daru, tylko jestem przemęczona. Potrzebuję wakacji, ale nie tak, jak w ostatnich latach. Teraz naprawdę gdzieś pojadę. Nawet bez Kuby. A co!

USŁYSZ SZEPT NATURY

Agnieszka Ładocha

Gwar dziesiątków głosów rozchodził się po okolicy niczym kręgi na wodzie. Dało się w nim dosłyszeć ekscytację, zmęczenie, a także znudzenie. Hałas generowany przez zgromadzonych ludzi z pewnością odstraszył żyjące w sąsiedztwie zwierzęta. Choć może przez lata popularności tego miejsca zdołały się przyzwyczaić do niesprzyjających warunków.

Słońce błyszczało w licznych szklach okularów, srebrzyło metalowe kubki pełne przesłodzonej herbaty, tańczyło po przetłuszczonych włosach wędrowców. Chłodny wiatr chłodził rozgrzane policzki i porywał porzucone chusteczki. Jednak nawet przenikające zimno nie zachęcało zgromadzonych do ruszenia w dalszą drogę. Piechurzy z jaskrawych plecaków wyjmowali zawinięte w srebrzystą folię kanapki, wyszorowane w domu jabłka albo czekolady ze wszystkimi dodatkami.

Po zdobyciu szczytu należało im się odrobinę odpoczynku.

Otoczony wysokimi świerkami, dębami i bukami wierzchołek nie należał do najbardziej widokowych. Ponad koronę drzew można było zerknąć ze szczytu białej wieży. Jednak wdrapanie się na samą górę nie było możliwe.

Wśród gwaru rozmów, wśród gryzącego dymu znad niewielkiego ogniska, między dziesiątkami strudzonych wędrowców milczała para. Każde z nich siedziało na zapasowej kurtce wyciągniętej kilka minut temu z czeluści zdecydowanie za dużych plecaków. Brunet lewym butem deptał pomarańczowy rękaw. Co chwilę delikatnie zmieniał ułożenie nóg, jakby nie potrafił znaleźć idealnej pozycji. Towarzysząca mu kobieta z zamkniętymi oczami wystawiała twarz do słońca. Przez mały, zadarty noc przebiegała ścieżka piegów.

Mężczyzna wpatrywał się w jej jasną twarz. Nie odzywali się do siebie od kilku minut, ale żadne z nich nie odczuwało ciężaru ciszy. Żadne z nich nie miało potrzeby wypełniania jej cczą gadaniną. Trwali obok siebie, tak po prostu, ciesząc

się momentem wytchnienia w wędrówce. Czerpiąc przyjemność z tej nietypowej randki.

Taki scenariusz spotkania z dziewczyną nigdy nie pojawiłby się w głowie Marcina. Ale z Anetą było inaczej. To nie była kobieta, którą zabiera się do drogich restauracji. Ją nawet do kina trudno było wyciągnąć. Najchętniej spacerowałyby bosy po rozległych połaciach trawy. Najchętniej oddychałyby świeżym, górskim powietrzem. Marcin, na tyle, na ile zdążył ją poznać, widział, że miasto dusiło Anetę. Jej ramiona opadały, kiedy spotykali się w centrum Wrocławia. Jej oczy błyszczały w odpowiedzi na zieleń drzew. Choć mężczyzna dostrzegał, że coraz częściej światło w nich się zapalało w jego towarzystwie. Nie chciał robić sobie wielkich nadziei, ale trzepoczące w piersi serce nie dawało o sobie zapomnieć.

Często zastanawiał się, kiedy wiadomo, że to ta jedyna. Jak rozpoznać objawy miłości na całe życie. Czy fakt, że ogłuchł na hałas wokół i jedyne, co słyszał to spokojny oddech Anety, czy to może być znak, na który tak długo czeka?

— Myślisz, że powinniśmy już iść? — szepnął, jakby chciał, żeby towarzyszka go nie usłyszała.

Aneta otworzyła oczy i obróciła twarz w stronę Marcina. Patrzyła na niego zielonymi jak młode liście tęczęwkami. Chyba mimo panującego gwaru usłyszała pytanie.

— Jeszcze pięć minut.

Brzmiała jak dziecko targujące się z rodzicami. O dodatkową chwilę w łóżku przed szkołą. O kilka minut późniejsze położenie się spać.

— Nie przeszkadza ci ten harmider?

Uniósł prawą brew, jak zawsze kiedy się nad czymś zastanawiał.

— Nie trzeba słuchać wszystkiego, co wpada do ucha. Można skupić się na odgłosach natury.

— Ja nic nie słyszę — wyżalił się Marcin i płasko położył nogi na trawie. Siedział bokiem do Anety i tylko dlatego jego ciemnobrązowe buty nie dotykały jej ud. Kobieta miała skrzyżowane nogi. Wyglądała jak medytujący mnich.

— Bo za bardzo skupiasz się na ludziach — zgaśniła go łagodnym tonem. Poprawiła delikatnie postawę i zamknęła oczy, twarz ponownie obróciła do słońca.

— Usłysz wiatr targający koronami drzew. Skup się na cichym świergocie ptaków dolatującym z głębszych partii lasu. Poczuj ciepło promieni słonecznych i wilgoć gleby przedzierającej się przez warstwy kurtki. Otwórz się na doświadczenia. Zapomnij na chwilę, że jesteś człowiekiem.

Marcin posłusznie zamknął oczy i skierował twarz do słońca. Jaskrawe światło wpadało pod niedokładnie zaciśnięte powieki, ale starał się to ignorować. Po kilku sekundach zaczął odczuwać przyjemność z pocałunków składanych przez słońce. Ciepło rozlewało się po jego policzkach i schodziło coraz niżej — stopniowo obejmując coraz więcej. Puls wyraźnie zwolnił, a głosy turystów nieznacznie ucichły. Opuścił ręce wzdłuż tułowia i dotknął lekko wilgotnej ziemi. Żdźbła trawy łaskotały wnętrze dłoni. Przyjmował to do wiadomości, ale nie roztrząsał tego uczucia. W tamtym momencie był tu i teraz.

— Chyba zrozumiałeś co miałam na myśli — szepnęła Aneta.

Marcin obrócił się do towarzyszki i w jej oczach dostrzegł błysk intensywny jak nigdy przedtem. Patrzyła na niego, jakby był co najmniej ósmym cudem świata. Przyglądała mu się, jakby był najwspanialszym dziełem natury. Patrzyła na niego, tak jak on na nią.

CÓRA ZIEMI

Paulina Świątecka

Poniższy fragment jest drugim rozdziałem powieści, nad którą pracuję. "Córa Ziemi" będzie opowieścią o dziewczynie, która od zawsze czuje niezwykłą więź z otaczającą ją naturą. To historia pełna tajemnic, dawnych wierzeń i szeptów lasu, których nie każdy jest już w stanie usłyszeć. Opowieść o tym, że czasem, aby odnaleźć własną drogę, trzeba najpierw odważyć się zejść z tej, którą wyznaczył nam świat.

— Kup też trochę miodu w karczmie. Jeśli jeszcze będzie — powiedziała staruszka, podając płócienny worek Kalinie.

— Tak, wiem. Powtarzałaś to już trzy razy babciu. Mam zejść do karczmy kupić miód i sól, do młyna odebrać mąkę i do tkaczki po płótno.

— Tylko mi się nie pakuj w kłopoty. Ranny lis na razie nam wystarczy.

Kącik ust dziewczyny mimowolnie powędrował ku górze, nie chcąc jednak denerwować babci szybko opanowała twarz. Skinęła jedynie głową, wyszła z chaty i ruszyła na ścieżkę prowadzącą do wsi.

Kwiecień był w tym roku dość ciepły. W rowach co prawda zalegały jeszcze plamy brudnego śniegu, a ziemia pod butami była miękka od roztopów. Słońce jednak świeciło jasno nad głową, rozgrzewając przyjemnie ciało przez co spacer sprawiał Kalinie jeszcze większą przyjemność. Gdzieś wysoko odezwał się dzięcioł, a wiatr poruszył koronami sosen. Dziewczyna skierowała twarz ku słońcu, przymknęła oczy, wciągnęła głęboko powietrze do płuc i głośno je wypuściła. Napawała się zapachami budzącej się do życia natury.

Kalina przedłużała swój spacer, nie tylko z powodu pięknej pogody. Dziewczyna nie przepadała za odwiedzinami w wiosce. Zdecydowanie lepiej czuła się w chatce na uboczu, albo w lesie. To uczucie było zresztą odwzajemnione.

Widziała, jak ludzie na nią patrzyli, i wiedziała co mówili między sobą. Akceptowali ją na tyle, na ile było trzeba, podobnie jak jej babcie.

Duet idealny. Stara dziwaczka i kukułcze dziecko.

Wioskę usłyszała już zanim zobaczyła pierwsze chaty. Głośnie rozmowy mężczyzn. Krzyki kobiet. Uderzenia młota. Rąbanie drewna. Skrzypienie wozów. Kalina przystanęła, popatrzyła na najbliższe domostwa i mimowolnie potarła palcami skrawek brązowego płaszcza. Po chwili ruszyła przed siebie żwawym krokiem. Szła między chatami ku karczmi, która była centralnym punktem wsi. Można tam było kupić sól, miód, przyprawy i inne rzeczy, których nie dało się zdobyć samemu. Dziewczyna minęła kilka kobiet. Przywitała je skinieniem głowy, a one z wymuszoną uprzejmością odwzajemniły gest. Im bliżej była karczmy, tym dźwięki przybierały na sile i mieszały się ze sobą, aż zaczęły przypominać nieprzyjemny harmider.

Przy studni zebrała się grupka mężczyzn.

— Mówię wam, trzeba będzie wejść głębiej w las — powiedział największy z nich — Te stare dęby też trzeba będzie w końcu ściąć.

— A ktoś mówił, żeby je zostawiać? — prychnął szczupły blondyn.

— Stara spod lasu biadoliła na ostatnim spotkaniu.

— Co Ty się tej szalonej staruchy boisz?

— No, czasem jak tak spojrzysz z ukosa to wygląda jak wiedźma.

Na te słowa reszta mężczyzn roześmiała się głośno.

Kalina rzuciła gniewne spojrzenie w ich stronę i już miała coś powiedzieć, ale w ostatnim momencie przypomniała sobie, że obiecała nie pakować się w żadne kłopoty. Zaciśnęła usta w wąską linię i przyspieszyła krok.

Obejrzała się jeszcze na rechoczących mężczyzn i o mały włos nie wpadła na załadowany wóz stojący przed budynkiem. Piętrzyły się na nim worki z suszonymi ziołami, beczki miodu i zwinięte skóry zwierząt. Za kilka dni wszystko to miało trafić do miasta po drugiej stronie lasu.

Tak wyglądało życie w osadzie. Las dawał drewno, zwierzynę, miód i zioła, a mieszkańcy zamieniali je na srebro. Czasami Kalina miała wrażenie, że większość ludzi patrzy na przyrodę i widzi przede wszystkim to, ile jest warta.

Uwagę Kaliny przykuły gęste futra leżące na beczkach. Jeszcze niedawno były częścią żywych stworzeń, a teraz stały się towarem. Odwróciła wzrok i ruszyła dalej do budynku.

Pociągnęła jedno ze skrzydeł drewnianych drzwi karczmy i weszła do środka. Od razu uderzył ją unoszący się w powietrzu zapach piwa, dymu i pieczonego mięsa. Kalina omiotła spojrzeniem pomieszczenie i ruszyła w stronę lady mijając ustawione w rzędach ławy. O tej porze roku karczma była wypełniona ludźmi. Dziewczyna podeszła do kontuarza, usiadła na jednym z krzeseł i czekała aż karczmarz wróci z zaplecza.

— Te cholerne sarny znowu weszły w pole — narzekała przysadzista kobieta.
— Zżerają nam młode pędy żyta.

— Wójt ma dziś o tym mówić na zebraniu — odpowiedział jej starszy mężczyzna, po czym uniósł kufel i upił łyk piwa. — Podobno chce zorganizować większy odstrzał.

— I słusznie. Człowiek pracuje cały rok, a potem przychodzi zwierzyna i wszystko niszczy.

— Zgadza się. Trzeba zrobić z tym porządek.

Porządek... To słowo obijało się echem w myślach Kaliny. Co to w ogóle znaczy? Babcia powtarzała, że ład panuje wtedy kiedy jedno szanuje drugie. A ludzie nie szanowali ani lasu, ani zwierzyny, ani nawet siebie nawzajem. Ciągłe tylko biorą, wycinają i zabijają. A co dają w zamian? Nic. Zachowują się jakby wszystko, co żyje, było problemem do rozwiązania jeśli nie zachowuje się wedle ich oczekiwań.

Z rozmyślań wyrwał Kalinę karczmarz, który właśnie pojawił się przy ladzie.

— Co podać? — rzucił, wycierając ręce w szmatę.

Kalina kupiła sól, ale tak jak się spodziewała miodu nie było. W ostatnich latach stał się rzadkością. Ze względu na wyjąłowanie ogromnych obszarów ziemi ubyło także pszczoł, a co za tym idzie, te które zostały nie produkowały wystarczającej ilości miodu.

Taki to porządek, pomyślała Kalina.

Resztę spraw po które wysłała ją babcia udało się załatwić, ale zamiast wrócić od razu do domu, skręciła w boczną ścieżkę prowadzącą ku rzece.

Dopiero kiedy tam doszła, poczuła, jak mięśnie na karku się rozluźniają. Usiadła na kamieniu przy brzegu i przyciągnęła kolana do piersi. Siedziała tak przez pewien czas, wpatrując się w nurt niosący drobne gałązki i ostatnie kawałki lodu. Nie było już słychać krzyków i hałasu, zamiast tego jednostajny, delikatny szum. Kalina zamknęła oczy. Trwała tak zasłuchana w odgłosy natury.

Po drugiej stronie rzeki zaśpiewała modraszka. Dziewczyna otworzyła oczy i utkwiała wzrok w gęsty las rosnący na przeciwległym brzegu. Nikt nie miał prawa do niego wchodzić. Jednak tak samo jak wszystko inne, co zakazane, budził w niej ciekawość. Lubiła tu przychodzić i chociaż przez chwilę na niego popatrzeć.

Kiedy wróciła do chaty, babcia siedziała przy kominku i przebierała suszone zioła. U jej stóp wylegiwał się mały, rudy lis.

Kobieta zerknęła na Kalinę.

— Co się stało? — zapytała.

Dziewczyna powoli położyła worek na stole i zaczęła rozwiązywać płaszcz.

— Nie rozumiem tych ludzi.

Babcia w milczeniu oddzielała wyschnięte rośliny, układając je na stertkach. Zwierzę podniosło głowę, spojrzało na dziewczynę leniwie i z powrotem ułożyło się wygodnie do snu.

— Mówili o lesie jak o stercie drewna. O zwierzętach jak o szkodnikach. Jakby wszystko było tylko po to, żeby im służyć.

Starsza kobieta przerwała pracę, podniosła głowę i skupiła uwagę na wnuczce.

— Jak myślisz, dlaczego tak mówili?

— Nie wiem. Bo są głupi? — rzuciła, wieszając płaszcz na drewnianym kołku przy drzwiach.

Babcia uniosła brwi i popatrzyła na Kalinę, jakby dokładnie wiedziała z czego wynika odpowiedź.

— Nie, nie są — odpowiedziała już spokojniej dziewczyna.

— To powiedz, co w nich widzisz?

Kalina przez chwilę szukała właściwych słów.

— Strach i chciwość.

W kominku cicho zatrzeszczało drewno.

— Dobrze, że to dostrzegasz — powiedziała babcia.

— Rozumiem skąd się bierze chciwość. Nie umięją cieszyć się z tego co posiadają i ciągle chcą więcej. Ale nie pojmuję czego oni się boją?

— Tego, czego nie rozumieją.

Kalina zmarszczyła brwi.

— Lasu? — zapytała, nalewając mleka do kubka.

— Zmiany. Natury. Tego, że nie wszystko da się obliczyć i przewidzieć.

— Ale przecież mówiłaś, że ludzie kiedyś czcili naturę. A teraz?

— Tak, ale też się jej bali. A człowiek lubi myśleć, że jest potężny i panuje nad tym czego się boi.

— A dlaczego nie boją się, że zabraknie tego wszystkiego co daje ziemia?

Babcia podniosła garść suszonych liści i przesypała je między palcami.

— Bo zapomnieli, że to dar, a nie własność.

Przez chwilę obie milczały. W kominku tańczyły płomienie, a za oknem wiatr poruszał gałęziami starej lipy.

MOKOSZ

Agnieszka Malec

Tekst jest fragmentem książki o przygodach Wandy, nad którą pracuję. Wanda jest kobietą po czterdziestce, w trakcie perimenopauzy, która próbuje ogarnąć własne życie, regularnie pakując się w różne tarapaty. A przy tym próbuje być idealną matką, córką, żoną, przyjaciółką, wolontariuszką i odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa jednocześnie. Co oczywiście nie może się udać...

To był trudny dzień. Wanda szła na tramwaj do domu prawie zupełnie mokra i bardzo zmęczona.

W tramwaju trochę jej się poprawiło. Spokojny miarowy stukot kół i drzwi, otwieranych i zamykanych na kolejnych przystankach działał kojąco. Ludzie też wydawali się spokojniejsi niż zwykle. Może dlatego, że po tylu dniach deszczowej pogody wszystkim udzielała się aura senności. Tyle tylko, że klima nie działała i robił się coraz większy zaduch, a Wandzie dodatkowo zaczęło być bardzo gorąco. Nie ma wyjścia, trzeba będzie wysiąść wcześniej. Wygląda na to, że czeka ją jeszcze wieczorny spacer przez park.

W parku też oczywiście było mokro, więc buty Wandy już zdecydowanie chlupały, a cała energia, jaką nabyła kilka godzin temu pod postacią dwóch małych świeżych ptysiów i kawy zdążyła już dawno wyparować. Dobrze przynajmniej, że tu nie było duszno. Właściwie było całkiem przyjemnie, bo deszczowy park wydawał się pusty i Wanda nawet pomyślała, że mogłaby tu przyjść, kiedy będzie miała więcej czasu — czyli chacha nigdy. Potem jednak zaczęło się ściemniać i przy podnoszących się mgłach już sama nie wiedziała, czy w oddali są jednak ludzie, czy widzi duchy, bo właśnie nabiera ją gorączka po całym dniu w mokrych butach.

W domu zapakowała się lekarstwami, zjadła jakąś resztkę chipsów i weszła do łóżka, rzucając rodzinie mętne fragmenty opowieści z całego dnia. O tym, że

przemokła i zmarzła, o lekarzu, który rano kazał jej jeść wątróbkę na żelazo, o nieprzyjaznych staruszkach i dusznym tramwaju, i o tym, że resztę opowie jutro.

Zasnęła od razu i nawet dosyć mocno, ale jej sny zrobiły szybko się tak plastyczne, że ciężko by to było to uznać za odpoczynek.

Przyśniła jej się z powrotem Ulica Długa, po której dzisiaj chodziła, ale w jej śnie była tam inna pogoda i świeciło słońce.

Słyszała na około zwykły szum mieszających się głosów turystów i mieszkańców, ale wszyscy mijani ludzie zlewali się w bezkształtną masę.

Szła przed siebie w swoich przemoczonych żółtych butach i miała wrażenie, że te buty za chwilę się rozpadną.

Przed nią szła kobieta w czerwonej lnianej sukience. Szła, a raczej płynęła przez tłum, kołysząc szerokimi biodrami na boki, a jej długie rozpuszczone włosy falowały z każdym ruchem. Przed sobą trzymała płaski okrągły przedmiot i chwilę Wandzie zajęło, żeby sobie uświadomić, że to sito, którym kobieta rytmicznie macha. W lewo i w prawo, na zmianę i w kółko, a wszystko, co było na sicie przesypywało się szumiąc głośno, jak w gigantycznej grzechotce. Co jakiś czas kobieta podrzucała sitem do góry i wtedy jasnobieżowe ziarna połyskiwały w słońcu przez chwilę nad jej głową, a potem z szelestem opadały z powrotem na sito.

Wanda bezmyślnie szła za nią i miała wrażenie, że jej krok dopasowuje się do tego co robi kobieta i też zaczyna kołysać biodrami w rytmie przesypywanego ziarna. W lewo, w prawo, podrzut. W lewo, w prawo, podrzut. Dźwięki tła najpierw stopiły się w jedno, a potem całkowicie ucichły i słychać było tylko szum ziarna toczącego się po sicie. W lewo, w prawo, podrzut.

Buty Wandy w końcu się rozpadły i była teraz boso tak jak kobieta przed nią. Szły obie po chodnikowych płytkach, po tych samych, po których dzisiaj wcześniej wlokła się Wanda, ale teraz obie szły w pełnym słońcu, kołysząc biodrami. W lewo, w prawo, podrzut. Spadające plewy sypały się na boki, wpadały w dziury pomiędzy płytkami chodnikowymi i osiadały na trawie, która dała radę wyrosnąć w szczelinach.

Wanda pomyślała, że skądś zna tę kobietę i to wszystko już kiedyś widziała, ale nie mogła sobie zupełnie przypomnieć skąd.

Mijały te same sklepiki i małe punkty z jedzeniem, które Wanda mijала tego dnia wcześniej, ale teraz nie było tam ludzi i wystawy też wyglądały zupełnie inaczej.

W jednym z okien zobaczyła samą siebie i to ją tak zdezorientowało, że musiała na chwilę przystanąć. Siedziała znowu w gabinecie u lekarza — tak jak dzisiaj rano i on jej znowu tłumaczył, że powinna jeść koniecznie wątróbkę na podniesienie poziomu żelaza i że takie jest życie, jak się jest kobietą. Wanda nienawidziła wątróbki i na samo wspomnienie poczuła mdłości, więc porzuciła szybę wystawową i przyspieszyła kroku, żeby dogonić oddalającą się kobietę.

Kobieta szła miarowym krokiem cały czas, nie oglądając się za siebie, cały czas tak samo poruszając sitem i jednostajny szum działał na Wandę hipnotyzująco, ale teraz jej wspomnienia zaczęły się pojawiać na każdej mijanej szybie.

Zobaczyła lekarkę, która jej ogłaszała, że Wanda przechodzi perimenopauzę a potem dodała w jednym zdaniu, że trzeba schudnąć szybko, bo potem to już w ogóle się nie da i szkoda by było.

Zobaczyła siebie z popołudnia, zjadającą dwa nieświeże, obrzydliwie sztuczne, różowe ptysie i znowu chciało jej się wymiotować.

Zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, której ktoś kazał zjeść mięso do końca, mimo że miała mdłości, a potem przyniósł słodki deser jak było jej smutno.

Zobaczyła swoją matkę, która nienawidziła gotowania. Usłyszała w głowie od razu jej słowa, że wszystko to jest kwestia organizacji i że Wanda nie miałaby problemów z żelazem i wagą, gdyby się bardziej postarała. I że powinna sobie ze wszystkim sama dawać radę, a matce nie zawracać głowy.

Zobaczyła babcię, która narzekała, że mała Wanda wydziwiała z jedzeniem, a przecież powinna jeść wszystko i nie narzekać. A teraz to i tak nie ma znaczenia, co je, bo przecież Wanda jest dorosła i już nie jest najważniejsza, teraz musi dbać o swoje dzieci. Babcia pytała, czy już dzisiaj ugotowała dzieciom obiad? I czy one jedzą wszystko i nie grymaszą? Czy jedzą mięso?

A potem ciotkę, która zmuszała Wandę do zjedzenia mięsa do końca, a obcą kobietę namówiła do dosypania Wandzie dodatkowego jedzenia na talerz przy wszystkich i mała Wanda nie miała wyjścia, musiała wszystko zjeść.

I ojca, który odkrył swoją miłość do smażonego mięsa, właśnie wtedy, kiedy nastoletnia Wanda chciała być wegetarianką i smażył gigantyczne porcje tłustego mięsa co weekend, za każdym razem proponując je Wandzie z szerokim uśmiechem, a ona próbowała się schować w łóżku i zwalczyć mdłości.

Było jej coraz bardziej niedobrze i coraz bardziej gorąco.

Szła już teraz z przymkniętymi powiekami, kilka kroków za kobietą, kiwając się na boki w rytm szumu sita i starała się niczym nie myśleć. Zbliżały się do końca ulicy Długiej, do kamienicy numer pięć, tej samej, której Wanda szukała dzisiaj w deszczu całe popołudnie.

A tam, na końcu — Wanda to po prostu czuła — była jej prababcia, ta prababcia, która nic nie mówiła o jedzeniu i miała zawsze kota, i która na jedynym posiadanym przez Wandę wspólnym zdjęciu ją obejmowała.

Ta sama prababcia, o której słyszała historie, że jak była gotowa, żeby umrzeć, to załatwiła wszystko, co potrzebowała, położyła się i po prostu umarła.

I Wanda pomyślała, że może ona coś wie — coś, czego nie wiedzą inni. I poczuła gigantyczną ulgę na myśl, że może w końcu ktoś ją przytuli i cokolwiek wytłumaczy, na przykład jak sobie z tym całym życiem radzić i jakie są właściwie zasady, i jak ogarnąć tę całą perimenopauzę, bo na litość boską...

— Mamo mam, wstawaj!!!

— Co? — brutalnie wyrwana ze snu Wanda mrugała wolno oczami.

— Popatrz, co dla ciebie mam! Tato ci kupił!

Wanda usiadła na łóżku nie do końca wiedząc co się dzieje.

“Przyśniła mi się bogini Mokosz w Krakowie...” — zdążyła jeszcze tylko pomyśleć, zanim tacka ze świeżą wątróbką, podsunięta jej pod nos przed synka, wywołała tak silne mdłości, że już naprawdę nie dało się ich dłużej powstrzymać.

FIRANKI

Anna Seredyka

Budowanie nowego zaczęło się od miękkiej poduszki w kształcie plasterka kiwi i kwiecistej podkładki pod myszkę. Już sama nie pamiętam, co na niej było — Słoneczniki Van Gogh’a czy może jakiś inny kwiecisty wzór Morrisa? Teraz to już nie ważne.

Gojenie zaczęło się od tych dwóch rzeczy, ponieważ przekonana byłam, że nic innego już nie miałam, tylko taką dziurę wielkości Rowu Mariackiego w sercu i duszy. Usadowiłam się na tej miękkiej poduszce i zaczęłam klikać myszką, ruszając kursorem tu i tam — pozornie bez celu.

Mama weszła do pokoju, w którym unosił się zapach zrazów i modrej kapusty gotowanych przez Panią Helenkę spod 9ki, samozwańczą masterchefkę osiedla Młodych. Delikatny powiew parnego powietrza poruszył firanką gęsto upiętą poprzedniego wieczoru w zazdroski przez mamę.

Mama.... Podeszła wtedy do mnie i obejmując puszystą ręką przyciągnęła do swojego brzucha okrytego granatowym fartuchem w czerwone kwiatki. Pamiętam, że gdy byłam małym grzdylem za nic nie chciałam uwierzyć, że mama ma jakiegokolwiek inne ubrania poza tym fartuchem i znoszonym płaszczem.

— Mamo, no weź.... Chciałam odklikać w samotności bezmiar pustki z serca. Mama nic sobie nie robiąc z moich pofukiwań pogładziła mnie po napuszonej czuprynie bordo, pobawiła się jedynym (celowo zostawionym) blond kosmykiem i ucałowała czubek mojej głowy. Zza Chińskiego Muru swoich dorodnych piersi nie zdążyła zauważyć strumyka łez moczącego skórę mojego rozgrzanego policzka. Nabrałam głęboko powietrza starając się znaleźć słowa będące w stanie podeprzeć mnie w opozycji. Mama spojrzała przelotnie w zatapiające się w świetle zachodzącego słońca bloki 11a i 13b. Paru sąsiadów siedziało na balkonach popijając piwo na zmianę z zaciąganiem się czerwonym Malboro. Wdychając woń

olejku migdałowego, który zawsze wchodził z mamą poczułam falę ciepła zatapiającą mnie od środka. Jakim cudem ona zawsze MNIE widzi?....

— Ach..... za moich czasów.... Wykrztusiła, zarzuciła wykrochmaloną ścierkę na ramię i wykonała w tył zwrot. Jej skórzane kapcie zostawiły niewielkie wgłębienia w wykładzinie na mojej podłodze, podczas gdy ona sama wróciła do kuchni, na swoje stanowisko zarządzania domem, rodziną i światem — czyli taboret przy kuchennym oknie. Przez uchylone drzwi usłyszałam jak pod nosem karci Panią Helenkę za smród przypalonego sosu ze zrazów.

Dwie mięciuchne delikatne rzeczy kontrastujące z ostrymi kawałkami mojego pogruchotanego serca— okrągła poduszka i kolorowa podkładka. Nim Mama weszła do mojego pokoju myślałam, że to jedyne co mi pozostało po tym, gdy Viola pożegnała się ze mną pisząc na Gadu “ Kocham Cię, ale wybieram siebie”.

CZEREŚNIA

Magdalena Szczepańska

Ogród zaczynał pachnieć jesienią. Słońce pojawiało się coraz później i nie zalewało już tak zachłannie całej działki. W kuchni czuć było jeszcze nocny chłód, więc Danką zarzuciła na ramiona wełniany koc i zapatrzyła się na zmarniałą czereśnię. Jeden z jej konarów niebezpiecznie przechylał się ku ziemi.

Jako dziecko uwielbiała wspinać się na jej gałęzie i zjadać owoce prosto z drzewa. Pielęgnowała czereśnię na swój dziecięcy sposób: wyszukiwała drobne rany w grubej korze i zbierała do słoiczka sączącą się z nich złotą żywicę. Lubiała jej lepkość i słodki zapach, który długo zostawał na palcach. Na ubytki w korze przykładła świeże liście babki lancetowatej, przekonana, że w ten sposób pomaga drzewu się zagoić.

Ze wspomnień wyrwał ją ostry jazgot kosiarki.

— Nawet w niedzielę rano musi kosić, kurwa — powiedziała głośno Danką, patrząc z niesmakiem na posesję nowego sąsiada i jego idealnie zielony, równo przycięty trawnik. Sąsiad miał zwyczaj kosić każdą sobotę. Jeśli w sobotę padało, kosił w niedzielę. Jeśli padało również w niedzielę, czekał na pierwszy moment, kiedy trawa zdążyła wyschnąć. Danką podejrzewała, że nawet gdyby pewnego dnia trawnik przestał rosnąć, sąsiad przez jakiś czas kosiłby go z przyzwyczajenia.

Budowa domu sąsiadów zbiegła się z powrotem Danki do Polski. Wcześniej działka obok stała pusta i przez lata Danką myślała o niej jak o naturalnym przedłużeniu ogrodu dziadków. Kiedyś chciała ją kupić i posadzić tam mały sad. Gdy wróciła, ziemia była już jednak sprzedana, a z betonowych fundamentów wyrastał nowy dom.

Po czasie uznała, że może stało się lepiej. Miała i tak dosyć roboty przy remoncie starego domu.

Dom dziadków wymagał wiele pracy. Danką zerwała spróchniałe podłogi, oczyściła fundamenty, skuła ze ścian kolejne warstwy farby, a nawet wyburzyła

część ścian, tak że pozostał jedynie szkielet domu. Tylko piec kaflowy został na swoim miejscu.

Nie zamierzała już w nim palić, ale nie potrafiła się go pozbyć. Pamiętała te dni, kiedy przyjeżdżała do dziadków w chłodniejszych miesiącach i babcia grzała na jego kaflach kołdrę, a potem zanosila ją do łóżka Danki. Pierzyna była ciepła, a Danka czuła się wtedy bezpieczna i kochana.

Matka nie rozumiała jej fascynacji domem.

— Stary, zniszczony dom — mówiła do Danki. — Zburz go i postaw nowy. Albo sprzedaj w cholere.

Danka nie brała jednak tego pod uwagę. Dom miał zostać.

Teraz otuliła się mocniej kocem, zaparzyła kawę i wyszła do ogrodu z ciepłym kubkiem w jednej ręce i wiklinowym koszem w drugiej. Ledwie zeszła ze schodków, poczuła na tydkach miękki ogon.

Szary kocur sąsiadów przychodził do niej prawie codziennie. Początkowo tylko na chwilę, żeby wysepić trochę jedzenia, ale z czasem zaczął zostawać na coraz dłużej i czuć się jak u siebie. Wchodził do domu, wskakiwał Dance na kolana, kiedy pracowała, i zasypiał przy wtórze własnego mruczenia.

Schyliła się i przesunęła dłonią po wyprężonym grzbiecie. Kocur zamiauczał, przemknął między jej nogami i wskoczył do domu.

— A ty dokąd?

Kot nawet się nie obejrzał. Danka uśmiechnęła się pod nosem i przymknęła za nim drzwi.

Winogron rósł na ogrodzeniu oddzielającym działkę dziadków od dzikiej ziemi, odkąd Danka pamiętała. Z jego owoców dziadkowie i rodzice robili soki, dżemy, wino. Owoce były tak dobre i słodkie, że Danka chętnie jadła całe kiście prosto z krzewów. Jako dziecko przechodziła przez dziurę w płocie na drugą stronę, gdzie ze względu na lepsze oświetlenie kiści było więcej, a same owoce były słodsze i większe.

Teraz jednak nie było już to możliwe. W płocie nie było dziury, a sama działka nie była już pusta.

Gdy Danuta zbliżała się do ogrodzenia, dostrzegła, że przy ogrodzeniu stoi sąsiadka z dwójką małych dzieci i w trójkę zrywają winogrona.

— Dzień dobry — zawołała sąsiadka i odwróciła się do malca, który wpełznął do buzi kilka fioletowych kuleczek. — Maciuś, wyjmij to z buzi, natychmiast. Takie winogrona je się bez skórek, wysysasz środek, o tak!

Wzięła jedną z kuleczek i ścisnęła ją tak, że w palcach została sama skórka.

Danka popatrzyła na owoce na swojej stronie działki i ze złością stwierdziła, że kiści jest niewiele, podczas gdy po drugiej stronie krzew ugina się pod ich ciężarem.

— Dzień dobry — odpowiedziała Danuta. — Z tym winogronem jest taki szkopuł, że ono zawsze pięknie obradza po drugiej stronie mojego ogrodzenia, czyli teraz u państwa. Pewnie nic się z tym nie da zrobić, chociaż kiedyś próbowaliśmy przeciągnąć gałęzie na swoją stronę.

Sąsiadka pokiwała głową, nadal się uśmiechając.

— Mam nadzieję, że to nie problem, jak poproszę panią o zerwanie kilku kiści. Albo sama do państwa podejść — dodała Danka.

— Ależ oczywiście! Niech dzieci pomogą, nie ma sensu, żeby pani chodziła. Mam nadzieję, że jakoś się podzielimy tymi owocami — odrzekła sąsiadka. — Proszę podać kosz przez ogrodzenie. Jaś, Maciuś, weźcie kosz i nazrywajcie trochę owoców.

Dzieci bez entuzjazmu wzięły kosz i wrzuciły tam kilka niewielkich kiści, po czym sąsiadka podała kosz Dancie.

Danka spojrzała do środka. Winogron było tam tyle, co przysłowiowy kot napłakał. Już chciała zwrócić na to uwagę sąsiadce, gdy poczuła, że w kieszeni brzęczy telefon. To była jej matka. Popatrzyła więc na sąsiadkę i na dzieci i z uśmiechem podziękowała.

— Oczywiście, mam, jasne, zawiozę cię. O której mam być? — Pomimo tego, że miała kilka projektów do skończenia, właśnie zgodziła się, żeby odwiedzić mamę na mszę do kościoła.

Gdy wróciła do domu, zauważyła, że kot wygodnie rozłożył się na kanapie i głęboko śpi. Jego małe łapki ruszały się przez sen. Z zewnątrz dobiegły ją głosy

dzieci, które go wołały. Kot ani drgnął. Zawahała się chwilę, jednak postanowiła go nie budzić. Wypuści go, gdy tylko wróci.

Deszcz uderzał zaciekle w przednią szybę samochodu, tak że wycieraczki ledwo nadążały ze zbieraniem wody. Kobieta w żółtym płaszczu zrobiła krok w stronę przejścia dla pieszych, ale zatrzymała się tuż przy krawężniku. Obok niej przemknął młody chłopak na rowerze i omal nie wpadł pod samochód Danki.

— Ostrożnie! — krzyknęła matka, zaciskając nerwowo palce na uchwycie nad głową.

— Mamo, jadę trzydzieści na godzinę. To ten chłopak pędził jak szalony. Nie popatrzyła nawet, czy coś jedzie — odparła Danka.

Matka tylko pokręciła głową, nadal ściskając kurczowo uchwyt.

Jej matka, kiedyś apodyktyczna, silna kobieta, której bał się nawet ojciec Danki, nie wiedzieć kiedy zmieniła się w zalęknioną wszystkim staruszkę. Siedziała teraz obok w dużym berecie na głowie, spod którego wystawały mocno natapirowane, bujne blond włosy, dziwnie kontrastujące z jej małą sylwetką.

W samochodzie panowała niezręczna cisza. Danka z niecierpliwością patrzyła na nawigację i liczyła pozostałe kilometry z nadzieją, że matka nie zacznie jednego ze swoich ulubionych tematów.

— Nie przykrzy ci się w tym domu? Sama tam siedzisz, ludzi nie widzisz.

No i zaczęło się.

— Mamo, mam co robić. Niedawno skończyłam remont, mam pracę — odpowiedziała wyuczoną regułkę. — Poza tym spotkałam się przecież ostatnio z Anką i z Olą, w kolejny weekend idę na imprezę do Staśka i Zuzi. Wiesz, że się zaręczyli? — dodała, żeby zmienić temat.

— Ona taka niewyględna przecież.

Danka parsknęła. Czemu jej matka musi być taka oceniająca?

— Mamo...

— No co, tylko mówię. Zawsze była taka nijaka. No, ale dobrze, że się spotykasz z ludźmi.

Danka zerknęła na nawigację. Tylko jeden kilometr.

— A ty myślałaś, żeby sobie kogoś znaleźć? — zwróciła się nagle do niej matka. — Ten Janek, z twojej dawnej szkoły, to taki fajny chłopak. Mówiłaś, że zapraszał cię na wesele.

— Mamo, proszę cię...

— Nic ci nie można powiedzieć — odparła matka.

Danka patrzyła przed siebie, a mimo to czuła na sobie wzrok matki. Pełen współczucia i troski. Włączyła kierunkowskaz i zaparkowała tuż przy kościelnej bramie. Na ulicy toczyli się już głównie starsi ludzie i kilka młodszych par z dziećmi.

— Jesteśmy na miejscu. O której cię odebrać?

— Wrócę z Kryską, tą od Wysockich — odpowiedziała matka. — Pamiętasz ją jeszcze? Ostatnio pytała, co u ciebie.

Danka tylko pokręciła głową.

Pod ogrodzeniem stały ustawione kosze z winogronami.

Danka zatrzymała się. Podeszła do płotu i spojrzała na krzew. Po stronie sąsiadów prawie wszystkie dojrzałe kiście zniknęły. Zostało trochę drobnicy i zielone owoce, których nikt najwyraźniej nie chciał.

— Przepraszam! — krzyknęła. — Dzień dobry!

— O, dzień dobry — sąsiad kiwnął w jej kierunku głową i odwrócił się tyłem.

Danka poczuła, jak jej szczeka się zaciska, a policzki robią się czerwone ze złości.

— Mógłby pan na chwilkę podejść? — powiedziała zniecierpliwiona. — Mam sprawę.

— Jasne — sąsiad niechętnie odwrócił się w jej stronę i zbliżył do ogrodzenia.

— Widzę, że zerwali państwo cały winogron.

— Oczywiście, przecież szkoda, żeby się zmarnował — odparł sąsiad.

Danka pomyślała, że mówi to z taką lekkością, jakby sięgał po swoje.

— To mój winogron — odpowiedziała. — Krzew rośnie na mojej działce.

— Pani Danusi — odpowiedział sąsiad i niedbale oparł się o ogrodzenie. — A jaki ja mam wpływ, po której stronie rozrósł się winogron? Jak pani chce, to dam pani ten, co zerwaliśmy.

Wskazał ręką na kosze pełne owoców.

— Przeje pani sama? — dodał.

Danka poczuła, jak się rumieni. Za kogo ten człowiek się uważał, żeby wydzielać jej ilość owoców z jej krzewu?

— O to niech się pan nie martwi. Wezmę dwa kosze i następnym razem proszę zapytać, zanim pan wszystko pozrywa — dodała.

— Oczywiście, następnym razem zapytamy — odpowiedział z przekąsem. — Zresztą mi na tym winogronie nie zależy, mogę go wyciąć — dodał, podając Dance kosze z owocami.

— A co do wycinania jeszcze, to niech się pani zainteresuje swoją czereśnią — powiedział i kiwnął głową w stronę drzewa. — To drzewo ledwo stoi. Trochę powieje, śniegu napada i drzewo runie.

— Poradzę sobie, dziękuję.

— Nie ma sprawy — sąsiad uśmiechnął się, jakby nie wyczuł ironii w jej głosie. — Zresztą możemy się rozliczyć winogronem.

Danka już odwróciła się i miała wracać do domu, kiedy sąsiad zawołał:

— A widziała pani może naszego kota?

Danka przystanęła i chwilę się zawahała.

— Kota? Nie, nie widziałam.

— Gdyby go pani zobaczyła, to niech pani da znać. Jeszcze słabo zna okolicę, żeby się nie zgubił.

— Oczywiście — zmusiła się do uśmiechu w kierunku sąsiada. — Ale wie pan, jakie są koty. Nie można ich do niczego zmusić, chodzą własnymi ścieżkami.

Gdy wróciła do domu, kot nadal leżał na kanapie. Gdy ją zobaczył, zeskoczył na podłogę z dumnie podniesionym ogonem. Otarł się o jej nogi i zamruczał. W nagrodę poklepała go po grzbiecie i dała jedzenie.

— Nic cię tu nie trzyma — powiedziała do mruczącego kota. — Szukają cię, dzieci za tobą tęsknią.

Otworzyła szerzej drzwi.

— No już, leć!

Kot jednak stał w miejscu i przebierał łapkami.

— Jak chcesz.

Danka zamknęła drzwi i poszła do kuchni. Kot ruszył za nią.

Kilka tygodni później ścięła czereśnię z pomocą swojego wuja.

Patrzyła, jak piła wgryza się w twardy pień. Najpierw poszła jedna gruba gałąź, potem druga. Z każdym cięciem ogród robił się jaśniejszy i pustszy.

Kiedy drzewo upadło, przez chwilę poczuła ogromny smutek. Podeszła do pnia i położyła na nim dłoń. Kora była chłodna i mokra. Z pnia sączyła się złota żywica.

Następnego dnia pojechała po nowe drzewko.

Było małe. Tak małe, że przez chwilę zastanawiała się, czy nie wybrała złego. Sprzedawca powiedział, że za kilka lat powinno już owocować.

Kilka lat. Brzmiało to jak bardzo długo.

Wykopała dół tuż obok miejsca, w którym rosła stara czereśnia. Wsypała ziemię, włożyła drzewko i dokładnie obsypała korzenie. Na końcu przywiązała je do palika.

Przez chwilę stała nad nim z łopatą w ręce. Zastanawiała się, czy owoce z tego drzewa będą tak samo słodkie i duże jak te ze starej czereśni.

W IMIĘ LUDZKOŚCI

Milena Malicka

Poniższy fragment jest częścią projektu, nad którym pracuję. Akcja rozgrywa się w dystopijnej rzeczywistości, w której wampiry powoli przejmują władzę nad życiem ludzi.

“Chciałbym, żebyś została moją nałożnicą”

Te słowa nie mogły wyjść z mojej głowy co raz za razem podnosiło moje ciśnienie. Jak on śmiał mi to zaproponować? Jak mógł zwabić mnie pretekstem stypendium? Faktycznie, bardzo zależało mu na wsparciu młodych osób, ale trochę w innym kontekście niż to przedstawiał. Zrodzone wampiry miały możliwość posiadania potomstwa z ludzkimi kobietami. Za dziecko oferowali im nieśmiertelność. Sira powiedział mi, że nasza umowa nie byłaby tak naprawdę prawdziwa, a on potrzebował tylko odwrócić od siebie uwagę rady wampirów. Nie przekonywało mnie to, bo gdybym podpisała tę umowę to tak czy siak musiałabym się z tego wywiązać tak jak i on. Na samą myśl, że miałabym sypiać z obcym mężczyzną, by urodzić mu dziecko zrobiło mi się niedobrze. “Krew za krew”. To hasło od lat napędzało propagandę, która miała pokazać, że ludzie i wampiry muszą współpracować razem. Wy dajcie nam krew, którą możemy się żywić, a my oddamy wam swoją, która może was leczyć. Wy urodzcie nam dzieci, a my odwzajemnimy się wam nieśmiertelnością. Wielu ludzi było mocno negatywnie nastawionych do konceptu nałożnic, a ja byłam jedną z nich. Wizja nieśmiertelności mogła być dla wielu kusząca, ale jednak było to przyczynianie się do cierpienia kolejnych ludzi. Jednak nie sądziłam, że taka oferta będzie skierowana w moją stronę. Siracide zapewniał mnie, że przez cały okres trwania umowy nie tknąłbym mnie, ale na ile można wierzyć wampirom. “Przemyśl to proszę. Daj sobie tydzień i daj mi ostateczną decyzję”. Ale czy w tak krótkim czasie może coś się zmienić?

Spotkanie niefortunnie umówiłam przed pracą, a frustracja po tym nie mogła opuścić mojego ciała. Nie potrafiłam odpowiednio skupić się na swoich zadaniach. Źle liczyłam pieniądze, nie uśmiechałam się do klientów tak jak powinnam i na dodatek zbiłam szklankę z ciepłą kawą. Kierownik widział, że byłam dzisiaj większym kłopotem niż pomocą i kazał mi szybciej wrócić do domu. Oczywiście na koniec wspomniał, że takie coś ma się więcej nie powtórzyć, a ja wzięłam to sobie do serca, bo strata pracy w takim momencie byłaby moim gwoździem do trumny.

Gdy wróciłam do mieszkania minęłam się z moją współlokatorką Florence, ale szybko uciekłam do pokoju tłumacząc się migreną, które co jakiś czas mnie nawiedzały. Ale nawet w pełnej ciszy, w ciemnym pokoju, które oświetlały tylko uliczne lampy nie mogłam uspokoić gonitwy myśli. Ostatnio mężczyźni, ci żywi i martwi, niesamowicie mnie zawodzili. Najpierw chłopak, z którym się umawiałam urywa kontakt bez słowa, a później oferta zostania nałożnicą wampira, która brzmiała jak słaby żart. Zmęczona tym wszystkim zasnęłam, ale ta noc i tak nie należała do spokojnych.

Cały dzień spędziłam na uczelni. Na dodatek wzięłam sobie za mało jedzenia i pod koniec dnia myślałam już tylko o tym. Za dwa dni miałam dać Sirze odpowiedź. Nie chciałam go ani widzieć, ani słyszeć. Ale trzeba będzie mu dać jasno do zrozumienia, że dziękuje. Oby tylko to wystarczyło.

Gdy skończył się ostatni wykład ubrałam na siebie gruby płaszcz i wyszłam z budynku. Zaczęło się już ściemniać i zrobiło się zimno. Miałam związane włosy, co z brakiem szalika sprawiło, że szybko zaczęłam marznąć. Postanowiłam, że na drogę wezmę sobie kawę na wynos, bo i tak potrzebowałam rozbudzenia na wieczór. Pomimo zakończenia zajęć nauka się nie kończyła. Weszłam do małej kawiarni, która była całkiem wypełniona ludźmi. Zamówiłam napój i czekałam z boku sali. Nagle odruchowo popatrzyłam w bok i zauważyłam, że przygląda mi się kobieta niewiele starsza ode mnie. Miała ciemne, krótkie loki, a jej brązowe oczy patrzyły się prosto w moje. Lekko się do mnie uśmiechnęła, a ja szybko odwróciłam

wzrok. Na szczęście właśnie przyszła kolej na odbiór mojej kawy. Podziękowałam i szybko opuściłam lokal. Gdy szłam już parę minut odwróciłam się za siebie i znów ujrzałam tę kobietę. Od razu się spięłam. Czy ona mnie śledzi? Postanowiłam, że skręcam w boczną uliczkę, by sprawdzić czy faktycznie byłam jej celem. Praktycznie od razu usłyszałam kroki za sobą, na co natychmiast przyspieszyłam swój chód.

— Jesteś Clarion, prawda? — Usłyszałam za sobą i znieruchomiałam.

Odwróciłam się za siebie, a kobieta powoli skróciła dystans między nami.

— Jak nie jesteś pewna to chyba nie wiesz kogo szukasz — prychnęłam i chciałam się odwrócić.

— Wiem tyle, że wampir Siracide złożył ci pewną propozycję. Lekko niecodzienną.

Gdy usłyszałam to zdanie po całym moim ciele przeszedł prąd.

— Słucham?

— Po twojej reakcji sądzę, że chyba jednak dobrze trafiłam. Chciałabym z tobą porozmawiać.

— Nie wiem, czy mamy o czym.

— Dostaliśmy informację, że zaproponowano ci zostania nałożnicą. Moje pytanie brzmi, czy faktycznie chcesz nią zostać.

— Nie wiem kim jesteście wy, ale nie, nie zamierzam z tego korzystać. Nie jestem fanką wykorzystywania kobiet — odpowiedziałam jednym ciągiem zapominając, że może powinnam uważać na słowa.

— Dobrze wiesz, że obecna współpraca ludzi i wampirów nie działa tak jak powinna. Ludzie ciągle oddają krew, a notorycznie brakuje ich w szpitalach. Wampiry zdecydowanie dominują nad ludźmi. Nie wiem czy słyszałaś, ale obecnie coraz częściej mówi się o ataku wampirów na suwerenność ludzi. Nam zależy, żeby do tego nie dopuścić — powiedziała zbliżając się do mnie.

— Oczywiście, że ten problem jest rzeczywisty. Wiem, że wielu ludziom nie podoba się obecny stan rzeczy. Rozumiem, że jesteście jakimś podziemiem? — zapytałam będąc nadal skonfundowana. Ludzkość od czasu do czasu próbowała zyskać więcej władzy, więc rebelię czy podziemia nie były czymś dziwnym dla

naszego społeczeństwa. Było to na tyle znormalizowane, że nawet jako dzieci bawiliśmy się w rebeliantów.

— Wampiry chcą zrobić z ciebie pionka w swojej grze. Urodzić im dziecko, które będzie kolejnym problemem dla ludzi. My z tego pionka chcielibyśmy zrobić gońca, który pomoże ludzkości. Mogłabyś realnie pomóc z oligarchicznymi rządami wampirów. Pytanie, czy byłabyś zainteresowana— powiedziała głęboko patrząc w moje oczy.

Od zawsze chciałam pomagać ludziom. Z tego powodu wybrałam też swój kierunek studiów. Dobro ludzkości było dla mnie zawsze dużym priorytetem. Zaczęłam się zastanawiać, czy to co do mnie mówi ta kobieta naprawdę mogłoby sprawić, że zaczęłabym coś więcej znaczyć.

— Mów dalej — odpowiedziałam.

Siedziałam w swoim pokoju wpatrując się w telefon. Po spotkaniu na ulicy poszłam z Camille, bo tak miała na imię nieznajoma, do bardziej ustronnego miejsca. Zaproponowała mi, żebym zgodziła się na układ z wampirem. Miałabym wtedy okazję często przebywać w jego domu i być w otoczeniu ważnych wampirów. Mogłabym zdobyć dzięki temu różne informacje. Oczywiście najbardziej cenne będą, te które dotyczyłyby rzekomej wojny. Powiedziała mi, że dzięki takim informacją moglibyśmy pomóc rządowi ludzi. Oczywiście obiecywali mi wsparcie, ale najważniejsze w tym wszystkim było moje bezpieczeństwo. Jeśli działałoby się coś złego to spróbują mi pomóc z tego wyjść, ale musiałbym mocno liczyć na siebie. Było to ryzykowne, ale sytuację mocno polepszało to, że Sira chciał sfingować ten układ, więc na pewno byłabym w bezpieczniejszej sytuacji niż inne nałożnice. Dzięki temu mogłabym upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Pomóc ludziom, ale i zebrać pieniądze, które pomogłyby mi na start w życiu. Wampiry zrobiły wiele złego nam ludziom, a ja miałam okazję spróbować zmienić sytuację. Wstałam i spojrzałam na zegar. 22:30. Za półtorej godziny mijał tydzień od propozycji Siry. Spojrzałam w telefon i wybrałam jego kontakt. Chwilę patrzyłam na

ikonę słuchawki, która rozpoczyna rozmowę. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam na głos:

— Pamiętaj po co to robisz.

I wybrałam połączenie. Odebrał za drugim sygnałem.

— Halo? — usłyszałam znajomy głos.

— Przepraszam, że dzwonię o tej godzinie. Chciałabym się z tobą spotkać— zaczęłam.

— Rozumiem, że dotyczy to mojej propozycji? — zapytał by się upewnić.

— T...Tak. Chciałabym jeszcze przedyskutować pewne aspekty umowy, ale wstępnie jestem skłonna się zgodzić— powiedziałam na jednym wdechu, co wskazało na mój stres.

— Świetnie — mogłabym przysięgnąć, że właśnie się uśmiechnął. — Spotkajmy się jutro u mnie o 18. Pasuję ci?

— Tak. W takim razie do zobaczenia — powiedziałam i zakończyłam rozmowę.

Popatrzyłam na siebie w lustrze i zaczęłam podważać moje decyzję. Ale klamka już zapadła.

WYSZLIŚMY PO DOM

Justyna Wenecka

Panowie, wiecie może, kiedy dojedziemy na stację? — zapytał krótko ostrzyżony młodzieniec, nerwowo gniotąc w rękach czapkę.

— Trudno powiedzieć, ale wygląda na to, że jesteśmy gdzieś w połowie drogi — odparł niewiele od niego starszy Henryk. — Jeszcze trochę zejdzcie. A co, spieszy ci się jakoś szczególnie? — zaśmiał się i rozejrzał po towarzyszach z nadzieją, że rozluźnił ciężką atmosferę.

Żaden nie zareagował.

Młodzi mężczyźni siedzieli wpatrzeni w przestrzeń albo we własne bagaże. Jeszcze parę godzin temu matki upychały w ich tobołkach szare mydło, mały ręcznik, nożyczki, chleb, kawałek kiełbasy. Po dwa podkoszulki, po dwie pary spodni. Więcej nie było. Od dziś miało im to wystarczyć.

— Nie jest panu za gorąco w tym kożuchu? — zagadnął Henryk, zwracając się do Michała. — Mamy ze dwadzieścia trzy stopnie w słońcu.

— Jest — odparł Michał sennie. — Ale wolę się zgrzać, niż go zgubić.

— Jak zgubić? My tu sami swoi. Co tu komu ukraść?

Pytanie zawisło nad nimi ciężko. Niewiele mieli, ale to niewiele było wszystkim.

Kopyta koni stukały miarowo o drogę. Wóz trząś się na wybojach i skrzypiał, jakby miał się rozpaść. Woźnica co chwilę zwalniał, próbując ominąć najgłębsze dziury. Na polach trwały żniwa. Złoto falowało w słońcu.

To pierwsze żniwa bez nich.

— To prawda, że w Ameryce pieniądze rosną szybciej niż u nas zboże? — odezwał się znowu młodzieniec.

— U nas we wsi trzech wyjechało — powiedział Witek. — Jeden wrócił. Nakupił ziemi. Teraz pan.

— A tych dwóch?

Witek wzruszył ramionami.

— Nie wrócili.

— Na pewno zostali i już im nie w smak wracać — odezwał się krótko ostrzyżony chłopak, prostując się. — Mam na imię Aleksander. Miło poznać.

Wóz nagle podskoczył na kamieniu. Aleksander stracił równowagę i z impetem wylądował na kolanach Michała.

— Ej! Uważaj pan! — roześmiał się Henryk. — Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze pan na stację nie dojedzie. Zostawimy pana za wozem. Jak to mówią: chłop z wozu...

— Baba z wozu! — poprawił go Aleksander. — Tak było.

— Było, nie było, chłop bardziej pasuje. Toć my same chłopcy — zawyrokował Henryk. — Henryk jestem. I nie wiem jak wy, panowie, ale wolałbym nie zawracać przez czyjąś głupotę.

Michał uśmiechnął się lekko. Przeczesał włosy szylkretowym grzebieniem. Matka wsunęła mu go do ręki, kiedy wychodził. Jej największy skarb.

Spojrzał na ziemię znikającą pod kołami i poczuł ścisk w żołądku. Zaciśnął dłoń na grzebieniu, po czym odwrócił się przodem do drogi.

Zegar wiszący nad ich głowami miał ogromną, złożoną tarczę i czarne wskazówki. Godziny wybijał głośno, budząc niejedną przysypiającą w poczekalni osobę. Michał wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany, obserwując każde przesunięcie minutnika.

Niektórzy pasażerowie dopiero co przyjechali i nieśmiało rozglądali się po stacji. Inni pojawili się pięć, dziesięć, a nawet dwanaście godzin wcześniej. Ze zdrętwiałymi nogami i bólem pleców czekali na pociąg. Pakunki mieli najczęściej związane sznurkiem, kosze wypchane chlebem i wędlinami. Czasem transportowali dobytek całego życia: nerwowo gdakające kury i kaczki, starannie zabezpieczone kosztowności. Kobiety można było policzyć na palcach jednej ręki.

Byli też tacy jak Michał, którzy poza marzeniami nie mieli ze sobą zbyt wiele. Wolni, a jednak skazani na nieznane. Ubrani w za ciasne, zgniecione od siedzenia garnitury. Michał patrzył na nich i wiedział, że były to najlepsze stroje, jakie mieli.

Nosili je z dumą i ostrożnością, żeby ich nie zniszczyć. Możliwe, że były to garnitury po ojcach albo ubrania uszyte specjalnie na tę okazję.

Wyobrażał sobie, jak ich żony i matki z oddaniem prasowały nieskazitelnie białe koszule — choć teraz nie było już tego widać. Kołnierzyki, zbrązowiałe od mieszanki kurzu i potu, uciskały szyję, zostawiając czerwone ślady. Brud i ciągle zmiany pozycji zniszczyły ich dostoyny wygląd. Zbyt odświętny jak na pociąg. Tak bardzo niepasujący do okazji, w której wszyscy się znaleźli.

W poczekalni stało dwadzieścia sosnowych ławek. Solidne śruby na stałe wiązały ich żeliwne, ażurowe nogi z podłożem. Drewniane siedziska lśniły nowością i wciąż pachniały farbą. Musiały być niedawno odnawiane. Ustawione w rzędach tuż przy ścianie stanowiły najlepszą możliwość odpoczynku, jaką mieli. Ci, którzy dotarli na stację jako ostatni, musieli obejść się smakiem i rozgościć na podłodze.

W powietrzu mieszały się aromat kawy, zapach wędzonej kiełbasy i ciężki swąd węgla.

„Prawie jak w domu” — pomyślał Michał.

Złapał się na tym, że po kilku godzinach czekania przestał zwracać uwagę na swoich towarzyszy z wozu. Docinali sobie przy każdej możliwej okazji, irytując go swoim dziecinnym zachowaniem. Zamiast tego, sam nie wiedząc kiedy, zaczął podsłuchiwać rozmowy nieznajomych.

Dokąd jechała ta stateczna pani w eleganckiej, granatowej sukni? Do Warszawy. Na pogrzeb stryja. Liczyła na zapisany dla niej i córek majątek.

Kim był ten wachlujący się czarnym melonikiem dżentelmen? Dzień był ciepły, owszem. Michał pocił się okrutnie, ale siedział opatulony w zimowy kożuch, więc to zrozumiałe. Ale tamten pan, w samym garniturze, meloniku i sznurowanych butach? Pewnie trapiły go jakieś dolegliwości. A może bał się podróży? Nie, nie wyglądał na takiego, który wybiera się w nią po raz pierwszy.

A ten młody chłopak o świdrującym spojrzeniu, w podartych, za krótkich spodniach? Mama mówiła, żeby uważać na złodziei. Ten nic nie miał ze sobą — więc może właśnie złodziej?

Michał spojrzał na swój znoszony kożuch i mocniej przycisnął do siebie niewielki bagaż.

„Strzeżonego Pan Bóg strzeże” — pomyślał. „To moja pamiątka po domu i towarzyszy na kolejne lata. Co jak co, ale żaden złodziejasek mi nie grozi”.

Zaśmiał się w duchu.

Wsluchiwał się w rozmowy obcych ludzi z takim przejęciem, że nie zauważył, kiedy ciężki, ospały parowóz z hukiem wtoczył się na peron numer dwa.

Czak—czak—czak.

Para wypełniła stację. Ktoś przestał kaszleć. Dworzec spowiła wszechobecna cisza, jakby wszyscy czekali na potwierdzenie, że to już — że to, na co czekali, właśnie się dzieje. Po chwili, jakby ulepieni z jednego ciała, zerwali się z wysiadanych godzinami miejsc i pospiesznie ruszyli na peron.

— Panowie, ten na Warszawę?! — Aleksander krzyknął do sąsiadów z ławki obok.

— Tak będzie! Dzisiaj odchodzi tylko ten, więc musi być, że na Warszawę! — odkrzyknął jeden z nich, pospiesznie zgarniając swoje rzeczy.

Michał wygładził pogniecioną marynarkę i zapiął kożuch. Chwycił jedyny tobołek, z jakim przyjechał, i na miękkich nogach ruszył w stronę pociągu.

Nie wiedział jeszcze, że zabierze go dalej, niż potrafił sobie wyobrazić.

Kochana Matulu!

Co słyszeć w domu rodzinnym? Józia i Halinka pewnie nieźle podrosły. Żałuję, że Was nie widzę. Żałuję, że nie mogę pomóc w gospodarstwie. Zwłaszcza że teraz były żniwa, więc Tacie, Staśkowi i Wawrzyńcowi musiało być trudno. Dwie ręce mniej to dużo.

Od ostatniego listu minęło trochę czasu, ale nie wiedziałem, co napisać. Matulu, nie jest dobrze. Ja tutaj nie jestem szczęśliwy. Tak bardzo tęsknię za Matulą, ciepłym chlebem z naszego pieca, zapachem akacji. Ameryka wcale nie jest taka piękna, jak ją opisywali. Mówiono we wsi, że tyle bogactwa czeka, że kariera do zrobienia.

A ja żyję w ciasnocie z trzema kolegami z budowy. Wcale nie mam swojego mieszkania i nie robię kariery w wielkiej firmie, jak Ci wcześniej pisałem, tylko pracuję

przy budowie torów. Mieszkamy w hotelu robotniczym. My z chłopakami mamy w przydziale zatęchłą klitkę na czwartym piętrze. Meble zmurszałe, ściany obdrapane z tynku, w rogach kwitnie pleśń. Cały czas wietrzymy, bo śmierdzi stęchlizną. Zresztą okno się nie domyka.

Dwóch kolegów, z którymi dzielę pokój, to ci z Chocenia. Pisałem Ci o nich w pierwszym liście. Jechali ze mną na stację — Henryk i Aleksander. Trzeci jest z Włoch, ma na imię Giovanni. Coraz lepiej się z nim dogaduję.

Jem dwa razy dziennie: kawałek chleba z wyprzedaży z dnia poprzedniego i to, co dają na budowie — zazwyczaj jakąś papkę z kartoflami i mięso w galarecie. Smakuje obrzydliwie. Nie to co obiady Matuli. Czasami kupujemy z chłopakami konserwę i dzielimy na trzech. Wielce schudłem.

Pracuję ciężko, po dwanaście godzin dziennie, a latem nawet dłużej. Dostaję najniższą stawkę. W Ameryce to bardzo niewiele, ale w Polsce coś się uzbiera. Wszystko, co mogę, odkładam na powrót do Polski.

Ubrania mam już też zniszczone i nie mogę ich doprać. Szare mydło pożyczyłem kolegom i teraz muszę kupić nowe. Nie wiem za bardzo, gdzie je kupić. Nie rozumiem, co jest napisane na ulicy. O wszystko muszę pytać polskich kolegów, którzy są tutaj dłużej ode mnie. Robię, co mi każą, i wydaję się sobie najgłupszy z nich wszystkich.

No i chyba najbardziej tęsknię za Polską.

W nocy, kiedy nie mogę zasnąć, wyobrażam sobie, jak to będzie, kiedy wrócę. Mam nadzieję, że zarobię na tyle dużo, że będę mógł kupić trochę ziemi i Wam pomóc. Matulu, ile jeszcze?

Coraz częściej płaczę, ale to też w nocy, żeby nikt nie widział i nie nazwał mnie mazgajem. Tutaj potrzeba silnych chłopów, nie mazgajów.

Michał zawiesił stalówkę nad kartką i wpatrzył się w lekko naderwane lewe drzwi bukowej szafy. Widział przez nie futrzany kołnierz kozucha. Tego samego kozucha, w którym przyплыł na Ellis Island ponad rok temu.

Złożył list na dwa i odsunął go na bok.

Sięgnął po nową kartkę, zaciągnął tusz i zaczął pisać:

Kochana Matulu!

Ameryka jest prawdziwym spełnieniem marzeń. I choć z chęcią bym doglądał zbiorów — wrzesień, więc pewnie już po żniwach — to nie mogę narzekać: karierę robię, płacę dobrze, odpoczywam, kiedy chcę. Ba, zajadam rarytasy, o których istnieniu nawet nie wiecie! Matulu, żałujcie, że nie możecie zobaczyć tego, co ja!

Przerwał.

Sięgnął po szylkretowy grzebień i przeczesał bujne, wywinięte w górę wąsy. Spojrzał na obie kartki.

— Jutro dokończę — pomyślał i ostrożnie zakręcił szklany pojemniczek z tuszem.

Był to prezent od Giovanniego. Na własny zestaw jeszcze nie było go stać.

ZŁOTY KOLCZYK

Agnieszka Płuciennik

Tekst jest fragmentem dłuższej historii, nad którą obecnie pracuję.

— Biegnij — krzyczę. Nawet nie odwracam się za siebie. Prę naprzód. Moje nogi jakby dostały turbodoładowanie, pchają mnie naprzód. Nie wiem jak moje płuca nadążają z filtrowaniem powietrza. Serce bije jak oszalałe. Moje policzki wręcz płoną. Czuję drobne kropelki potu na moim czole. Za sobą słyszę zdyszane sapanie Zośki, odwracam się za siebie. Widzę, że Zośka nie daje rady utrzymać mi kroku. — No biegnij — ponaglam. Dziewczyna za mną z każdą sekundą oddala się ode mnie coraz bardziej. Nie, nie mogę pozwolić sobie na wkopanie mnie przez nią. Może i ma mózg nie od parady, ale Florence Griffith—Joyner to ona nie jest. Dalej prę naprzód, im większy odcinek pokonam od miejsca zdarzenia do momentu, gdy usłyszę złowieszcze sygnały i niebieskie koguty tym lepiej.

Akcja trochę trwała, na pewno jest grubo po dwudziestej trzeciej. Dalej nie mam zegarka, bo kolejny raz pękła mi opaska i nie miałam czasu zamówić kolejnej, aby móc nosić swój smartwatch. Mój telefon natomiast odbija się niebezpiecznie w plecaku o minikamerkę, latarkę i radośnie romansuje wplątując się w kable ładowarki i słuchawek. Oby tylko znowu nie pękł mi ekran. Nie stać mnie, żeby kolejny raz to naprawiać. Mniejsza, nie wiem, która godzina. Ale wiem, że mijam właśnie pasaż, do którego uwielbiała chodzić moja mama. Pamiętam jak zabrała mnie tam kiedyś i razem mierzyłyśmy w przebieralni pstrokate tiulowe kiecki. Dla mnie wybrała morski błękit, a sobie wybrała krwistą czerwień. To paradoksalne wspomnienie wybija mnie z rytmu. Mam poczucie jakbym zwolniła. Nie mogę. Ponownie przyspieszam. Taką samą czerwień widzę na swoich dłoniach. Teraz odcień nie jest już tak żywy. Zasnęta krew brunatnieje. Pod paznokciami mam już niemal czarne zacieki. Pocieram palcami wnętrza swoich dłoni i skręcam w kolejną

bramę. Zatrzymuję się w zaułku. Potrzebuję złapać oddech. Opieram dłonie o swoje kolana i lekko się pochylam. Głośno oddycham. Kurczę, gdzie jest Zośka?

Zrzucam plecak z pleców i wygrzebuję z jego wnętrza telefon. Szybka na szczęście jest cała. Jaskrawy ekran wskazuje sześć minut po północy. Wrzucam telefon ponownie do plecaka. Rozsuwam kieszenie moich dresów i wsypuje do małej kieszonki wewnątrz plecaka parę złotych wiszących kolczyków i naszyjnik z tego samego kompletu, który na wystawce tytułował się jako Angel. Zaczynam zasuwać plecak, by ponownie zarzucić go na plecy.

— A cóż to za ślicznotka o tej porze tutaj spaceruje? — chrapliwy głos dobiegał gdzieś z ciemności. Momentalnie się prostuję i czuję napięcie we wszystkich mięśniach. Próbuję szybko rozgryźć, z której strony dobiega głos. Nie dość, że jest tutaj przeokropnie ciemno, to w dodatku podczas akcji straciłam lewą soczewkę i czuję się trochę jak pijana patrząc niewyraźnym jednym okiem. Moje rozmyślenia musiały trwać za długo, bo czuję ucisk obcych rąk na moim przedramieniu.

— Zadałem pytanie — tym razem ostrzej odpowiada mi ten sam, co poprzednio, głos. Odwracam się mimochodem i patrzę w twarz nieznajomego. Mężczyzna wygląda mi z twarzy na około czterdzieści lat, ale jego ubiór jest bardzo zaniedbany. Odrzuca mnie zapach, który roztacza swoją osobą. Myślę sobie, że nie pozwolę na to. Za paznokciami mam już jedno DNA, mogę mieć drugie. W przyływie adrenaliny wbijam swoje paznokcie w jego obrzydliwą twarz. Ten jednak chwyta mnie drugą ręką i przez głowę przebiega mi myśl, że chyba pora zacząć się modlić. Nagle znikąd zjawia się Zośka i wita nieznajomego paralizatorem. Gdy mężczyzna puszcza uścisk dokłada mu jeszcze gazem pieprzowym prosto w oczy. Obie słyszymy tylko jego krzyk, potknięcie i upadek.

— Więcej — krzyczy do mnie Zośka i już znika za zakrętem. Jestem oszołomiona, ale nie trzeba mi dwa razy powtarzać. W duchu myślę sobie, że niepotrzebnie wcześniej krytykowałam Zośkę. Jej plecak, który ją spowalnia jest zdecydowanie lepiej wyposażony. Wybiegam z bramy i skręcam w lewo za Zośką.

Zatrzymujemy się z Zośką dwie przecznice dalej. Obie jesteśmy zdyszane, ale zdecydowanie wystarczająco oddaliłyśmy się od miejsca naszej pierwotnej akcji.

— Zośka, ja.. dziękuję. — mówię zdyszana i dalej nie dowierzam w to, co działo się przed momentem.

— Nie ma sprawy. — rzuca, jakby nigdy nic.

— Nie wiem co by było, gdyby nie ty.

— Nie gadajmy o tym. — ucięła Zośka. — masz swoje łupy?

— Tak, przerzucałam je do plecaka chwilę przed tym, zanim pojawił się ten typ.

Zrzucam plecak i z niepokojem stwierdzam, że jest rozpięty. — przeklinam w głowie i szarpię wewnętrzną kieszeń, widzę samotnie wiszący złoty kolczyk, który zahaczył się o materiał poszewki plecaka. Drugi może być wszędzie. Wszędzie w tym mieście.

Nazajutrz budzi mnie walenie do drzwi. Przecieram zmęczone oczy, mam poczucie, jakby moja głowa miała zaraz eksplodować. Beznamiętnie sunę się do drzwi. Bez namysłu otwieram drzwi i już wiem, że był to błąd, że nie spojrzałam przez judasza.

— Jadwiga Klimowicz? — w drzwiach wita mnie dwóch funkcjonariuszy policji.

— Tak — odpowiadam z zaciśniętymi zębami.

— Proszę z nami. Jest pani podejrzana o rabunek w zakładzie jubilerskim.

W głowie kotłowało mi się mnóstwo myśli jadąc z policją w kierunku mojej niechybnej zguby. Na posterunku spotykam mężczyznę, którego miałam nieprzyjemność poznać wczoraj wieczorem i moje dłonie mimowolnie zaciskają się w pięści.

— Pani współnik już czeka, jego już przesłuchaliśmy. Teraz pani kolej

— Wspólnik? — ze zdziwienia aż krzyknęłam. Przez chwilę brakuje mi tchu. Mężczyzna porozumiewawczo do mnie kiwa

— Co tu się odpieprza — myślę sobie. Gdzie jest Zośka? Kobieto, ratuj mnie, jak wczoraj — myślę sobie

— Zauważyliśmy na pani dłoniach ślady krwi, zapraszamy na badania — kontynuuje policjant, ignorując mój wybuch złości.

Mimowolnie spojrzałam na swoje dłonie i widzę, że na palcach i pod paznokciami mam zaschnięte brunatne ślady.

— Dlaczego nie umyłam dłoni? — zastanawiam się. Próbuję się skupić i nie bardzo mogę sobie przypomnieć jak trafiłam do mieszkania. Od myślenia rozboleła mnie głowa.

Oczekiwanie na wyrok dłużył mi się niemiłosiernie, a w mojej głowie pulsowało ciśnienie.

— Krew na pani dłoniach pasuje do krwi Zofii Pogórskiej, którą mamy w bazie. Powie nam pani co się stało?

— Zośka, nie, to nie tak. Zośka to moja kumpela. Przyznam się do włamania do jubilera, ale na pewno nie jestem w zmowie z tym mężczyzną. Próbował mnie, nie wiem, zgwałcić. Napastował mnie w ciemnym zaułku. Zośka mi pomogła, uratowała mnie przed nim.

— Pani Jadwigo, proszę nie kłamać, tylko szczerze wyznać co się wydarzyło.

— Mówię prawdę — krzyknęłam, podnosząc się z metalowego krzesła i opierając dłonie o blat stołu przede mną.

— Proszę nie unosić głosu. Wiemy, że pani kłamie — kontynuował policjant.

— Niby skąd? Od tego podejrzanego typu?

— Nie. Pani Zofia Pogórska została wczoraj zamordowana. Nie mogła pani pomagać i wiemy, że krew z pani dłoni jest zgodna z krwią ofiary. Zatem pani zeznania są fałszywe.

Opadłam z hukiem na krzesło i nie mogłam złapać tchu.

ZNIKAJĄC

Monika Kwit

Nie każda historia zaczyna się od początku. Ta zaczyna się od chęci zniknięcia, które nie zawsze oznacza ucieczkę. Czasem to jedyny sposób, aby przetrwać... Tekst ten jest fragmentem powieści nad którą pracuję, a pomysł jej napisania zrodził się podczas wyzwania „Nie mogę, bo piszę”.

Czułam przyjemną ulgę stojąc pod prysznicem. Strumień lodowatej wody w kojący sposób łagodził moje zmęczone podróżą i emocjami ciało. Z każdą kolejną minutą coraz bardziej rozluźniały się moje spięte mięśnie. Oparłam głowę o zimne kafelki, nie zważając na to, że woda zalewa chłodnymi kaskadami moje oczy i usta. Miałam wrażenie, że wraz z nią spływa ze mnie całe napięcie ostatnich dni, a silniejszy ból który towarzyszył mi od rana, jakby momentalnie zelżał. Znałam jego różne rodzaje. Do tej pory sądziłam jednak, że póki mogę mieć nad nim jakąkolwiek kontrolę, jest on dla mnie do zaakceptowania. Pozwoliłam mu stać się częścią mojej codzienności. Od początku uważałam, że cena jaką przy tym płaciłam była warta tego poczucia, że mam nad czymś władzę i dzięki temu mogę w końcu poczuć się bezpieczna. Teraz niczego nie byłam już taka pewna.

Kąpałam się jak zawsze z zamkniętymi oczami, starając się jak najmniej dotykać swojego ciała. Od dłuższego czasu czułam się w nim obco. Zupełnie tak, jakby nie należało do mnie. Anoreksja przypadała na cały okres mojego dorastania. Czas kiedy nasze ciała zaczynają się zmieniać, sam w sobie jest stresujący, a ja dodatkowo mierzyłam się ze skutkami intensywnych głodówek. Moją codziennością były niezliczone wizyty lekarskie i pobyty w różnych ośrodkach. Nie wiem, kim bym była bez choroby. Nie zdążyłam samej siebie poznać i polubić. Nie miałam szansy zobaczyć swojego dojrzałego ciała. Nie pozwoliłam sobie dorosnąć...

Próbowałam przegonić te myśli, a szum wody trochę mi w tym pomagał. Przemyłam włosy ulubionym szamponem o zapachu lawendy, znalezionym wśród

spakowanych na szybko rzeczy. Ostatnią butelkę skończyłam tuż przed wyjazdem, więc nie miałym zaskoczeniem było odkrycie tej schowanej w bocznej kieszeni mojego plecaka. Widocznie matka wsunęła ją wczoraj, gdy nie patrzyłam. Wracam wspomnieniami do naszej milczącej podróży w drodze do ośrodka. Tak bardzo chciałam jej powiedzieć, że się boję i będzie mi jej brakować. Jak zawsze zdusiłam jednak w sobie te uczucia i zacisnęłam mocniej usta.

Nagle lodowata woda pod wpływem zwiększonego ciśnienia z mocą smagnęła moje nagie plecy, aż wstrząsnął mną silny dreszcz. To mnie przywróciło do rzeczywistości. Znów byłam w małej, szarej łazience. Delikatnie masując skórę głowy, poczułam jak część włosów zostaje między moimi palcami. Kiedyś były długie i lśniące, ale musiałam je ściąć do ramion, gdy zaczęły wypadać na potęgę. Mój lekarz niczym mantrę powtarzał, że muszę więcej jeść, żeby organizm mógł się rozwijać i nabrać siły. Moją odpowiedzią jak zawsze było milczenie. Co miałam mu powiedzieć? Wiedziałam o tym doskonale, jednak moja głowa nie podążała za całą resztą. Czułam się w tym wszystkim tak bardzo zagubiona. Tęskniłam za moimi jasnymi, długimi i gęstymi włosami. Był czas, gdy sięgały aż do pasa. Uwielbiałam, gdy przed pójściem do szkoły mama sadzała mnie na małym, drewnianym taborecie w łazience i starannie zaplatała warkocze, upinała koki oraz tworzyła inne wymyślne fryzury. A potem z dumą patrzyła na swoje dzieło i powtarzała, że mam najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziała. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio poczułam jej czuły, niewymuszony niczym dotyk. Tęskniłam za jej ciepłymi dłońmi, które potrafiły dodać mi otuchy i sprawiały, że czułam się bezpieczna. Brakowało mi wspólnie spędzanego czasu i jej ciepłego, wręcz zaraźliwego śmiechu, który tak bardzo kochał mój ojciec. Zawsze powtarzał, że to w nim zakochał się najpierw. Na jednym ze spotkań studenckich, przyciągnęła jego uwagę, gdy stojąc z znajomymi śmiała się swobodnie i bez skrępowania. W naszym domu to właśnie jej śmiech budził mnie każdego ranka. Lubiłam podśluchiwać, jak rodzice droczą się ze sobą w kuchni, przygotowując śniadanie, które potem zjadaliśmy przy dźwiękach piosenek Krzysztofa Krawczyka. Zawsze kończyło się to wspólnymi tańcami i wygłupami z tatą, na które mama tylko zerkiała, choć wiedziałam, że sama również miała ochotę

do nas dołączyć. Nieraz później pędziliśmy z tatą spóźnieni szkolnym korytarzem. Zawsze jednak potrafił wykorzystać swój urok osobisty i załagodzić niezadowolenie nawet najtwardszych nauczycieli.

To był czas, gdy wiele rzeczy robiliśmy wspólnie. Czytaliśmy książki, chodziliśmy wspólnie na zakupy lub na spacer do naszego ulubionego parku, gdzie mogliśmy obserwować wiewiórki. Kiedyś łatwo było odczytać z twarzy mojej matki miłość i wręcz biło od niej naturalne, matczyne ciepło. W którymś momencie wszystko się jednak zmieniło. Nie budził mnie już śmiech, a głucha cisza bezlitośnie uderzała z każdego kąta. Zostałyśmy tylko ona, ja oraz milion niewypowiedzianych słów i uczuć ukrytych głęboko w sercu. A potem przyszła moja choroba, która na dobre rozgościła się we mnie i w naszym domu. W oczach mojej matki nie widziałam już nic poza przerażeniem i bólem. Jej ukradkowe spojrzenia w równym stopniu mnie irytowały, co smuciły. Miałam wrażenie, że patrząc na mnie nie widziała już swojej ukochanej córeczki, a jedynie moją chorobę. Dlatego wolałam już te momenty, gdy unikałyśmy swojego wzroku. Z czasem straciłyśmy też tę cenną nić porozumienia, która zawsze nas łączyła. Walczyłam z ogromnym poczuciem winy, że ja nam to zrobiłam. A może jednak każda z nas miała w tym swój własny udział?

Wychodząc spod prysznicu ruszyłam w stronę wieszaka, zostawiając na białych, gładkich płytkach mokre ślady stóp. Szybko przetarłam wyiębione ciało szorstkim, beżowym ręcznikiem. Mocno przeciągałam nim po skórze, aż zrobiła się cała czerwona. Przechodząc obok lustra, jak zawsze unikałam patrzenia w nie. Już od dawna mu nie ufałam. Zaczęło się to wtedy, gdy poprzednia terapeutka poprosiła, bym zrobiła sobie zdjęcie i dokładnie mu się przyjrzała. Nie rozumiałam, po co to wszystko. Przecież dobrze wiedziałam, jak wyglądam. Zrobiłam to z myślą, że to kompletna głupota. Tak bardzo się myliłam. Nigdy nie zapomnę tego, co poczułam, gdy spojrzałam na fotografię. Po raz pierwszy zobaczyłam kogoś, kogo nie rozpoznawałam. A przecież to byłam ja. To musiałam być ja. A jednak z przerażeniem patrzyłam na zupełnie obcą mi dziewczynę. Od tamtej pory nie odważyłam się już stanąć przed lustrem i spojrzeć na siebie w całości. Zaczęłam wątpić, czy naprawdę zobaczę tam prawdziwą siebie.

Wyrzuciłam tamto zdjęcie i wolałam udawać, że nigdy nie powstało. Wciąż jednak powracało do mnie pytanie. Która z nas jest prawdziwa i dlaczego nie jestem w stanie tego dostrzec? Bałam się i równocześnie pragnęłam tego momentu. Zarzuciwszy na siebie obszerną, dresową bluzę i spodnie ruszyłam w stronę pokoju. Czekala na mnie nowa rzeczywistość w ośrodku, z którą musiałam się zmierzyć. Nie byłam jednak pewna, czy jestem na to gotowa.

BEZA

Natalia Miłućska

Bała się. Lęk rozlewał się po krwiobiegu, przyspieszał. Napędzał serce. Stuk—stuk puk—puk—puk. Przez ostatnie 20 lat bała się. Budziła się ze ściśniętym sercem. Zasypiała nasłuchując: czy się nie złamie? Ale teraz!

Kiedy tylko otworzyła drzwi, wiedziała, wiedziała że coś jest nie tak. Przywitała ją cisza.

— Synku, co robisz? — Zawołała — Kupiłam babeczki, twoje ulubione! Nic.

Otwiera drzwi, a tam...pusto.

Nie ma go, nie ma go w domu!

Nie odbiera telefonu. Biega bezładnie z pokoju do pokoju, jakby mógł być gdzieś schowany. Otwiera szafki w kuchni, a nawet pralkę.

Gdzie jesteś? Dzwoni do syna. Jeszcze raz. Jeszcze. Jej pisklak wypadł z gniazda? Co się stało? Czy gdzieś poszedł? Połamał się? Miał wypadek? A ten lęk we krwi szumi: umarł, umarł, może umarł.

Znów dzwoni i znów ten sam bezmyślny głos: abonent czasowo niedostępny.

Przywykła do lęku. Ale czy naprawdę da się do niego przyzwyczaić? Traktowała jak niechcianego lokatora, ignorowała, parzyła herbatę, robiła pranie, biegła z kanapkami, z kisielkiem sprawdzić, zobaczyć: uff, tak, żyje, nie cierpi, znów przy kompie. Uff.

A teraz? Myśli pędzą jak szalone: gdzie dzwonić, moja wina, muszę do Sebastiana, gdzie mógł pójść??? Ręce się trzęsą, głos drży. Twarz czerwona. Głos Sebastiana w słuchawce, opanowany, wręcz władczy. Jak ona mu spojrzy w oczy?

„Dzwonię do Vanessy. Może ona coś wie. Wracam do domu. Czekaj, nie idź nigdzie.”

Siedzi na stołeczku w kuchni. Tak się starała! Dbiała, była, nic dla siebie. Gdzie on poszedł, no gdzie? Czy nie żyje? Nie myśl tak, nie myśl! Brzęk obracanego

klucza wyrywa ją z letargu. Sebastian. Coś ją boli? To palce, zaciśnięte na marchewkach na zupe, zbiele od nacisku.

Resztę pamięta jak przez mgłę. Mąż, zasadniczy i srogi. Przesłuchanie Vanessy. Szalona decyzja Sebastiana, by ruszyć śladem, w żółtym autku, z Va za kierownicą. Siedzi, nic nie mówi, gdy Sebastian pakuje się i udziela instrukcji: „ładuj telefon, pij wodę, dzwoń codziennie. Znajdziemy go!” Milczy, potakuje, a w głowie kołacze jej się tylko jedna myśl: uciekł. Uciekł ode mnie.

Nie wypadł z gniazda. Wyleciał?!?

Va bardzo nie lubi, gdy ktoś mówi jej, co ma robić. Chyba dlatego pomogła uciec Kościuchowi. Ta jego matka, nadmiarowa, biuściasta, wzdychająca. Wbiegająca do pokoju bez pukania. Zdyszana. „Czy wszystko dobrze? Czy mój mały puci—puci—żuczek—koteczek—miau—miau chce mleczka?” Va przewróciła oczami na samo wspomnienie. Zmieniła bieg i przyspieszyła. Chłopak miał prawo do wolności. Miała tylko szczerą nadzieję, że za bardzo się nie połamie.

Czas płynie, woda kapie w kuchni. Cisza. Nic się nie dzieje. A lęk krąży, płynie, wzbiera. Gdy telefon pika zrywa się na równe nogi. SMS. „Zbliżamy się do granicy.” Ok. Odpisuje. Znów zamiera. Godziny tykają, tyk tyk, robi się ciemno. Sebastian dzwoni: „wypij wodę, idź spać. Obdzwoniłem szpitala, nigdzie go nie ma. Odezwe się jutro. Wjeżdżamy do Czech. Dobranoc”

Telefon męża wyrywa ją z letargu. Chowa warzywa rozrzucone po blacie. Miękkie masło. Chleb porządnie do chlebaka. Prysznic. Łóżko. Dziś nie weźmie nic na sen. A jeśli zadzwonią? Jeśli trzeba będzie jechać do szpitala? Walczyć o niego.

Przez tyle lat był epicentrum jej wszechświata. Co teraz robić? Z kim rozmawiać?

Nie ma w sumie żadnych przyjaciółek. Te z konserwatorium mają swoje życia, pewnie nadal grają albo uczą. Ich drogi rozlaży się, złamały kiedy urodziła syna. Zna mamy innych niepełnosprawnych dzieci. Koleżanek nie z wyboru, a z poczekalni, szpitali, ośrodków. Nie chce do nich dzwonić. Co powie? Syn nie mógł mnie znieść i uciekł? Jego list parzy. Piecze. Spycha go na bok świadomości.

Z Sebastianem mieli milczący podział obowiązków. On czytał o chorobie, składał papiery do ZUSu, chodził do pracy. Ona walczyła w szpitalach, ogarniała dom, pilnowała dziecka. Kolejna noc a ona leży z otwartymi oczami. Nie zaśnie? Gdzie on jest? Gdzie? Nie może wbiec, sprawdzić, posłuchać oddechu. Żyje, jest, cały. Wiedziała, że nie powinna tak wbiegać. Że ostatnimi laty, zawsze taki otwarty i ufny, zaczął się odsuwać. Raz nawet zamknął się na haczyk w łazience!

— Nastolatki — tłumaczyła jej Ela, mama Maksa — takie są. Musisz mu trochę odpuścić, bo zupełnie ci się zbuntuje. Przecież wiesz, że z czasem mniej się łamią. Poza tym, tyle im nie wolno! Pomyśl, ani biegać, ani naprawdę się bawić. Całe życie jak film na zwolnionym tempie.

— Ale jak mu się coś stanie? — wydukała — jak on będzie żył, gdy nas zabraknie?

— Serio? Ja nie mogę się doczekać, aż mój się usamodzielní. Tak, jestem zmęczona. I chciałabym trochę pożyć. Może zostanie programistą albo tłumaczem? Tyle jest teraz opcji pracy zdalnej, na szczęście.

Beza nie chciała o tym myśleć. Lęk podnosił głowę, warczał. Mój, mój, jest mój! Moje dziecko, mój synek, uchronię, przypilnuję, mój! On w pokoju zamknięty, co tam robi? Czy uważa? Serce przyspiesza, ręce mokre, sprawdzę tylko rzucę okiem. Synek? Wszystko dobrze? Tak, mamó. A po co ty się tak zamykasz? Za duszno ci będzie! Uff, drzwi otwarte.

Kiedy zamknął się w łazience zupełnie oszalała. Te obrazy: połamany na mokrych kafelkach, otwarte złamanie, krew i oni po drugiej stronie bezsilni. Zaczęła pukać, wołać, oddech przyspiesza, moje dziecko umiera, moje dziecko, woła: Sebastian, zrób coś! Zrób! I kiedy Sebastian z impetem wbija się do środka, jej nagi, mokry syn jest cały. Zasłania się ręcznikiem. Patrzy jej w oczy. Ona gdacze,

słowa bezwładnie wypadają z ust. Ulga. Żyje. Sebastian rozciera bark, strofuje syna. Ale on patrzy na nią. Tyle czasu mieli własne sekrety przed zasadniczym ojcem. Teraz w oczach jej synka nie ma ekscytacji ani porozumienia. Jest rozczarowanie ...nią? Żal. I coś jeszcze, nieuchwytnego. Ziarenko buntu? Stoją tak przez chwilę, woda leci z prysznicą. Scena rodzinna w łazience, pierwsza dekada dwudziestego pierwszego wieku. W końcu Sebastian zakręca kran. Czar pryska. Życie toczy się dalej. Wraca do normy.

Ale.. Od czasu prysznicą coś się zmieniło. Skończyło. Wcześniej mieli dobry kontakt. Teraz Jajko zamknął się w sobie. Nie chce rozmawiać. Milczy. Im bardziej się odsuwa, tym bardziej ona szaleje. Musi, musi wiedzieć. Ściana. Zagaduje, próbuje, syn udaje zmęczonego. Jego Nie rośnie z każdą chwilą. Nie. Jej syneczek mówi NIE? Do niej???

Miała dość swojego jojkliwego tonu. Czy go słyszała? Oczywiście, że tak. To joj—joj—joj, przymilne słodki ton, prośba podszyta złością. Wpuść mnie! Wpuść mnie do swojego świata! No wpuść!

Nie możesz, za mały, malutki jesteś, syneczku. Beze mnie nie przeżyjesz. Nie dasz rady. A teraz? Cisza. Pustka. Układ słoneczny z którego uciekła gwiazda rozpada się w drobny mak. Planety wypadają z orbit. Gdzie jesteś, słoneczko? Rośnie gula.

Jak mogłeś mnie tak zostawić? Samą? Z gardła wydobywa się szloch, gorące łzy pod powiekami. I oto Beza, tuląc wałek ozdobny z wersalki, z podwójnym, śliskim chwostem, łka, buczy, wyje. Zwiją się w kłębek. Latami nagromadzony ból wycieka na podłogę. Stróżka suchego piasku, ból który przesypywał się w niej jak w klepsydrze. To czekanie, kiedy złamie. To czekanie, czy się zrośnie. Ta, wreszcie, bezwzględna bezradność, kiedy czujesz ból dziecka, ale nic, nic więcej nie możesz zrobić. Teraz to wszystko uwalnia się z dźwiękiem, ze łzami, ciało zaciska się wokół poduszki, jak embrion, jest tylko zacisk i dźwięk. I piasek, który z cichym szuraniem sypie się na podłogę.

Budzi się z piaskiem pod powiekami. Sucho w ustach. Co tu się stało? Wstaje chwiejnie, po wodę. Włazi bosą stopą w piasek. Skąd się tu wziął? Nawiało go przez otwarte balkonowe drzwi? Ale to taki jasny, miękki piaseczek, jak z plaży nad Bałtykiem. Uderza ją wspomnienie dzieciństwa. Rozgrzany piach, spalony brzuch taty, parawany. Wiatr. I ten zapach morza, świeża bryza.

Skąd ten piach? Nieważne. Człapie do kuchni, wypija łąpczywie szklankę wody. Drugą. Sprawdza telefon. Żadnych wiadomości. Wraca powoli do łóżka. Kładzie się. Leży. Czuje się pusta i cicha. Tylko krzyk. Lekka bryza. Zapach Bałtyku. Zasypia.

Budzi się gwałtownie. Aż siada. Ile godzin minęło? Próbuje dzwonić do Sebastiana, do Jajka, sprawdza telefon raz za razem ale nic, bez wieści. Nagle ten sam metaliczny głos zamiast spokojnego, suchego tonu męża: abonent czasowo niedostępny. On też? Nie ma siły dzwonić po szpitalach. Wie, że powinna. Ale odczeka jeszcze trochę. Do takiego ciosu trzeba się przygotować.

Siedzi w fotelu. Leży na sofie. Zielona sofa w salonie, ostatnia rzecz, na której jej zależało. Którą kupiła dla siebie. Sebastian się zgodził, choć niechętnie, był przeciwny rozpuszczaniu się i rozpieszczaniu. Wtedy chyba zobaczył, że ona już ledwo ciągnie. To było po tym jak Jajko, sześćioletni, próbował wejść na zjeżdżalnię i znów złamał nogę. I teraz ta zielona sofka, twarda i powygniatana, staje się bazą. Leży. Widzi, że Fikus ma sucho. Trzeba też podlać kwiatki na balkonie. Surfinie. Leży. Jest cicho. Nikt nie dzwoni. Przewraca się na plecy. Nawet muchy na suficie. Nikogo. Pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna jest sama. Bez Sebastiana czuje się jak bez kręgosłupa. Mąż, myśli z czułością, sztywny i suchy. Przejęty, maskujący uczucia surowym tonem. Bez niego czuje się jak bez kości, rozpuściły się, rozplynęły. Jak meduza wyrzucona na brzeg.

Kim była kiedyś?

To tak dawno, że nie pamięta. Młodą dziewczyną, tyle ją kosztowało dostanie się do konserwatorium. Pamięta szkołę na Karowej, kasztany za oknem.. Wiosną z każdego okna leciała inna muzyka: saksofon, gitara, fortepian. Ona była w klasie wiolonczeli. Kochała ten moment ciszy przed występem. Smyczek w dłoni, pauza. Unosisz go wprawnym gestem i ... płynie. Muzyka.

Właśnie, muzyka. Jak to się stało, że zniknęła z jej życia? Przestała najpierw grać, a potem słuchać.

Sebastian nastawiał radio. Wiezorami, po kolacji, gdy siedzieli w kuchni. Pora na wieczorny koncert. Ale ona nie chciała, nie mogła. Wymawiała się zmywaniem, bólem głowy, uciekała do łazienki. Widziała smutne spojrzenie męża. To zawsze była ich rzecz. Ich zwyczaj. Ich czas. Nim urodził się Jajko dużo chodzili do Filharmonii. Razem, trzymając się za ręce. I co środę po kolacji, „choćby waliło się i paliło” Sebastian parzył czarną herbatę Assam, podkręcał radio i słuchali razem. Muzyka przenosiła ich... A potem naprawdę zaważyło się. I spaliło. W tym nowym świecie Sorów i szpitali nie było miejsca dla muzyki.

Teraz wstaje, jak ukluta niewidzialną szpilką. Co za impuls każe jej iść do sypialni, przesunąć stolik, wejść na krzesło i wyżej? Otwiera pawlacz. Wyjmuje metodycznie kartony z zimowymi ubraniami. Z każdym schodzi: krzesło, podłoga, karton na łóżko. Kolejny i kolejny. Teraz kartony z papierami Seby ze studiów. Rozliczenia podatkowe z lat 2000—2005. I kolejne 2006—2012. Wyciąga rękę, pawlacz jest głęboki. Czy dosięgnie? Już ją ma, trzyma rączkę, ciągnie powoli. Schodzi na dół. Pokrowiec pokryty kurzem. Trzyma ją w ramionach. Z gardła wydobywa się szloch. Jest. Moja Viola.

POD CIENIEM BIAŁYCH KAPTURÓW

Agnieszka Herbut

Fragment powieści: „O Kobiecie, która gotowała szczęście”.

W St. Francisville panował dzisiaj niebывały upał. Choć wilgotny, parny klimat Luizjany, charakteryzujący się wyjątkowo upalnym latem, to standard tego regionu, dziś temperatura przekroczyła 45 stopni w cieniu. Powietrze było tak potwornie ciężkie, że Serafinie zdecydowanie pogoda dzisiaj nie służyła. Wiedziała, że choroba, którą w sobie nosiła, powoli pożerała jej organizm, ale jej dusza na przekór wszystkiemu, krzyczała: Wstawaj, Serafino! Już czas! Ludzie na ciebie czekają!

„Pod Zielonym Dębem” wszystko musiało być dopracowane i przygotowane tak jak lubiła jej babka, z precyzyjną starannością, godną rodzinnej tradycji. Co by było, gdyby któregoś dnia nie przyszła? Kto przyniosłby ludziom ukojenie w ich mozolnej, ciężkiej rzeczywistości i codziennych utrapieniach? Kto, łechtając ich delikatne podniebienia, mógłby zamiast niej podarować im odrobinę szczęścia, serwując najlepsze gumbo w całej Luizjanie? Myśląc o tym, delikatnie rozchyliła powieki. Choć jej ukochane siostry, Hortensja i Rosaline, pomagały jej w codziennych pracach, nie potrafiły odtworzyć potrawy Babci Felicji tak dobrze, jak robiła to ona. Zdecydowanie, energia Serafiny była niezastąpiona. W tej potrawie było coś magicznego. Zawsze kiedy ją gotowała, nuciła sobie po cichutku niewolniczy hymn czarnoskórych matek, którym bezpowrotnie odebrano siłą potomstwo, piosenkę o nazwie Salangadou. Po jej pulchnych policzkach toczyły się wtedy łzy wielkie niczym grochy, wpadając dźwięcznie do wielkiego kotła, a klienci po zjedzeniu potrawy wybuchali niezrozumiałym płaczem. Kiedy się uśmiechała, całe bistro tańczyło zaklętym rytmem bluesa. Mówiono, że to wszystko sprawka Felicji, której duch przez lata nie opuszczał bistro, i że podpisała pakt z samym

diabłem grającym na gitarze na rozstaju dróg nieopodal Zielonego Dębu. Najstarsi opowiadali, że obiecał jej kulinarną sławę i sukces, w zamian za wieczną tułaczkę między światem żywych a umarłych.

Dziś Serafina czuła się fatalnie, nie tylko z powodu pogody. Tej nocy nie potrafiła przespać ani jednej minuty. Czuła, że wraz z upałem nadchodzi coś potwornie niedobrego. Przez otwartą na oścież okiennicę domu, dobiegały do jej pokoju dźwięki grających bębnow, przynoszące wraz ze sobą bagienne szepty

przodków. Gdzieś w oddali słyszała muzykę i kobiecy, gorzki lament. Jakby ktoś przeżywał niewyobrażalny ból po stracie bliskiej osoby. Rozdzierało jej to serce. Tłumiąc kolejne ziewnięcie, postanowiła jak najszybciej opanować rozbiegane myśli i skupić się na czymś innym. Wstała, wzięła letni prysznic i założyła wygodną, lawendową sukienkę z dekoltem w serek oraz kokardą zawiązaną z tyłu. Na szyi zawiesiła złoty łańcuszek z zawieszka w kształcie lilii. Jej babcia otrzymała go w prezencie od swojego męża, Jamesa, gdy opuszczali plantację Myrtles już jako wolni ludzie. Wybiegła bez śniadania. Przekręciła w błękitnych drzwiach ogromny, mosiężny klucz i schowała go do skrytki tuż nad futryną, po czym zdecydowanym, szybkim tempem oddaliła się w kierunku Zielonego Dębu.

W oddali dostrzegła Sama, który cierpliwie wyczekiwał jej przybycia. Przywitał ją ciepłym, znajomym uśmiechem, który od lat przypominał jej, że nie musi dźwigać całego świata samotnie. Nie dość, że zaopatrywał bistro w lawendowy miód ze swojej pasieki, to łagodził nim także rany pękniętego serca Serafiny. Byli doskonałymi kompanami: przyjaciółmi od dziecka i kochankami nocą. Nie byli oficjalnie parą, choć Sam marzył o tym każdego dnia. Oświadczył się już dwa lata temu, jednak Serafinie ciężko było podjąć tę decyzję. Schowała pierścionek na dno szuflady, czekając na lepszy moment w życiu, który nie nadchodził. Wmawiała sobie, że tak będzie dla niej najlepiej, nie wiedząc jeszcze jak bardzo się pomyliła. Choć kochała go całą sobą, było tak jak było i nie chciała niczego zmieniać. Sam nie należał do ludzi szczególnie wykształconych. Nie potrafił pisać, a czytanie sprawiało mu trudności.

Serafina dbała jednak o to, by każdego dnia czytał na głos na przydomowej werandzie „The Louisiana Weekly”, nowoorleański tygodnik opisujący życie

afroamerykańskiej społeczności Luizjany. Robił to dla niej, nigdy dla siebie. Gdyby nie Serafina, prawdopodobnie nie potrafiłby poprawnie przeczytać ani jednego artykułu. Pochodził z bardzo pracowitej rodziny, miał dwóch starszych od siebie braci i jedną młodszą, adoptowaną siostrę, sierotę, którą przygarnęli do domu jego rodzice po tragicznym incydencie związanym z działalnością Ku Klux Klanu. Louise, nazywana przez niego pieszczotliwie Loulou, była jego największym oczkiem w głowie. Miała niebywały talent do przekonywania go do swoich wszystkich, szalonych pomysłów. Zazwyczaj nosił ją na barana, gdy razem wybierali się do pobliskiego sklepu. Dla Loulou był gotów na wszystko. Pewnego razu zakradł się nawet na prywatny teren burmistrza Billa, by mogła zobaczyć jego konie skąpane w

blasku wschodzącego księżyca. Później musieli uciekać, gdyż wyczuły ich psy pilnujące posesji. Biegli tak szybko, że Sam nie tylko podarł spodnie, ale także zgubił swój szczęśliwy kapelusz. Serafina nie była z tego powodu zadowolona. Wiedziała, że któregoś dnia może spowodzić to na nich kłopoty. Dziś myślała o tym bardzo intensywnie.

Jego rodzina od pokoleń zajmowała się pszczelarstwem. Robili to na tyle skrupulatnie i dobrze, że byli znani w całym regionie. Niestety niejednokrotnie byli atakowani przez niechlubną organizację ukrywającą się pod białymi kapturami, którym przeszkadzało, że czarnoskórzy prowadzą tak dobrze prosperujący lokalny biznes. Nie tak dawno dostali ostrzeżenie. Na drzewie obok pasieki znaleźli powieszoną i podpaloną kukłę jako przestrożę, że jeżeli nie zrezygnują z handlu, może spotkać ich coś bardzo niedobrego.

Sam nie przejmował się zbytnio tym, co się wydarzyło, uważał, że to tylko banda pijanych, bogatych ludzi na koniach, którzy wypili tego wieczora zbyt dużo bourbona. Serafina zaś była odmiennego zdania. Dla bezpieczeństwa ich wszystkich starała się przestrzegać prawa Jima Crowa, dotyczącego segregacji rasowej, opierającego się na doktrynie „Odseparowani, lecz równi”. Bistro rzadko gościło białych klientów, gdyż obowiązujące prawo zabraniało im spożywania posiłków w tych samych lokalach co czarnoskórzy. Starała się też nie pokazywać czułości publicznie, ponieważ według stanowego prawa, okazywanie sobie uczuć

publicznie było surowo potępiane. Uśmiechnęła się do niego, ukrywając uczucia przed spojrzeniami innych i poprosiła o wniesienie miodów do środka lokalu.

Dochodziła dziewiąta, a upał bezlitośnie dawał się już we znaki. Zrobiło jej się słabo i poczuła, jak świat zaczyna wirować jej przed oczami, po czym gwałtownie osunęła się na najbliższe krzesło.

— Sam, czy mógłbyś, proszę, podać mi szklankę schłodzonej sody? — Ależ oczywiście. Co się dzieje moja droga? Czy tej nocy znów nie mogłaś zasnąć, Kochana Pszczółko?

— Nie wiem, Sam. Nie wiem co się ze mną dzieje, ale martwię się. Okropnie się martwię. Wczoraj podobno Ku Klux Klan podpalił sklep Johna i Emily. To było całe ich życie. Nie wiem co będzie dalej, ostatnio ciągle dzieje się coś niedobrego. W nocy znów dobiegły mnie niepokojące odgłosy jakiejś płaczącej kobiety. Boję się, że to zły omen, przestroga od samego diabła. Sam, proszę cię, ponad wszystko uważaj na siebie! Jesteś najlepszym człowiekiem pod słońcem.

Jesteś dobry, poczciwy i pracowity, nasi ludzie Cię uwielbiają, a oni takich jak ty i ja nie lubią. Nie chcę, żeby również tobie przydarzyło się jakieś nieszczęście. Wasze pszczoły to wszystko, co macie, tak jak ja mam swoje bistro, bez którego nie potrafię żyć, to moja spuścizna, sens mojego życia, przypominający mi każdego dnia o babci i dziadku. Poświęcili temu całe swoje wolne życie, żeby to miejsce zbudować od samego początku, w pocie czoła i z ogromną miłością. Dla siebie, dla nas, dla następnych pokoleń. Róbmy co nam każą, a po cichutku zajmujemy się tym, co jest dla nas istotne. Niepotrzebnie posłuchałeś Loulou. Niepotrzebnie dałeś się wciągnąć w taką zabawę małej, nieroztropnej dziewczynce. Twój kapelusz miał Twoje inicjały SR (Sam Riverstone), jeżeli go odnaleźli, w końcu dojdą też do Ciebie. Taki jest nasz los i na razie musimy nauczyć się z nim żyć. Być może któregoś dnia odzyskamy swoją własną wolność i będziemy żyć tak, jak każdy człowiek na tej ziemi. Może ten słynny pastor, Martin Luther King coś zmieni. Słyszałam, że przyjeżdża do Baton Rouge, aby wygłosić przemówienie. Podobno mówi o świecie, w którym wszyscy będą równi, bez względu na kolor skóry. Brzmi to jak marzenie, prawda Sam? Ale przecież każde wielkie zwycięstwo zaczyna się

od marzenia. Niech Bóg ma go w swojej opiece. W tych czasach nigdy nie wiadomo, co może mu się przytrafić.

— Dobrze moja droga Pszczółko, będę ostrożny, ale wiedz, że robię to tylko przez wzgląd na Ciebie. Dla mnie od dawna jesteś moją żoną. Niezależnie od tego, czy się pobierzemy, czy nie, jesteś już nią. Gdybym cię nie spotkał na swojej drodze, pokazałbym tym klaunom w białych prześcieradłach, gdzie raki zimują! Co oni sobie wyobrażają! Biją nas, upokarzają, podpalają nam domy i sklepy. To się nie mieści w mojej głowie.

Ja się ich nie boję i pomimo tego, że przyrzekam ci nie robić żadnych głupstw, nie pozwolę na to, żeby Tobie i twoim Siostrom stało się coś złego. A teraz napij się, proszę wody z moim lawendowym miodem najdroższa. Wiesz gdzie jesteśmy, wiesz jak Twoje potrawy oddziałują na wszystkich, musisz mieć siły, żeby ich dzisiaj nakarmić i otulić dobrym słowem, wszystko inne zostaw już mnie, kobieto, ja jestem mężczyzną w tym domu! „Woman, I am a man in this house!” powiedział z udawaną powagą.

Uniosła wzrok i spojrzała na niego. Nareszcie się rozchmurzyła. To stwierdzenie zawsze wywoływało uśmiech na jej twarzy. Wiedziała, że to ona tu rządzi. Sam również o tym wiedział, ale lubił podkreślać swoje męskie ego. W „Pod

Zielonym Dębem” wszystko zdawało się toczyć swoim zwyczajnym rytmem i nikt nie spodziewał się tego, co miało wydarzyć się później. Serafina niejednokrotnie była świadkiem ludzkich tragedii. Widziała na własne oczy, jak w środku nocy wyciągano czarnoskórych mężczyzn z ich domostw, widziała palące się krzyże, zwyrodniałe publiczne lincze, przywiązywanie ludzi do drzew cyprysowych, oblewanie ich gorącą smołą. Tak wyglądała codzienność Luizjany tamtych czasów.

Nigdy nie zapomniała o tej jednej, najgorszej w jej życiu nocy, która zmieniła jej życie na zawsze. Dochodziła godzina dwudziesta druga, „Pod Zielonym Dębem” została tylko mama Cecile, babcia Felice, dziadek James i ona jako najstarsza z sióstr, mająca zaledwie trzynaście lat. Pomagała rodzicom i dziadkom w prowadzeniu bistro. Nie musiała, ponieważ nikt od niej tego nigdy nie wymagał. Jednak ona sama uwielbiała zakradać się do kuchni i podglądać gotujące w niej

kobiety. Smakowała, uczyła się, zapisywała wszystko, co tylko przyszło jej do głowy. Porównywała smaki do wszelkich abstrakcyjnych doznań, jakie przeżywała w danym momencie. Tamtej nocy pomagała sprzątać po gościach. Tańczyli w rytm piosenki Mahali Jackson, klaskali i śpiewali pełną piersią „How I got over”. Serafina ją uwielbiała. Tej nocy po raz ostatni widziała swojego dziadka. Tańcząc i śpiewając, obróciła nagle głowę w stronę przeszkolonych drzwi. Stał tam.

Wysoki, odziany w biały kaptur z wyciętymi oczami, niczym złowrogi duch czekający na odprowadzenie duszy do świata umarłych. Wszyscy nagle przerwali taniec. Cecile podeszła do gramofonu powolnym krokiem, żeby wyłączyć muzykę. James wiedział co powinien zrobić. Wiedział, że po niego przyszli. Podeszedł powoli, z lekko opuszczoną głową, spoglądając ukradkiem na Felice. Ucałował ją w czoło, popatrzył w oczy i powiedział: „Tu nasza wspólna droga dobiega końca Gołąbeczko, pamiętaj o mnie jako dobrym, kochającym cię nad życie człowieku, pamiętaj o tym, że wszystko czego dokonałem, zrobiłem dla was, dla waszej wolności”, po czym wyciągnął starą harmonijkę, przykucnął i wręczył ją Serafinie mówiąc: „To dla Ciebie kolorowy ptaku, niech blues wiedzie Cię odważnie przez życie”. Spojrzał na Cecile, a jego oczy zaszkliły się od łez. Wiedział, że jest na niego wściekła, za jego nocne sabotáže, wiedział też, że nigdy mu tego nie wybaczy.

Córka nie wypowiedziała, ani jednego słowa. Nie potrafiła. James odwrócił się w stronę drzwi i wyszedł za mężczyzną, wiedział, że szarpanie się nic nie da, a może tylko pogorszyć sprawy. Serafina wyrwała się z rąk babci i pobiegła za nimi. Przed Zielonym Dębem stało może dwudziestu mężczyzn ubranych w identyczne stroje,

trzymając zapalone pochodnie. Stanęła naprzeciw nich wszystkich. Nie czuła strachu, nie czuła ani grama lęku. Miała zapłakane oczy i jedynym uczuciem, jakie wtedy odczuwała, była wściekłość. Krzyknęła: „Dziadku James!”, a ten delikatnie odwrócił w jej stronę głowę nie wypowiadając już ani jednego słowa. Mężczyźni wsiedli na swoje konie, James został posadzony na jednym z nich, ze związanymi sznurem rękami. Gdy odjeżdżali jeden z nich podjechał do Serafiny i powiedział: „Zapamiętaj ten dzień do końca swoich dni dziecko, zapamiętaj tę lekcję na zawsze, jeżeli kiedykolwiek skierujesz swój gniew przeciwko nam, my tu wrócimy. A teraz uciekaj, zanim będę musiał cię dogonić”.

James już nigdy nie wrócił. Tamtego dnia Serafinie już na zawsze pękło serce. Przeklinała tę noc całą sobą, modliła się do Boga, żeby go im oddał. Uciekała się do prastarych rytuałów Hoodoo, lecz wszystko było nadaremne. Będąc jeszcze dzieckiem, poprzysięgła w duchu zemstę na każdym, kto go skrzywdził i na każdym, kto nie pozwolił, żeby wrócił do kochającej go rodziny i na każdym kto nie pozwolił na to, żeby go godziwie pochować.

Serafina po chwili zadumy podniosła się z krzesła i powiedziała: — Drogi mój, kochany Samie, musimy nakryć stoły, dochodzi dziewiąta.

UCIECZKA

Joanna Szalkowska

Jest to fragment powieści, nad którą obecnie pracuję. Główny bohater, Wiktor, jest utytułowanym siatkarzem, który w najważniejszym sezonie traci formę i zostaje skreślony z reprezentacji Polski tuż przed Mistrzostwami Świata. Oliwia jest dziennikarką sportową specjalizującą się w piłce siatkowej. Jej artykuły o kiepsko grającym siatkarzu stają się głośnie i popularne. Po trzech latach znowu ich ścieżki się przeplatają, ale teraz nic nie będzie takie, jak kiedyś.

Siedziałam przy wyspie kuchennej, na której stał otwarty i włączony laptop. W dłoniach ściszałam szklankę z mrożoną kawą i wpatrywałam się w ekran. Moje serce biło mocno, miałam wrażenie, że z każdą kolejną minutą przyspiesza. Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie. Dwie minuty. Zostały jeszcze dwie minuty do wielkiej — na pewno dla mniej — godziny. Być albo nie być. Moment, na który czekałam bardzo długo.

Wybiła godzina osiemnasta, a strona, której do tej pory była otwarta, odświeżyła się automatycznie. Bardzo ceniłam ten tryb administratora naszej witryny.

Artykuł opublikowany.

Patrzyłam przed siebie, a może na ekran, nie wiem. Przez sekundę miałam w głowie myśl, że coś może się zmienić. Ale nie miałam już na nic wpływu.

Minęło kilka chwil, a statystyki wystrzeliły w górę. Odslony. Udostępnienia. Komentarze.

Rozpoczęło się szaleństwo.

Mój telefon zawibrował. Nie odkładając kawy, wzięłam go, odblokowałam i odczytałam wiadomość od Krzysztofa.

Mamy to, Oliwia! Ty to masz! Gratulacje! Jesteś wielka!

Tyle entuzjazmu w wiadomości mojego przełożonego, więc powinnam była się uśmiechnąć. Ale nie zrobiłam tego.

Zamknęłam po prostu laptopa, odłożyłam telefon z powrotem na blat i podeszłam do otwartych drzwi balkonowych.

Nie mogłam patrzeć na ekran, na te litery i liczby. Wyszłam na balkon, usiadłam na fotelu i powoli popijałam napój, patrząc przed siebie, na zapadający wokół mnie półmrok.

Powinnam świętować, cieszyć się z rozgłosu mojego artykułu, z popularności, która rozpędziła się od samego początku tego tematu. Ale nie potrafiłam. I totalnie nie wiem, dlaczego.

Minęła godzina, może dwie. Kawę już dawno wypiałam, odstawiłam na stolik obok. Patrzyłam przed siebie, ale nawet nie wiem, kiedy półmrok zamienił się w wieczorne ciemności.

Usłyszałam wibracje telefonu. Spodzielając się wiadomości od kogoś z zespołu, wstałam i poszłam po niego. Zadrżałam, widząc nadawcę.

Wiktor.

"To miała być rozmowa, nie wyrok".

Zamarłam. Chociaż nie wiedziałam, czego się spodziewałam, to na pewno nie tego.

— To był wywiad — wyszeptałam, jakbym chciała nadać większego sensu prawdzie. Przez chwilę patrzyłam na ekran, ale nie zdecydowałam się na odpowiedź.

Stałam kilka minut w ciszy, a potem znowu dźwięk nadchodzącego smsa. Odblokowałam telefon, aby przeczytać wiadomość.

„Myślałem, że chociaż ty dasz mi dokończyć zdanie.”

Tym razem nie zareagowałam od razu. Coś w tym zdaniu było inne. Za bardzo osobiste.

“Ty”.

Nie “dziennikarz”, nie “media” — tylko ja.

Oparłam się o blat i powoli wypuściłam powietrze z płuc. Nie tak to miało wyglądać. Kliknęłam “odpowiedz” i patrzyłam jak kursor miga. Raz. Drugi.

To był wywiad — wystukałam, ale po chwili zwątpiłam. To zdanie brzmiało strasznie słabo. Słowa nagle przestały być takie proste, jak wtedy, kiedy pisałam artykuł, ten czy inne poprzednie. Przygryzłam wargę i pomyślałam, co mogę jeszcze dodać.

Nie o to mi chodziło.

Zawiesiłam palec nad ekranem. Przecież nie była to prawda, nie do końca. Chciałam, żeby tekst był mocny, żeby się klikał. I żeby ktoś w końcu nie tylko zauważył, ale też zapamiętał moje nazwisko.

Zamknęłam oczy, na sekundę lub dwie. Gdy je otworzyłam, zerknęłam na wiadomości i potem zablokowałam telefon, nie wysyłając żadnej odpowiedzi.

Usiadłam przed laptopem. Jego ekran rozświetlił ciemności mojego salonu i chociaż nie lubiłam pracować bez światła, wstanie i włączenie lampy było teraz ponad moje siły.

Mój artykuł nadal był na stronie głównej. Tytuł wyglądał dokładnie tak samo. Pewny, mocny. I przede wszystkim niepodważalny. Weszłam w treść i szybko odnalazłam interesujący mnie fragment.

„Wyjeżdżasz do Włoch. To ucieczka?”

Zatrzymałam wzrok na tym zdaniu. Doskonale pamiętałam moment, w którym je zadałam. Nie wahałam się wtedy ani na sekundę.

A teraz po raz pierwszy poczułam coś, czego nie czułam tam w kawiarni. Ani w trakcie rozmowy, ani przy redagowaniu wywiadu.

Zwątpienie.

Przewinęłam tekst niżej, do samego końca.

„Grom kiedyś uderzał z siłą, której nie dało się zatrzymać. Dziś pozostało po nim tylko echo”.

Zacisnęłam palce na krawędzi laptopa, tak mocno, że zbiełały mi knykcie.

— To tylko tekst — wyszeptałam, jakbym chciała to sobie przypomnieć i utrwalić w głowie.

I nie wiem, co się zaczynało dziać, ale nie brzmiało to jak usprawiedliwienie, tylko jak kurtyna, za którą można się schować. Oparłam czoło o dłoń.

Chyba chciałam zniknąć.

ŻOŁĘDZIE

Sylvia Lenkiewicz

Przyjacielu,

piszę akurat do Ciebie, bo wiem, że jesteś jedyną osobą, której nie jestem w stanie okłamać. Wiem, że mnie zrozumiesz, że bez konsekwencji potrafisz dotknąć mojego rozżarzonego serca i się nie oparzyć. Nie sparzyć delikatnej jak papier skóry. Zatrzymać nienaruszony kształt linii papilarnych. I być ze mną i dla mnie, tak po prostu, posłuchać mojego monologu, bo wiesz nie oczekuję odpowiedzi.

Wiesz już, że bardzo bym chciała uciec. Myślę, że przeczuwałeś to już od dawna. Przyszedł czas, w którym pękłam. Zostałam rozłupana na części. Jak żołędzie pod dębem. Moja brązowa skorupka przestała mnie chronić. Stałam się nie tylko pokarmem dla saren, ale i atrakcją dla biegnących do szkoły dzieci. Zdeptana, strатовana, zgnieciona. Moje resztki rozwiewa jesienny wiatr, pełen zagubionych i chaotycznych myśli. Nie odrodzę się jako przyszłe drzewo. Jest już na to za późno. I choć zazwyczaj nasionko musi pęknąć, żeby, cokolwiek mogłoby z niego wyrosnąć, to w moim przypadku nie ma już warunków na rozwój. Nie każde pęknięcie daje nowe szanse, bo jak można posklejać tak bardzo skruszone części warstwy ochronnej?

Czuję, że od dłuższego czasu tkwię w zawieszeniu. Zapewne kojarzysz te kadry z filmów albo teledysków, gdy główny bohater stoi na środku chodnika, a wszystko naokoło funkcjonuje w przyśpieszonym tempie. Tak się właśnie czuję. I nawet nie staram się tego ukrywać. Ostatnio powiedziałam o tym zupełnie obcej osobie. A wiesz, co ona mi odpowiedziała? Że widocznie potrzebowałam pauzy. Zaczęłam się nad tym głębiej zastanawiać. Myślę, że wiesz, że miała rację. Tylko że ja uciekam, z każdym rokiem wciąż na nowo, potrzebując tej przerwy jako przejściowego etapu.

Przypomniałam sobie moment, gdy zapragnęłam uciec po raz pierwszy. To było kilkanaście lat temu. Nie słyszałeś tej historii, bo to Ty jesteś jej początkiem. Źródłem mojego zagubienia, przyczyną niedopowiedzeń. Pamiętasz moment, kiedy nasza relacja zaczęła znaczyć coś więcej? To właśnie była jesień. Dotknąłeś wtedy mojej duszy, otuliłeś myśli. Chciałam tam wtedy zostać w tej porze roku, poczuć coś innego, zaskoczyć serce. Uciec od tamtejszej rutyny, okryć się rumieńcem. Już taka jestem, gdy serce wygrywa z rozumem. Teraz już wiem, że nasza relacja się przeterminowała i ta cisza, która nas dzieli już nie rozpoławia mnie na kawałki, szczególnie w tych chwilach zwątpienia i przytłumienia rdzawej ciszy.

Przyjacielu, już nie chcę uciekać do każdej jesieni. Nie chcę uciekać od siebie. Przetrawić lato resztkami sił. Nie unikać słońca. Obnażyć się ze wszystkich niedoskonałości, aby powrócić w tej wersji, którą zaakceptuję, którą pokocham. Zdjąć z siebie nadmiar oczekiwań, pozbyć się presji, którą doczepiłam do siebie jak łatkę. Jestem jak ten piękny wielobarwny liść klonu, który przykleił ci się do mokrej szyby w aucie, chcesz się go pozbyć, bo zasłania ci widok. A ja nie chcę ci przeszkadzać. Chcę, żebyś docenił moje barwy, ten moment, w którym jestem najbardziej intensywna i kolorowa. To ta chwila, która mnie odradza i pomaga mi wyjść z zawieszenia.

Jestem żółędziem, skrywam w sobie tajemnicę, skrywam w sobie całe drzewo, skrywam w sobie pustkę. Dopóki mnie nie otworzysz, nie jesteś w stanie zobaczyć mojego wnętrza. Jestem żółędziem, który nie chce być w cieniu cudzego dębu.

UMIERA OSTATNIA

Triska Sky (Dorota Wojtanek—Tylek)

*

Stałam na peronie mała, samotna wśród szarych chłodnych powierzchni. Było piękne sierpniowe popołudnie. „Czy na dworcach zawsze muszą być przeciągi” pomyślałam, bezwiednie oplatając się ramionami pod wpływem nagłego chłodu. Pociąg, którego tak wypatrywałam jakąś chwilę temu, dawno już odjechał i tylko ja stałam na opustoszałym peronie. Pary, grupki witających się ludzi, samotni spieszący się i zdążający w swoich kierunkach powolnym krokiem pasażerowie już dawno zniknęli z pola widzenia. Niemiłe uczucie porażki ścisnęło mi gardło. Czułam jak wraz z nim do oczu zaczynają cisnąć się łzy. Wszystko było jasne już od ponad pół godziny, chociaż ja wciąż nie chciałam uwierzyć. Nie przyjechał, po prostu nie. Nie dał żadnego znaku — telefonu, listu, nic. A przecież w wakacyjnych rozmowach wielokrotnie obiecywaliśmy sobie, że odległość nie znaczy nic i nawet podczas pożegnania ustalaliśmy spotkanie i jego przyjazd. List, który przyszedł zaledwie dwa dni temu był potwierdzeniem tego wszystkiego. Dokładnie napisał mi datę i godzinę swojego przyjazdu i cieszył się na spotkanie.

Zrezygnowana, w końcu ruszyłam w stronę przejścia podziemnego. Może za chwilę przyjedzie inny pociąg i wysypią się z niego kolejni pasażerowie. Dziś już nie chciałam być świadkiem następnych radosnych powitań. Czułam złość i wściekłość przeplataną żalem, pretensją, poczuciem bezradności. Poszłam do domu.

Trzy dni później przyszedł list. Pachnący jaśminem, ozdobiony rysunkami kwiatów i serc. Zanim go otworzyłam, wiedziałam, że to od niego. Serce biło mocno, gdy rozcinałam delikatnie kopertę, tak, żeby nie uszkodzić narysowanych kwiatów.

Papier musiał być nasączony olejkami zapachowymi, bo jego zapach wywołał u mnie lekkie zawroty głowy. Było tu wszystko, czego oczekiwałam — przeprosiny, gorące słowa, słodkie serduszka i przede wszystkim kolejna obietnica spotkania. „Przyjadę, tym razem na pewno. Wybacz mi, jeszcze raz proszę. Spanikowałam, ale

teraz widzę, że to było niepoważne”. Nie wiem co sprawiło, że mu uwierzyłam. Moja głowa wybuchła tęczą radości.

Zanim podniosłam słuchawkę i wybrałam znany na pamięć numer, ten numer, musiałam złapać chwilę spokojnego oddechu.

*

Termin kolejnego spotkania jest dość odległy i pewnie będzie już zimno, jak zazwyczaj w listopadzie. Nie przejmuję się jednak, tłumacząc sama sobie, że mam czas na ochłonięcie, przemyślenie naszych słów, zachowań i oczekiwań. Przecież chcemy być razem. W czasie gorących wakacji, które spędzałam w tej samej miejscowości, obiecaliśmy sobie tyle ciepła, było między nami tyle bliskości. Świat w naszych oczach był jasny i bezproblemowy. I wspólny. Odległość nie stanowi problemu, kiedy serca są gorące.

Chociaż czas oczekiwania wydaje się gorący, dni uparcie płyną powoli, swoim niezmiennym tempem. Uczelnia, praca, dom. Dom, praca, uczelnia. Dom, dom. Samotne weekendy są najgorsze. Znajomi spotykają się, kiedy mamy wszyscy wspólną wolną sobotę, ale ja nie zawsze jestem na tych spotkaniach. Czuję jakiś dystans, myślami jestem w innych miejscach. Miejscach naszej przeszłości, wymarzonych miejscach naszej wspólnej przyszłości. Dzwonimy do siebie regularnie dwa razy w tygodniu, czasem rozmowy nie są długie, bo wiadomo — obowiązki, zmęczenie, praca. On bardzo dużo pracuje i często nie ma siły na rozmowę, ale nawet kilka minut działa na mnie jak ożywczy prysznic. Po każdym takim telefonie, choćby był tylko chwilą westchnień, mam zapas energii na cały tydzień. A czasami nie możemy skończyć, rozmowa przeciąga się nawet kiedy wydaje się, że wszystko już zostało powiedziane. Wiadomo, te lubię najbardziej. Energia po nich mnie rozsadza, uczę się szybciej, pracuję lepiej i... tęsknię bardziej. Kiedyś zapytałam, dlaczego tak naprawdę nie może przyjeżdżać częściej. Wykręcił się czasem, brakiem pieniędzy na podróże, niemożnością zorganizowania pracy. Takimi banałami, jakby nie wiedział, jak boli mnie jego nieobecność przy mnie. Naciskałam więc, aż do granic. I nie osiągnęłam nic. Puste pytania, czy nie cieszą mnie rozmowy, czy ciągle muszę chcieć więcej, w końcu, czy nie będzie to piękne,

kiedy tak stęsknieni wpadniemy sobie w ramiona. Nie umiałam zaprzeczyć, więc uznał temat za zakończony. Miałam poczucie cichej porażki. Nie chciałam się na niej skupiać, nie chciałam wpadać znowu w ten stan, w jaki wpędziłam, kiedy tego pięknego letniego dnia po prostu nie przyjechał.

Rozmowy więc trwają nadal, oczekiwanie również.

I w końcu nadchodzi listopad, a konkretnie jego czwarty tydzień. W ostatniej chwili przesunął o tydzień termin spotkania, ale przecież tydzień to tylko mignięcie czasu.

Teraz więc spieszę na dworzec, z wewnętrznym uśmiechem i spokojem. Nie da rady tego zburzyć nawet uciążliwie kręcąca się myśl o tym, że w ostatnim tygodniu tylko przekazał mi wiadomość przez moich rodziców, bo zadzwonił o porze innej niż nasza ustalona. Oddycham spokojnie i staram się iść równym krokiem, powstrzymując się od ciągłego przyspieszania. Czasu mam jeszcze sporo, specjalnie wyszłam wcześniej, żeby ochłonać przez chwilę przed przyjazdem pociągu. Dzisiejszy dzień jest wyjątkowo pogodny i ciepły, jak nie listopadowy. Rozpinam moją nową, kupioną specjalnie na okazję spotkania kurtkę i rozsuwam szal. Jest naprawdę ciepło.

Po peronie kręci się parę osób, które też przyszły po swoich krewnych, znajomych, ale nie ma tłumu. Pociąg wjeżdża bez opóźnień, zapowiadany przez trzeszczące głośniki. Odruchowo poprawiam kurtkę, włosy i szal i czekam. Czekam, aż ostatni pasażer opuszcza wagon i pociąg odjeżdża z peronu. Czekam i na peronie robi się pusto. Czekam zastygła w bólu, który nagle spada na mnie uświadamiając mi, że znowu jestem tu sama. Nie mogę ruszyć się z miejsca. Łzy nie płyną, myśli nie kłębią się, stoję nieruchoma, ale tak naprawdę mnie tu nie ma.

Po czasie nie wiem jak długim ruszam w kierunku domu. Dzień nagle przestał być ciepły i piękny, otulam się szczelniej szalem. Idę niespiesznie, ale prosto do domu, nie mam już dziś ochoty na spacer.

W przedpokoju, gdy zdejmuję buty dobiega mnie zatroskany głos matki —

— Wiedziałam, że nie przyjedzie, dzwonił jakieś 10 minut po twoim wyjściu. Nie zdążył na pociąg, coś mu wypadło w domu. Będzie za tydzień, ale jeszcze zadzwoni do ciebie.

Nie do końca wierzę w jej słowa, ale nie chcę mamie sprawiać przykrości. Rzucając krótkie „ok” zamykam się w swoim pokoju. Mam jeszcze trochę pracy i zaliczenie w nadchodzącym tygodniu, dobrze, że nie przyjechał, bo nie zdążyłabym ze wszystkim. Padam na łóżko twarzą w poduszkę, żeby nie czuć gorących łez na policzkach.

Naprawdę dzwoni. Już na drugi dzień. Przeprasza, prosi o wybaczenie, wie, że głupio wyszło. Daję się znowu przekonać i przyjmuję przeprosiny. Umawiamy się za dwa tygodnie, bo on ma ważne spotkania w pracy i nie da rady wcześniej. Dla mnie to w porządku, przecież w końcu też mam swoje życie i sprawy.

Tym razem nie będę już wychodzić na dworzec. Adres zna i weźmie taksówkę, pogoda jest teraz zmienna, więc nie planujemy spaceru. Zgadzam się na wszystko. Nie zauważam nawet, że pojawia się nić chłodu.

Patrzę w swój kolorowy kalendarz, przewracam kartki, część zapisana drobnym pismem, część oznaczona, niektóre przyozdobione rysunkami i naklejkami. Uśmiecham się sama do siebie, ładny jest ten mój kalendarz, ten mój własny dziennik. Pełny tajemnic znanych tylko mi, ale też dni ze zdarzeniami o których wiedzą wszyscy.

Minął rok. Rok od pamiętnego sierpniowego popołudnia, kiedy po raz pierwszy poczułam się przez niego oszukana. Rok, od kiedy nie wysiadł z pociągu i nie przyjechał pomimo wzajemnych gorących wyznań, słodkich obietnic i tęsknoty za spotkaniem. Rok, podczas którego tych obietnic było jeszcze więcej i więcej niespełnionych dni. Ile, nie chcę nawet liczyć. Patrzę na stosik pachnących listów, każdy ozdobiony, każdy wypełniony gorącymi słowami i kolejnymi obietnicami.

Jestem dziś w domu sama. Rodzice z młodszym bratem pojechali gdzieś na wycieczkę. Wszyscy korzystają z kończących się wakacji i jeszcze ciepłych, sierpniowych dni. Patrzę na nowy aparat telefoniczny, uzbierałam pieniądze i wymieniłam go sama, z przekonania, że jest zepsuty. Przecież była to na pewno wina telefonu, on dzwonił na pewno, ale zepsuty aparat nie odzywał się dzwonkiem.

Przez pierwsze tygodnie byłam o tym przekonana, więc nowy telefon szybko zastąpił stary model.

Dzisiaj wiem już, że niepotrzebnie tak szybko wydałam pieniądze. Aparat telefoniczny był niewinny i zupełnie sprawny, zwyczajnie jemu jak zawsze „coś” wypadało i nie mógł rozmawiać.

Przynajmniej nowy telefon jest ładny i pasuje do salonu.

Łapię kopertę za róg i patrzę jak ogień z zapalki przenosi się na papier. Kiedy wybucha wysokim płomieniem, rzucam list na stos pozostałych, leżących luźno w wannie. Szybko zajmują się ogniem. Tak jak myślałam, są nasączone olejkami, więc palą się błyskawicznie. Na szczęście stara żeliwna wanna dobra jest nie tylko do kąpieli.

KRYSTYNA BEZ GODNOŚCI

Sylwia Dec

Emerytowana południca Krystyna to zbuntowana bohaterka moich książek. W "Krystyno, uspokój się" próbuje odnaleźć sens życia na emeryturze i trafia do sanatorium dla upiorów i demonów. A w drugiej części, "Krystyno, na litość boską", mierzy się z urokami all inclusive i prastarymi demonami na Wyspach Kanaryjskich. Krystyna przypomina, że nie zawsze trzeba być miłą dziewczynką i zabiera w drogę do oswajania upływu i starzenia na swój, niepokorny sposób. Obie części czekają na Ciebie w Empiku i innych księgarniach!

Promocja za jedyne 666 złotych, szatański Amsterdam w sześć + sześć + jeszcze sześć dni gratis — tak głosiła oferta podróży, która skusiła południcę Krystynę z okazji walentynek. Może to był dobry pomysł? Właśnie przecież przeszła na emeryturę, zostawiła za sobą wabienie chłopów, zamieszkała w domku na wsi i cóż... zaczynało trochę jej się nudzić.

Parę tygodni później wylądowała w Amsterdamie. Rozgrzane życie metropolii porwało ją z miejsca jak wir. Krystyna zapuściła się w miejską dżunglę, zatopiła się między knajpami, podrywała każdego, kto dał się poderwać i paliła wszystko, z czego dało się wyciągnąć buszka. Odwiedzała hipisowskie squaty i anarchistyczne meliny, wpadała jak burza do dzielnic czerwonych latarni, aż dziewczyny same zaczęły ją przeganiać w strachu przed konkurencją. Krystyna nie zadawała sobie pytań, nie zastanawiała się po co i dlaczego. Była starym demonem, miała za sobą setki lat babrania się w chłopskiej krwi, tysiące lat walki o przetrwanie, poniewierki z wrogami i kuszenia nieszczęsnych chłopów. A teraz była już na emeryturze i cóż... czy nie tym powinni się zajmować emeryci?

Radosnym korzystaniem z życia?

Tak więc Krystyna korzystała w swoim, niepodrabialnym stylu.

Aż pewnego wieczora wszystko jebło.

*

To był trudny wieczór. Zaczął się od imprezy techno, potem przeszedł w zbiorową orgię, by wyewoluować w zbiorowe narkotyzowanie. Uch, te obowiązki emeryta, przebiegało przez zalane euforią i substancjami myśli Krystyny, nie jest łatwo na tej emeryturze! Po narkotyzowaniu się jeszcze wjechało wcinanie kebaba na czas, po kebabie napatoczyła się rozochocona, japońska wycieczka, więc znów orgia, potem impreza, a potem znowu prochy... W efekcie Krystyna wracała do hotelu po trzech dniach, ale w przeciwieństwie do bohaterów niektórych religii, nie miała poczucia, że zmartwychwstaje. Wręcz przeciwnie — na drzwiach hotelu zawisała, jakby miała tam zasnąć.

A obudziła się tylko dlatego, że coś smyrgnęło jej między nogami.

To był kot! Wielkie, bure kocisko czaiło się pod drzwiami hotelu nad ranem, próbując najwyraźniej wślizgnąć się do środka.

Krystyna niewiele myślała. Zachowała się tak, jak może się zachować emerytowana, złośliwa południca po trzech dniach orgiastyczno—narkotycznego szaleństwa.

Kopnęła kota w dupę.

Zwierzę miauknęło oburzone, jakby poczuło południczy palec w samym środku swojego trzeciego, podogonowego oka. Zrobiło uskok, ale ogonem zaplątało się między Krystynowe łydki tak, że południca wywinęła na chodniku orła i wylądowała twarzą w kałuży.

I już zwiewało w podskokach, już Krystyna próbowała się podnieść, by dorwać gnoja i wetknąć mu te puchate nogi w dupę, gdy nagle zobaczyła coś dziwnego w tafli brudnej, kałużowej wody.

Technicznie rzecz biorąc, powinna tam dostrzec swoje oblicze. Ale gęba w kałuży nie należała do niej. Gęba w kałuży owszem, miała blond włosy i niebieskie oczy, ale jasne kosmyki były zaczesane z grzecznym przedziałkiem, z oczu

patrzyło przemiłą panienką, a za włosami unosiło się coś, co wyglądało jak urocze, różowe skrzydła.

Co do kurwy, skrzywiła się Krystyna, a wtedy do wizji doszedł głos.

— Halo, Krystyna, tu twoja godność — uśmiechnęło się odbicie cierpko, choć głosik nadal miało słodki jak księżniczka Disneya. Znad różowych skrzydeł wzbiły się gwiazdki słodkiego brokaciku i rozświeciliły mrok amsterdamskiej kałuży.

— Co takiego? — południca przetarła oczy. Serio, świeciło się, jak psu jaja się świeciło w tej kałuży.

— Tak, też jestem zdziwiona, że jeszcze tu się znajduję — parsknęła elfia panienczka oburzonym głosikiem. — Chociaż czekaj, zapomniałam ci powiedzieć, że właśnie pakuję walizki!

— Co takiego? — wymamrotała zdeorientowana Krystyna. Ona tu na kacu, a ta z błyskiem, z brokatem, z pretensjami!

— Żegnam, południco — rzuciła z fochem różowa panienka, pokazując Krystynie środkowy palec.

I zniknęła.

Krystyna podniosła się znad kałuży. Kota nie było nigdzie, imprezowicze Amsterdamu już albo jeszcze spali. Godność? Po co to komu? A niech spierdała, pomyślała Krystyna i wgramoliła się do hotelu.

Gdy zapadała w sen, różowa, słodka panienczka ulotniła się z jej pamięci.

Ale to był dopiero początek.

*

Następnego dnia rozpoczął się krystynowy koszmar.

Zaczął się od tego, że Krystyna obudziła się w nocnej koszuli zakręconej na głowie. Obudziło ją oczywiście zimno, które szczypało ją w tyłek. Nie zdążyła wstać z łóżka, a już zaplątała się w kołdrę i wywaliła na sam nos. Poszła do łazienki, ale utopiła telefon w kiblu. W wannie wywinęła orła, zamiast pasty do zębów wycisnęła na szczoteczkę krem na pryszcze na tyłku, a muffinkę na śniadaniu pomyliła się ze świeczką. Dziwnie jej się przeżuwało kakaową,

pozbawioną smaku mazię, ale zorientowała się dopiero wtedy, gdy knot wlaźł jej między zęby.

Tak, przy wyciąganiu zabrał ze sobą plombę. Tę najdroższą oczywiście.

— Co za cholera? — mamrotała Krystyna, grzebiąc sobie w ustach przy zgorszeniu wycieczki niemieckich emerytów w holu hotelowej restauracji.

Ale potem było jeszcze gorzej.

Na schodach zaplątała się w dywan i zjechała na dupie. W windzie rozlała mopa sprzątaczkii, wysiadając poślizgnęła się i wciągnęła w kałużę śmierdzącej wody przystojnego Włocha w drogim garniturze. Gdy wyszła na ulicę, ochlapał ją samochód, jeden, drugi i piąty. Ptak na nią narobił trzy razy, czwarty raz prosto do cytrynowego loda, którego kupiła na kaca. A kiedy wpakowała się na ławkę i dopiero pod tyłkiem wyczuła mokrą warstwę czarnej farby, z odmętów pamięci wyszła ku niej różowa, słodka paniieneczka.

Godność.

Kurwa, godność odeszła.

Na początku chciała to zignorować. Poszła, może wróci. A może to tylko kac. Może szkodzi jej amsterdamskie powietrze. Ale przez cały dzień potykała się, wpadała na ludzi, lądowała w kałuży, rozkraczała się na śliskich podłogach i wdeptywała w ekskrementy. W różne ekskrementy. W efekcie kolejny dzień wesolej wycieczki emerytki zamienił się w piekło. A gdy zmęczona, ubita Krystyna wróciła wieczorem do hotelu, od razu złapała za telefon.

Oczywiście najpierw musiała go upuścić prosto do kieliszka drogiego wina i rozlać resztę butelki na łóżku.

— Honorata — prawie wrzeszczała, gdy po drugiej stronie odebrała znajoma wiedźma. — Godność mnie opuściła. Co mam robić?

Trudno było o kogoś bardziej różnego od siebie niż Krystyna i Honorata. Gdy południca szalała na city—breakach, Honorata poszła w drugą stronę — kupiła sobie kampera, przygarnęła kota i pędziła spokojnie życie pogodzonej z losem wiedźmy. Czasem Krystynę wkurzała — zawsze była uśmiechnięta, na wszystko miała radę, wpadała niekiedy w moralizatorski ton.

Ale przydawała się w takich właśnie, podbramkowych sytuacjach.

— Och, czytałam o tym kiedyś — odparła teraz od razu, a południca skrzywiła się.

— Napisali książkę o tym, jak nawpierdalałam się maści na ból dupy zamiast pasty do zębów? — warknęła, ale Honorata nie dała się sprowokować.

— O tym, że duchy godności czasem odchodzą — odrzekła spokojnie. — Ale zdarza się to bardzo rzadko. Ostatnio w 1034 roku. Przed naszą erą, Krystyna. Co ty jej zrobiłaś?

Krystyna zignorowała to pytanie.

— A czytałaś też o tym, co robić w takich wypadkach? — mruknęła zgryźliwie. Po drugiej stronie telefonu rozległo się ciche westchnięcie.

— To proste i niezbyt proste jednocześnie — odparła Honorata dyplomatycznie.

Krystynie właśnie wtedy skończył się zmysł dyplomacji.

— Honorata, bo ja zaraz rzucę ten telefon i przyjadę do ciebie osobiście... — zagroziła, ale wiedźma parsknęła tylko śmiechem.

— Pewnie i tak wyglebisz się na schodach — odcięła się i dodała: — To proste, bo musisz odczyniać jej odejście tylko przez siedem dni.

Nawet umysł skacowanej i sponiewieranej Krystyny wyczuł nadchodzącą pułapkę.

— Oho, już ja cię znam. A co muszę robić przez te siedem dni?

Po drugiej stronie telefonu zapadła kłopotliwa cisza.

— Och, Krystyna... musisz być grzeczna.

*

Grzeczna! Do jasnej cholery, grzeczna! Jak to się robiło? Po co się to robiło?

W swoim życiu Krystyna nauczyła się jednego — ci, którzy są grzeczni, kończą w paszczy niegrzecznych. Albo na stosie niegrzecznych. Albo w wieży niegrzecznych. W świecie Krystyny bycie grzecznym było czymś tak odległym, jak jeden biegun od drugiego.

Po rozmowie z Honoratą postanowiła to wyprzeć. Przez kolejny dzień borykała się z kałużami, z ptasią sraczką, ze skórkami bananów, które zmuszały ją

do pokraccznego rozkroku na chodniku. Drugiego dnia zaszyła się w swoim łóżku, ale nawet tam dopadły ją problemy. Nóżka łóżka pękła, z góry sypnął się tynk, załała winem pościel i prawie podpaliła łóżko od papierosa.

Gdy ledwo dogasiła kołdrę, uznała, że się poddaje.

Chuj, będzie grzeczna.

Przez kolejne dni odstawiła wino, wódkę i narkotyki. Pomagała staruszkom przechodzić na pasach, a babom w sklepie mówiła „dzień dobry”. Uśmiechała się do ludzi, nie straszyla dzieci, czesała się w równy przedziałek i nie darła się na kierowców przy przechodzeniu na pasach.

Po sześciu dniach była już cholernie zmęczona. Gorzej niż od tych orgii, narkotyków i szaleństwa. Jakie to jest wyczerpujące! Te uprzejmości, te rozważności, ten cholerny przedziałek... Gdy szósty dzień dobiegał końca, Krystyna rzuciła się zmęczona na łóżko.

Czy jutro już będzie w porządku?

Nie wiedziała, że czeka ją ostatnia, najgorsza próba.

*

Krystyna wychodziła z hotelu, gdy to zobaczyła.

Bury grzbiet. Gruby ogon. Cholerny kocur, ten sam, którego kopnęła, gramolił się teraz z małej, miejskiej śmietniczki. Musiał utkwić między ramą śmietnika a płaską platformą, robiącą za jego daszek, bo był za gruby i ewidentnie potrzebował pomocy.

Ale na Krystynę patrzył wyzywająco.

Och, pomyślała południca. To jest ta cholerna, ostatnia próba.

I co, ona ma tego gnoja wyciągnąć? Za fraki ma wziąć takiego bebzona, uratować tego kotleta? Kot dalej gapił się na nią z pogardą, ale koci, rozplaszczony bebech, tkwiący między metalem, nie pozostawiał wątpliwości.

— No kici, kici... — burknęła Krystyna — chuju.

— Sama jesteś chuju — usłyszała gruby głos. Co takiego? Nie piła od sześciu dni, a teraz kot do niej gada?

— Coś ty powiedział, sterto kłaków? — przyjrzała się kotu wrogo, ale ten mlasnął tylko różowym jęzorem.

— Miau.

Z oporem wyciągnęła go spośród metalowych ram śmietnika, choć musiała użyć siły. Postawiła go na ziemię, trzymając na dystans od siebie. Gdy kocie łapki dotknęły chodnika, zwierzę spojrzało na nią i wyprężyło się z dumą.

Ruszyło w swoją stronę, prezentując trzecie oko pod ogonem.

Tak, to wyglądało jak pokusa.

Ale Krystyna nawet nie drgnęła.

Gdy kot zniknął za winklem, nie poczuła niczego. Nie zobaczyła nikogo, tylko nagle w szarym powietrzu Amsterdamu roztańczył się złoty brokat.

Pięć minut później już siedziała w hotelowym barze i zamawiała tequilę.

KSIĄDZ

Anna Krasińska

Agata po skończonej mszy świętej poszła razem z babcią do zakrystii.

Kościół w Kłuszczynie zbudowano w latach dziewięćdziesiątych. Wcześniej była tu mała drewniana kaplica należąca do parafii w Wierzbnowie. Ksiądz przyjeżdżał raz w tygodniu, w niedzielę, tylko po to żeby odprawić mszę świętą. Wnętrze kościoła pozbawione było tego wszystkiego co Agata tak lubiła najbardziej: mroku i tajemnicy. W kłuszczyńskim kościele pachniało środkami czystości i świeżą farbą. Za to zakrystia, z jakiegoś niewyjaśnionego dla niej powodu wyglądała tak jakby przeniesiono ją z gotyckiej katedry. Meble były masywne z ciemnego drewna, a z sufitu zwisały mosiężne lampy przypominające świeczniki.

Agata stanęła w progu przepuszczając Jadwigę przodem. Babcia zapłaciła za odprawioną właśnie mszę, a potem zamówiła jeszcze dwie kolejne za Michałka, w rocznicę jego śmierci i za Franca na rocznicę ich ślubu. Kiedy ksiądz zanotował już wszystko w oprawionym w skórę kalendarzu, zwrócił się bezpośrednio do Agaty:

— Pani Agato, dobrze, że pani przyszła. Mogę prosić na słówko?

Babcia mruknęła „Zostańcie z Bogiem” i zanim Agata zdążyła coś odpowiedzieć, wyszła z zakrystii.

Ksiądz Kordowski, opierał się o wysoki kredens, na którym stały posrebrzane kielichy przyniesione przed chwilą z ołtarza i wpatrywał się w nią intensywnie. Ksiądz Kordowski miał decydujący głos we wszystkich sprawach dotyczących wsi, ale rzadko kiedy uciekał się do bezpośredniej interwencji. Czasami wystarczyło, że namaścił wysłannika, albo subtelnie z ambony wskazywał, która strona konfliktu ma jego błogosławieństwo. Interweniował osobiście dużo rzadziej, a wtedy nigdy nie mówił wprost. Zawsze było: „Ktoś mi powiedział”, „Ktoś mnie prosił”, „Może pan by lepiej to przemyślał”. Bardzo rzadko i tylko w wyjątkowych sytuacjach załatwiał sprawy bezpośrednio.

Konsekwencje nieposłuszeństwa wobec księdza bywały różne, w zależności od skali przewinienia. Mogło się okazać, że w tym roku procesja na Boże Ciało będzie szła inną trasą i już nie będzie ołtarza przed twoim domem, albo twój syn nie uzyska zgody na ślub kościelny, a jedyny dostępny termin na chrzest wnuczki to będzie godzina dwudziesta w sobotę.

Było też wyciąganie konsekwencji politycznych. Komendant Kłuszczyńskiej OSP był skłócony ze swoim bratem sołtysem. Wszystkie jego pomysły od lat były sabotowane na poziomie gminy i starostwa, a straż nie mogła się doprosić o naprawę wozu. A tak się składało, że sołtys był również kościelnym księdza Kordowskiego.

Agata świadomie trzymała się z daleka od wielkiej i małej polityki, tej całej Kłuszczyńskiej gry o tron i bardzo się starała nie pokazywać po której jest stronie. Oficjalnie, dlatego, że pracowała w bibliotece i lubiła swoją pracę, a angażowanie się politycznie, obyłoby w tej sytuacji niezbyt mądre, ale tak naprawdę to dlatego, że ponad wszystko ceniła swój święty spokój.

— Pani Agato, słyszałam, że mieliśmy we wsi gości z Warszawy.

Agata wzięła głęboki oddech w myślach dobierając słowa i zastanawiając się nad odpowiedzią, ale ksiądz nie czekał i kontynuował.

— Nie uważa pani, że się z tego wszystkiego zrobiła za duża afera? Przychodzą do mnie ludzie i się skarżą. Wie pani jaki jest problem na tym nowym osiedlu. Jedna droga wjazdowa, której nie ma jak jej poszerzyć. Ta droga przez las wszystkim by się przydała. Kiedyś nie dojedzie tam karetka na czas do chorego. I co wtedy? Kto będzie winny?

Tu ksiądz zawiesił dramatycznie głos przyglądając się jej wyczekująco i znowu, zanim Agata zdążyła coś odpowiedzieć, zaczął mówić dalej.

— Po panu Siwickim nie spodziewałem się niczego lepszego. On nie jest stąd, a do tego niewierzący. Ale pani?

W tym miejscu ksiądz cmoknął i pokręcił z dezaprobatą głową.

Skoro pani tak na tych Niemcach zależy, trzeba było z tym przyjść do mnie. — ksiądz kontynuował, a Agata zrozumiała, że nie oczekuje dialogu, tylko chce ją przywołać do porządku.

— Poświęciłbym symboliczny pomnik na naszym cmentarzu. Zrobiłoby się ekshumację szczątków — w tym miejscu ksiądz odchrząknął i poprawił koloratkę. Kłamał i widać, że nawet jemu przychodziło to z trudem. Bo i on i ona wiedzieli, że o żadnej ekshumacji nie byłoby mowy. Tak jak w przypadku innych polniemieckich cmentarzy, nikt nie usunąłby ludzkich szczątków, tylko przykryto by je dodatkową warstwą ziemi, a nagrobki poszłyby na gruz. Potem gdzieś z boku, na jakimś diabelskim kamieniu pojawiłaby się tabliczka, że w tym miejscu był cmentarz dawnych mieszkańców Golcowa i tyle. Ciężko było jej wytłumaczyć dlaczego, ale na samą myśl poczuła ogromny wewnętrzny sprzeciw.

Agata zaczęła kalkulować w myślach co może zrobić. Anton Maciszka był kościelnym i wiadomo było, że sołtysem został dzięki błogostawieństwu księdza Kordowskiego, a brak drogi w tym konkretnym miejscu, znacznie utrudniał mu zbicie majątku na schedzie po niedawno zmarłym ojcu. Do tego chodziły słuchy, że Antoni ma ambicje startować na radnego do powiatu. Brak drogi, którą obiecywał od kilku lat, na pewno kosztowałoby sporo głosów w kolejnych wyborach.

— Pani Agato, po co się pani do tego miesza? Nie wygląda to dobrze, nie wygląda. Już od dłuższego czasu panią obserwuję. Te wycieczki Niemców, które pani oprowadza po okolicy. To grzebanie w historii. Mało się ludzie tutaj przez nich nacierpieli? Czy naprawdę chce pani narobić swojej rodzinie kłopotu?

Trudno powiedzieć czym teraz ksiądz Kordecki jej groził. To mogło być wszystko. Łucja nie dostanie podwyżki w urzędzie. Heńka firma będzie przegrywał wszystkie przetargi w gminie, a może dziecko Moniki i Pawła nie dostanie się do państwowego przedszkola.

Ksiądz nie byłby bezpośrednim egzekutorem, on by tylko komuś coś zasugerował, a potem jak Piłat, na końcu teatralnie umyłby ręce. Nie groził niczym konkretnym, ale Agata wiedziała, że o to właśnie mu chodziło. O to żeby nie móc tego przewidzieć co może ich spotkać. Gdyby chodziło tylko o nią, Agata podniosłaby się i wyszła.

Powoli, ważąc każde słowo, bo przecież wszystko mogłoby zostać użyte przeciwko niej zaczęła:

— Proszę księdza, ale przecież tak nie można. Tu nie chodzi, ani o Niemców, ani o te prochy, tylko o pamięć. Ksiądz na pewno tam był i widział, że tam ciągle ktoś chodzi, składa kwiaty i pali znicze.

— Chodził nie chodził — w głosie księdza słysząc było irytację — wie pani kto tam chodził? Zna pani tych ludzi? To pewnie ci Niemcy, których pani tu sprowadza.

— To jest cmentarz. — Agata powiedziała akcentując każde słowo. — wydawało mi się, że od nas katolików, można więcej wymagać. Wydawało mi się, że zmarłym należy się szacunek.

Ksiądz wyprostował się i popatrzył na Agatę z dezaprobatą kręcąc głową.

— Proszę księdza, ten cmentarz był tam jeszcze przed wojną. To byli nasi sąsiedzi.

— Pani zaraz uderza w takie histeryczne tony — ksiądz odpowiedział twardo — a to jest bardzo przyziemny problem. Ludziom potrzebna jest nowa droga w tym właśnie miejscu, a nie kolejne miejsce pamięci. Ja tylko apeluję o rozsądek i proponuję godne rozwiązanie. Zlikwidować cmentarz, ale po bożemu. Niech pani przestanie drążyć ten temat i biegać z tym po mediach. Szum w internecie zaraz ucichnie. Po wszystkim wybierzemy miejsce na pomnik, a pani może zasugerować co napisać na tablicy pamiątkowej.

Agata czuła jak serce zaczyna jej bić szybciej. Czuła jak drżą w jej rękach kluczyki do auta. Przez chwilę nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Przeżuwała w ustach odpowiedź, bała się, że zacznie jej drzeć głos, albo się rozplacze ze złości. Dlatego zamiast kontynuować dyskusję, podniosła się i wydusiła z siebie tylko.

— Proszę księdza ja już sobie pójdę babci czeka.

— Z Bogiem. My jeszcze do tej rozmowy wrócimy. Niech pani sobie to przemyśli.

W domu, kiedy zamknęła za sobą drzwi na górze, odetchnęła z ulgą. Po czym sięgnęła po telefon i wystukała smsa do Maliny „Pomogę Pani z tym reportażem”.

Fragment książki nad, którą pracuję.

NON—FICTION

CYKL ŻYCIA MOTYLA

Justyna Wenecka

Gdy gąsienica osiągnie odpowiedni rozmiar i masę, przyczepia się do gałęzi lub innego bezpiecznego miejsca i przekształca w poczwarkę. W tej nieaktywnej formie, która z zewnątrz wygląda jak nieożywiony obiekt, zachodzą niesamowite zmiany: gąsienica przeistacza się w dorosłego motyla. Ten proces może trwać od kilku tygodni do miesięcy, w zależności od gatunku.

Zazdrościłam każdemu, kto rozsiadał się w fotelu. Ja, odkąd pamiętam, rozsiadałam się tylko w sobie. Nigdy nie byłam tam, gdzie inni. W zasadzie nigdy z siebie nie wychodziłam. Skrzypiałam i ścisakałam się w fotelu mojego życia — fotelu z najeżonym kolcami, wyścielanym lękiem i podszytym bólem.

Mój fotel był w żałobie i ja też w niej byłam — w wiecznej żałobie po wizjach świata, wizjach przyjaźni i wizjach siebie, które nigdy się nie spełniły.

Nie wiedziałam, co znaczy cieszyć się miejscem czy szukać okazji do kontaktów. Że może poznam kogoś fajnego? Że wydarzy się coś ciekawego? Abstrakcja spoza mojej orbity. Jedynym celem każdej aktywności, która wychodziła poza zakres bezpiecznej nibylandii, było przeżyć i jak najszybciej do niej wrócić.

Byłam jak Piotruś Pan, uwięziony w swoim ograniczonym, ale wygodnym świecie dawnych lat. To nie tak, że nie dorosłam. Dorosłam za szybko i miałam dość. Nie chciałam dłużej mierzyć się z tym, co znaczyło dla mnie być dorosłą. Przerazało mnie to.

Cokolwiek, co mnie zaskakiwało — nawet pozytywnie, jeśli dziś patrzę obiektywnie — stanowiło ogromne wyzwanie. Blokowało mnie. Zamrażało. Nie wiedziałam, jak się zachować. Nie wiedziałam, jak powinnam zareagować.

I tak wyglądały moje spotkania z rzeczywistością: zastyganie, obserwacja, co mogę, co wypada, a na koniec reakcja, której później zawsze żałowałam. Mielіłam to w kółko. Nie mogłam zasnąć. Czy dobrze odpowiedziałam? A może kogoś

uraziłam? A może ktoś przestanie mnie lubić? A może wszyscy? Czy już zawsze będę sama? Z takimi odzywkami — na pewno... A może lepiej następnym razem się nie odzywać?

Z gadatliwej Justyny stałam się milczącą wersją siebie, która w strachu przed odrzuceniem nienawidzi siebie jeszcze bardziej. I jeszcze bardziej boi się świata, którego nie może przewidzieć. A zwłaszcza siebie.

Mój świat był czarno—biały: albo ktoś był wspaniały, albo nie traciłam czasu. Jeśli ktoś mnie zranił raz albo zrobił coś, z czym się nie zgadzałam, nie mogłam już dłużej z nim rozmawiać. Moja twarz też mi nie pomagała w relacjach. Nie zliczę, ile razy tłumaczyłam się z tego, że wcale nie byłam zła. Podobno wyglądałam na złą. Co czułam? Nie wiem. Możliwe, że akurat walczyłam z własnymi demonami i atakowałam się od środka. To bardzo prawdopodobne.

Na twarzy malowały mi się głosy, wspomnienia i plany, których nie mogłam wyciszyć. Wyobraź sobie, że włączasz pralkę, zmywarkę, słuchasz muzyki, pisziesz wiadomość, pracujesz, malujesz się, robisz sobie psychoanalizę szukając alternatyw swoich beznadziejnych zachowań z przeszłości i planujesz każdą kolejną sekundę dnia — próbując nie umrzeć i jeszcze coś z siebie wycisnąć. Jakąś krztynę kreatywności czy cierpliwości. I to w jednej sekundzie. A może nawet więcej. Zawsze.

I teraz pomyśl, że to wszystko właśnie dzieje się w mojej głowie.

Mój mózg się nie resetuje. Nie zna ciszy na zawołanie. Ciągłe gdzieś biegnie, potyka się, wpędza mnie w kłopoty i nabija siniaki na ciele. Po prostu nie umiem odpoczywać. A jeśli dochodzę do granicy wytrzymałości, to — jak w komputerze — system robi twardy reset i wyłącza wszystkie funkcje w milisekundzie. Omdlenie wazowagalne. Czasami zdążę zareagować i rzucam się na podłogę, żeby nie upaść jak kłoda. Innym razem budzę się, gdy jest za późno. W kałuży krwi i moczu, ze złamanym nosem. Natura jest mądra. Robi wszystko, abym dalej mogła żyć.

Śmierć to największy z moich lęków. Zresztą boję się o wszystko.

O to, czy dobrze umyłam zęby i czy będą terminy na higienizację w listopadzie o 16:30. Czy w tym miesiącu przyjdzie owulacja. Czy zmieszczę się do samolotu. Czy mam wystarczająco soli. Czy nie powinnam odstawić kawy, skoro mnie

rozregulowuje. Czy nie czytam za dużo książek. A może za mało. Czy mój mąż mnie nie zostawi. Czy ja go nie zostawię — tak jak wielu poprzednich mężczyzn?

Czy, gdy znowu zrobi się za trudno i poczuję ten ścisk w ciele, napięcie, które nie ustaje mimo wszystko — czy nie spakuję toreb i nie ucieknę do innego domu, miasta, kraju?

Kiedys miałam wrażenie, że ucieczka zmywa ze mnie wszystkie przewiny i bóle. Daje mi nowy, świeży początek. Kupuje czysty notes, zakłada nowy planer. Że, jak za dotknięciem magicznej różdżki, znów mam prawo snuć wizję: przebranżowię się, znajdę nowe ścieżki do biegania i będę żyła sama i szczęśliwa — ze swoimi dziwactwami i rytuałami, których nikt nie będzie musiał rozumieć, a ja nie będę musiała niczego tłumaczyć. Ucieczka dawała mi to prawo do zmian — prawo, którego nic innego nie mogło mi dać.

Ucieczka była zresztą jedyną opcją, dzięki której jeszcze nie oszalałam i mogłam znowu uwierzyć w siebie — zdjąć starą, zniszczoną wersję mnie i pokryć się nową, pachnącą, obiecującą. Jak wąż zrzuca skórę. A może bardziej wyobrażałam sobie siebie jako motyla, który tym razem — ze stadium niedołężnej i szkaradnej poczwarki — zamieni się w coś przepięknego, mieniacego się najintensywniejszymi kolorami.

Tyle że rzeczywistość zawsze zatrzymywała mnie tuż przed motylem. I nigdy nie rozumiałam dlaczego. Przecież zrobiłam wszystko. Zrozumiałam swoje błędy. Teraz już będę siebie kochać. Nie będę się bała o wszystko. Teraz będzie dobrze. Ja już będę dobra. Już będę grzeczna. Tak jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczyną, słuchałam dorosłych i miałam świadectwo z paskiem. Nie jak wtedy, kiedy miałam milion zainteresowań i żadne nie trwało dłużej niż kilka tygodni.

Najgorszym pytaniem zawsze dla mnie było: jakie masz hobby? Odpowiedź mnie przerastała — mogłam powiedzieć wszystko albo nic. Prawda była bliżej „nic”.

Po latach walki ze sobą i diagnozie mogę śmiało stwierdzić, że moim prawdziwym hobby było — i może już zawsze będzie — zaczynanie i porzucanie.

Ucieczka.

Ona daje mi siły i wolę walki.

Ona pędzi, razi piorunem, pobudza.

Ona też przeżuwa mnie.

Trawi.

Wypluwa.

Dalej się boję. Dalej nie śpię.

I teraz już wiem, że to nie minie.

Może już zawsze zostanę w stadium poczwarki, tuż przed motylem.

I może ten motyl nigdy nie był dla mnie.

POŻEGNANIA I POWROTY (DO SIEBIE)

Agnieszka Płuciennik

Odkąd pamiętam ciężko jest mi się odnaleźć zawodowo. Robiłam i pracowałam w różnych miejscach, ale zawsze za czymś biegłam, tak sądzę. To było coś nieuchwytnego, coś, co nie do końca potrafiłam określić. W jednym miejscu zawsze byłam sobą, zawsze na miejscu, zawsze czułam się dobrze — pisanie. Piszę dziennik od podstawówki. Wiadomo, pisanie za dzieciaka to raczej opisy zabaw albo dobrego jedzenia. Inaczej pisało się w czasach nastoletnich, choć było tam wiele buzującego dramatyzowania, tak naturalnego w tym wieku. Potem przyszedł czas liceum i studiów — dużo dojrzalsze stany emocjonalne. Analiza ich, rozkładanie swojego wciąż biegnącego umysłu na czynniki pierwsze. Zapoznanie się z pojęciem wysokiej wrażliwości i nagle jakbym była brakującym puzzlem w tej układance — wszystko zaczęło być bardziej przejrzyste. Na przestrzeni tych lat pisałam recenzje, poezję, brałam udział w konkursach poetyckich i literackich. Mimo to moja droga zawsze szła gdzie indziej. Raz nawet można powiedzieć się przecięła, ale kompletnie nie odnalazłam się na filologii polskiej. Nie czułam tego. Myślałam, że to będzie dokładnie to, czego wciąż szukam. Tak się nie stało. To sprawiło, że jakoś zwątpiłam. Ale w końcu nauka o języku to nie to samo co pisanie... Nie rozumiałam tego do końca i mam dziwne wrażenie, że zrozumiałam to w tej właśnie chwili. W tamtym okresie życia miałam też takie poczucie, że to co robię nie jest praktyczne w żaden sposób. Otaczałam się bardziej ludźmi czynu niż abstrakcji. A pisanie, to bardziej fantazja niż coś namacalnego. Jakże dziękuję sobie, że intuicja podpowiadała mi, żeby zapisać się na wyzwanie „nie mogę, bo piszę”, jego drugą edycję pod koniec zeszłego roku. Zanim to zrobiłam oczywiście przez parę dni musiałam się zastanowić, po co mi to, na co. Aż w końcu miałam taką myśl, że jeśli tego nie zrobię, to będę tego żałować — i z takim przeświadczeniem się zapisałam.

Samo wyzwanie pojawiło się w takim momencie, że pozwoliło mi na przetrwanie trudnych miesięcy w moim życiu. Początkowo miałam poczucie, że moje teksty są koślawe i nie pasują do tego, co publikują inne dziewczyny. Starłam się tym jednak nie zrażać. Przez większość mojego życia ogólnie miałam chęć napisania książki, ale myślałam, że ja nie mam wyobraźni, aby wymyślić coś sensownego, co będzie się chciało czytać. Jednak inspiracje, które wstawia Aleks, ba — czasem jeden utwór, zaprowadza mnie w takie miejsca, o których w ogóle przed sekundą wcale nie myślałam, a moje słowa same się piszą. To sprawia, że czuję się na miejscu.

Pamiętam, gdy odnawiałam kartę biblioteczną kilka miesięcy temu, poczułam jakbym znalazła coś, czego dawno mi brakowało. Jakby moje życie w pewien sposób wskoczyło na odpowiedni tor. Było to dość dziwne uczucie dla mnie, bo nie sądziłam, że poczuję w głowie taki „klik” pod wpływem tego pozornie błahego zdarzenia.

Ten rok poddaje mnie jakiejś chorej próbie, mam takie wrażenie. Bo o ile zaczęłam go z dziwnych przekonaniem, że to będzie jakiś przełom, tak od kilku miesięcy balansuję na krawędzi. Staram się zrozumieć dokąd chce mnie doprowadzić obecna sytuacja. Ocieram łzę, strzepuję kurz i podnoszę się ponownie kolejnego dnia, wierząc, że odnajdę siebie. A może odnalazłam się już dawno, a tego nie wiem? Bo z dziwnej przyczyny nie potrafię tego pojąć. Bo próbuję wpasować się w ramy społeczne, które nie są dla mnie? Mam poczucie, że piszę ten tekst bardziej dla siebie niż dla innych, ale z każdym zdaniem rozumiem coraz więcej.

Bycie pisarką — bałam się tego słowa. W sensie, traktowałam je jako takie ogromne słowo, a to po prostu jestem ja.

Pisząc staję się całością, to pozwala mi okiełznać lęk, rozważać dylematy, snuć opowieści. Pisanie to nieodłączna część mnie. Nie chcę jej zagłuszać. Chcę dać jej centralne miejsce w moim życiu. Przestać je uciszać, a być z niego dumna. Poznanie tej przestrzeni to jak powrót do siebie. Do siebie, która niby stała obok, a była tak daleko. Nie muszę wiedzieć co będzie na końcu ścieżki, wystarczy, że widzę kolejny krok przed sobą. I będę powoli szła, bez pośpiechu, krok za krokiem.

A w głowie na powrót słyszę słowa piosenki „Szukaj mnie”. Bo szukam sama siebie i wierzę, że kiedyś sama się odnajdę.

NI UNA MÁS

Monika Kwit

Początek lat 90. XX wieku. W meksykańskim mieście Juárez zaczynają znikać młode kobiety. Sposób ich zaginięcia jest do siebie łudząco podobny. Samotny powrót z pracy w fabryce. Słabo oświetlone tereny przemysłowe. Brak kontaktu z rodziną. Przez długi czas sprawa jest bagatelizowana przez miejscowe władze. Bliscy zaginionych nie mogą liczyć na wsparcie policji. Słyszą jedynie, że dziewczęta pewnie same uciekły i jak będą chciały to same również wrócą. To i tak najłagodniejsza wersja według służb. Pojawiają się bowiem okrutne insynuacje i oszczerstwa pod adresem zaginionych. Rodziny czekają na powrót swoich córek do domu. Tak się jednak nigdy nie staje. Pamiętam, jak mocno poruszyła mnie ta historia, gdy usłyszałam o niej po raz pierwszy. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego pierwsze zaginięcia nie wywołały alarmu wśród miejscowych władz? Jak to możliwe, że przez lata bagatelizowano sprawę i nie reagowano na zgłaszane zaniedbania i nadużywanie władzy przez organy ścigania?

Zacznijmy od tego, że w latach 70. i 80. XX wieku w Juárez masowo otwierano fabryki montażowe. Rozwój przemysłu w tym regionie spowodował znaczący wzrost liczby mieszkańców. W fabrykach zatrudniano głównie młode kobiety. Wiele z nich po raz pierwszy otrzymało możliwość samodzielnego zarabiania pieniędzy, zyskując dzięki temu większą niezależność finansową. Niestety oznaczało to również dla nich konieczność opuszczenia rodzinnych stron lub codzienny dojazd do odległych miejsc pracy i powrót w późnych godzinach nocnych. Napływ nowych mieszkańców do Juárez spowodował powstawanie ubogich dzielnic, gdzie poziom bezpieczeństwa był bardzo niski.

Gdy zaczęły pojawiać się głosy o zaginięciach młodych kobiet, początkowo nie budziły one niepokoju wśród ogółu mieszkańców dużego, przygranicznego miasta. Wszystko zaczęło się zmieniać, gdy w zastraszającym tempie pojawiały się informacje o kolejnych odnalezionych ciałach. Miały one bardzo podobne ślady

przemocy, wskazujące na tortury oraz gwałty. Nie ma pełnych danych o tym, ile kobiet zostało zamordowanych. Wskazuje się, że między 1993 a 2011 rokiem ich liczba wynosiła ponad 500 (dane wg. raportu Amnesty International z 2012r). Wiele zaginionych kobiet nigdy nie zostało jednak odnalezionych, dlatego są to dane szacunkowe (mówi się nawet o tysiącach ofiar). Brak reakcji władz był dodatkowym czynnikiem, który sprawił, że liczba ta wciąż rosła. O sprawie zrobiło się głośno, gdy zaczęto odkrywać kolejne, masowe groby. Światowe media oraz organizacje, zaczęły zwracać uwagę na brak kontroli nad całą sytuacją ze strony miejscowych władz, które nie wprowadziły żadnych procedur, wspierających walkę z gwałtownym wzrostem przestępczości wobec kobiet. Co więcej sprawcy mogli czuć się bezkarni, ponieważ nie byli stawiani przed wymiarem sprawiedliwości i większość z nich do tej pory nie poniosła żadnej odpowiedzialności. Bliscy zamordowanych często byli zastraszani, by zniechęcić ich do dalszego śledztwa i szukania winnych.

Można mówić o wielu różnych czynnikach, które wpłynęły na eskalację przemocy w tym regionie. Kobiety pracowały, otrzymując zdecydowanie zbyt niskie płace. Często w odległych fabrykach, z których wracały późno w nocy. Nie miały ze strony pracodawców zapewnionych żadnych form ochrony i wsparcia. Brak było właściwego oświetlenia infrastruktury. To właśnie sprawiało, że stawały się łatwymi ofiarami.

W tamtejszym środowisku widoczny jest również kulturowo zakorzeniony model męskości (machismo), który wpajał mężczyznom, że to oni powinni dominować, kontrolować kobietę i mieć nad nią władzę. Przez to utwierdzało się w społeczeństwie przekonanie o uprzywilejowanej roli mężczyzny. Nie bez wpływu na całą sytuację była rosnąca przestępczość oraz działalność zorganizowanych grup handlujących narkotykami oraz ludźmi. Jak można zauważyć, problem był bardzo złożony, a brak reakcji władz wiązano z ich zaangażowaniem w działalność grup przestępczych.

W miejscach, gdzie odkrywano kolejne ciała i masowe groby, ustawiano różowe krzyże, które stały się symbolem walki z przemocą. Zapisywano na nich słowa *Ni Una Más* („Ani jednej więcej”) oraz imiona zidentyfikowanych ofiar. Niezwykle bolesne są historie rodzin ofiar. Szczególnie matek, które same

organizowały poszukiwania, rozwieszały plakaty, protestowały. Niektóre z nich dzięki niezwyklej determinacji, odnajdywały groby swoich córek i malowały różową farbą krzyże, by je upamiętnić. Szokuje mnie ta historia i zastanawia, gdzie w tym czasie byli ludzie, którzy powinni chronić swoich obywateli? Dlaczego nie podjęli żadnych działań, gdy kobiety najpierw zaczęły masowo znikać, a następnie odkrywano ich groby? Dzięki rodzinom ofiar, po wieloletniej walce sąd uznał, że państwo nie tylko nie zapewniło im bezpieczeństwa, ale wręcz wiedziało o całej sprawie i ją bagatelizowało. Szokujące jest to, że gdyby reakcja władz była natychmiastowa, wiele z tych kobiet uniknęłoby tragicznej śmierci. Pojawiające się zarzuty o zaangażowaniu przedstawicieli władzy w działalność przestępczą, wyjaśniałyby chęć zatuszowania całej sprawy.

Obecnie przemoc wobec kobiet w dalszym ciągu jest w tym regionie poważnym wyzwaniem, jednak dzięki zmianom w przepisach prawa oraz działalności licznych organizacji społecznych, jej skala jest znacznie mniejsza niż w latach 90. Duży udział mają w tym również rodziny ofiar, które od lat walczą o sprawiedliwość.

Historia kobiet z Juárez wraca do mnie co jakiś czas. Pierwszy raz zetknęłam się z nią, gdy obejrzałam film „Bordertown” (2006) z Jennifer Lopez i Antonio Banderasem. Najmocniej jednak poruszyły mnie wywiady przeprowadzone z matkami ofiar m.in. w dokumencie *Señorita Extraviada* (2001). Każda z ofiar miała swoje marzenia, plany i ambicje. Wiele z nich zdecydowało się opuścić rodzinę w nadziei na lepsze życie oraz większą niezależność. Codziennie przemierzały tę samą drogę do i z pracy ufając, że wrócą do domu bezpiecznie. Tak się jednak nie stało. A wszystko dlatego, że przyszło im żyć w miejscu, w którym ich ochrona i bezpieczeństwo nie były priorytetem. Dla mnie to również przykład tego, jak władza potrafi zostać wykorzystana przeciwko obywatelom. To, co powinno być naszym prawem, równie nagle może nam zostać odebrane i zastąpione milczeniem, zaniedbaniem lub obojętnością.

TAK SIĘ NIE ROBI

Natalia Miłućńska

Pierwsze dwa lata to była męka. Wrzask, hałas, Harmider. Kiedy tylko wychyniesz na ulicę albo wyjdiesz spotkać się ze znajomymi.

Hiszpanie nie mówią, oni się drą.

Pierwszy rok.

Wrzask pierwszy. Leniwy wieczór. Jestem na ulicy, to normalnie cicha i pusta uliczka w nadmorskiej dzielnicy. Rozmawiam z bratem przez telefon. Łażę tu i ówdzie. Ludzie schodzą z plaży, zachód słońca.

— Co tam się dzieje u ciebie? — Niepokoi się brat. — To jakaś bójka? Masz się gdzie schronić?

Nie, braciszku, to typowa hiszpańska rodzina rozmawia czekając na autobus.

Wrzask drugi. Na początku grudnia R. ma długi weekend. Pojedźmy do Portugalii — proponuje. — Nie mamy daleko, a jest tam podobno bardzo pięknie. To prawda. Klify, rozlewiska, skały. Klimatyczne miasteczka. Ale naj, naj są Portugalczycy. Nie tylko mówią po angielsku, ale mówią! Cicho i kulturalnie szemrzą jak strumyki. Co za ulga, ta cisza!

Jesteśmy w Faro. Na kamiennym rynku, w kawiarni. Przyszliśmy na śniadanie. Stoliki na dworze, kawa i sok pomarańczowy. Grzejemy się w promieniach grudniowego słońca, a Portugalczycy cicho szumią koło nas. Tak jak Polski to język szeleszczących liści, tak portugalski ma w sobie rozluźniającą moc płynącej wody.

Czuję, jak moje ciało ożywa, prostuje się. Psychika rozluźnia się. Układ nerwowy jest jak ślimak, który wypełził ze skorupy na zroszony deszczem chodnik.

I nagle łup! Z drugiego końca placu ciężki bucior hiszpańskiego wrzasku przygniata mnie do trotuaru. Portugalczycy przy sąsiednich stolikach wzdrygają się. Hałas nadal odległy nieuchronnie się przybliża. Cztery dorosłe osoby na wakacjach.

— Kochanie — mówię błagalnym głosem — może pójdę, poproszę, wytłumaczę. Chwytam za google translator.

— To nie ma sensu — mówi R. ze smutnym uśmiechem. — Oni nie rozumieją o co ci chodzi. Przecież rozmawiają normalnie.

Tego dnia dochodzę do wniosku że cała Hiszpania jest genetycznie przygłucha.

Drugi rok.

Wrzask trzeci. Impreza. Trzydzieścioro najbliższych przyjaciół ze studiów mojego partnera. To nic, że uniwersyteci skończyli 18 lat temu. Dalej trzymają się razem. Dziś spotykamy się w Consuegrze, miasteczku wielkiego wiatru i lamanczańskich wiatraków. Ktoś pyta, jak mi się podoba w Hiszpanii. Szczerze mówię, że trudno mi znieść hałas.

— My? Krzyczymy? — zaperza się Jose. Patriota, nie daruję mi tego.

— Ona może mieć rację — włącza się niespodziewanie Alberto. Z Laurą spędzili kilka lat w Dubaju. — Jak mieszkaliśmy tam, to zacząłem to słyszeć. Raz przyjechaliśmy do domu na święta, mały miał dziewięć miesięcy. I babcia łapie go, podnosi, trzęsie nim i drze się: Odzie, Odzie! O mi nieto! Mi pequeniko. Mały w płacz. Przestraszył się. Mamo czemu tak krzyczysz? Pytam. Ja wrzeszczę? Chcę tylko przywitać się z wnuczką. I obraziła się. Dlatego myślę, że Natalia ma rację, my tego po prostu nie słyszymy. Jose nie wygląda na przekonanego.

— Ma rację, ma — dobija go Julio. — w zeszłym roku byliśmy w Indiach we czworo. I w autobusie, hinduskim autobusie załadowanym kurczakami i z kozą na dachu zwrócili nam uwagę. Czy możemy nie mówić tak głośno? Czy możemy być trochę ciszej?

Jak sobie radzę, gdy znajdę się w hiszpańskiej grupie? Co jakiś czas wychodzę, oddycham. Dam radę. Chronię się w cichym kącie, by poczytać książkę. Nie ruszam się w Hiszpanii bez czytnika.

Czy ta ekspresyjna natura ma plusy?

Czwarty rok. Idziemy ze znajomymi do baru. Mówię już trochę po hiszpańsku, znajoma zna angielski. Ciepła noc, stoliki pod gwiazdami. Do przystawek piję

lampkę wina. Rozmowa toczy się intensywnie, przysiadają się znajomi, i znajomi znajomych. I nagle wchodzę na hiszpańską fale. Tu, jeśli będziesz czekać na swoją kolej, nie zostaniesz wysłuchana NIGDY. Trzeba wbić się, krzyknąć i PEROROWAĆ. I to właśnie robię tej nocy. Białe andaluzyjskie miasteczko, palmy szeleszczą, a ja peroruję, drę się i gadam jak prawdziwa andaluza.

Uczucia: ulga. Swobodne ekspresja. Wypuszczenie. Trochę na zasadzie: jeśli nie możesz tego zmienić, stań się częścią. Ale jest w tym doświadczeniu coś więcej. Wolność nieskrępowanej ekspresji.

W tej chwili nie muszę się bać, co kto sobie pomyśli. Mogę gadać co ślina na język przyniesie, a potem, na pożegnanie, dać dwa obowiązkowe buziaki w policzek i rozejść się „bez zepsutego mleka”.

Tak nie robimy

Wykrzykiwanie służy też, moim zdaniem, za wentyl bezpieczeństwa. Hiszpanie, wbrew obiegowym wyobrażeniom, są zastraszeni i potulni wobec autorytetów, biurokracji, zasad. Kiedy coś ich wkurza idą na piwo do baru, ze znajomymi, pokrzyczą na to i wracają do domu. Nie buntują się, pokornie znoszą biurokratyczne, szalone wymogi. I ustępują po pierwszym „tak się nie robi”.

Skąd to wiem?

Jako Polka słowa **dlaczego?** a także **dlaczego nie?** mam wytatuowane po wewnętrznej stronie powiek. Nie zliczę tych sytuacji podczas pierwszych lat w Hiszpanii, gdy dostawałam piany na niewzruszone, pełne samozadowolenia TAK NIE ROBIMY.

Nie damy ci deseru z gabloty, bo jest siedemnasta. O osiemnastej przychodzi kucharz, który robi gofry, a teraz się tego nie je. Teraz pij kawę i nie pyskuj.

Nie przestawimy przewróconego szlabanu na wyjeździe do garażu, choć wystarczy dwóch chłopca i 5 min. Tak się nie robi, to nie nasze. Nieważne, że łatwo się nadziać autem z wypożyczalni. Tak nie, teraz nie, nie wolno.

Basen otwiera się o jedenastej, rano się nie pływa. To nic, że płacisz za wynajem, i że na naszym osiedlu mamy otwarty basen. Teraz się nie pływa. Lato kończy się 15 września, mimo że w październiku są 34°C. Ale we wrześniu lato się

skończyło, już go nie ma, i właśnie dlatego basen jest zamknięty na cztery spusty. Czego nie rozumiesz?

Tak nie, teraz nie, nie wolno. Usłużność, poddaństwo, lęk przed Panem, Seniozem jest tu na południu Hiszpanii wbity w podświadomość i odruchowy. Starsze kobiety, które nerwowo kłaniają się lekarzowi i mówią — Amo. To feudalny tytuł pana, od którego zależało twoje życie i śmierć.

Dlaczego są tacy pokorni? Nam się często wydaje, że jak głośni, to zbuntowani. Nic podobnego. Chcę zrozumieć i zaczynam szukać, badać, dociekać. Oto co znajduję. Prawdę wyrażoną szeptem.

Niewola i przegrany bunt

Tu na południu, od Madrytu w dół i na zachód były wielkie latyfundia, nikt oprócz kilku rodzin posiadaczy ziemskich nie miał kawałka własnej ziemi. Od XVII do XX wieku NIKT NIE MIAŁ KAWAŁKA SWOJEJ ZIEMI. Niewola gorsza niż pańszczyzna, była tak dotkliwa, że gdy pytam o tradycyjne potrawy wigilijne, R. nie wie o co mi chodzi. Niewolnicy mogą śpiewać, czasem zatańczyć. Ale nie mają wycinanek łowickich i 12 wigilijnych dań.

Jedyny bunt w latach trzydziestych XX wieku zakończył się koszmarną porażką. Wojną która ostatecznie złamała, wybiła i wygnała buntowników i idealistów. Przemocą, o której trzeba było milczeć wiele, wiele lat.

Republika idealistów 1931 – 1936

Trwała bardzo krótko, tylko 5 lat. Tworzyli ją ludzie od prawa do lewa, chłopci i intelektualiści, niektórzy arystokraci i elity na równi z robotnikami. Nie była w żadnym razie idealna, miała wiele konfliktów i napięć. Ale była próbą demokracji, reform, (chwilowym) końcem monarchii. I bardzo, ale to bardzo nie podobąca się wielkim posiadaczom ziemskim, kościołowi, armii.

Najważniejsze jej reformy to agrarna — by ludzie od Madrytu w dół przestali umierać z głodu, zależni od Pana. I edukacyjna. I kiedy w Madrycie, Kadyksie i Barcelonie idealisci próbowali zmieniać świat na lepsze, skwaszony i okrutny generał Franco przygotowywał w marokańskich koloniach militarną odpowiedź.

1936 rok — to nie była wojna domowa!

Termin wojna domowa to, w tym przypadku, przemoc symboliczna. To nie były dwie wielkie grupy ludzi o przeciwnych poglądach politycznych, które tak się skłóciły aż sięgnęły po noże i pistolety. To była Republika, jej mieszkańcy. I była mała grupa generałów, która chciała przeprowadzić zamach stanu, używając armię, wsparcie Hitlera i kościoła oraz tradycjonalistów z północy kraju. (Których zresztą, gdy zorientowali się, że Franco jest bezwzględny faszystą i zaczęli protestować, szybko doprowadzono do porządku.) Franco w trakcie wojny zabił 3 razy więcej ludzi niż jego przeciwnicy. Oni walczyli z armią, on robił pokazowe rzezie cywilów. W 1937 roku pozwoleń Hitlerowi zbombardować, zrównać z ziemię miasto Guernikę, by ten mógł wypróbować nowy rodzaj broni.

Dyktatura lubi (gnębić) analfabetów

Po wojnie Generalissimo Franco trzymał Hiszpanię żelazną ręką ponad 36 lat i kontynuował wspańnię tradycje niewoli. Lud trzeba trzymać ciemny i posłuszny. Dyktatura nie nauczy cię pisać i czytać

Dlatego dziś wiele osób z pokolenia boomersów to analfabeci. Mój teść umiał się podpisać tylko krzyżykiem! Mój mąż, lat 45, ma doktorat. Pierwsze pokolenie z szansą na studia dorosło gdy skończyła się dyktatura!

Lęk, lęk, lęk

Wojna roku 1936 zmiotła drugą republikę i jej prodemokratyczne osiągnięcia. Jak powiedział Franco amerykańskim dziennikarzom: „Jeśli będę musiał pozbyć się połowy Hiszpanów, by oczyścić nas z tej zarazy — to ich zabiję!”

Jak powiedział, tak zrobił. Co najmniej 150 000 ludzi przepadło bez śladu po wojnie, a ich wnuki dopiero dziś próbują wydobyć szczątki spod autostrad i winnic i zrobić swoim przodkom prawdziwy pogrzeb. Wiadomo że w Hiszpanii znajdują się co najmniej 3300 (!) masowe groby, i wiele więcej nie odnalezionych.

Jak ogłosił raport ONZ z 2016 roku, Hiszpania to drugi kraj po Kambodży gdzie najwięcej ludzi „zniknęło bez śladu”, w masowych grobach i nocnych egzekucjach w oliwnych gajach.

30 lat w piwnicy

Ludzie tak bali się generała Franco, że ukrywali się latami we własnych domach.

Nazywano ich kretami (topos). Rekordzista przesiedział w pokoju pod podłogą 33 lata. Jego historia jest pokazana w poruszającym filmie *La trinchera infinita* (Wieczny okop) z 2019 roku. Przeżył dzięki żonie. Moment, w którym wychodzi na słońce pierwszy raz od wielu lat został ze mną na długo.

Poziom lęku opada powoli. Nie pomaga to, że wielu sędziów to wychowankowie i admiratorzy faszystowskiego reżimu. Dlatego dzisiejsza Hiszpania to kraj kontrastów. Z jednej strony od 20 lat panuje tu równość małżeńska bez względu na orientację seksualną. Z drugiej nadal na magiczne **tak się nie robi** wielu Hiszpanów kładzie uszy po sobie. Poruszysz temat — tabu i nagle hałaśliwi, rodzinni, milkną. Zmieniają temat.

O czym uporczywie się milczało, mówiło szeptem, ze znajomymi, w ukryciu?

O zbrodniach reżimu przez wiele lat, nawet po śmierci Franco. Teraz powoli, powolutku spada knebel z ust. Teraz ta prawda zaczyna falami wychodzić na jaw.

Dzięki ludziom, którzy szukają swoich przodków. Dzięki pisarkom, historykom i filmowcom.

W 2018 (po 50 latach od śmierci dyktatora!) pojawił się dokument „Milczenie innych” (*El silencio de otros*), w którym poznajemy potomków którzy chcą odnaleźć ciała swoich bliskich i postawić przed sądem zbrodniarzy. Którzy czasem mieszkają nadal na tej samej ulicy.

Almodovar wspominał o bezimiennych grobach pierwszy raz dopiero w filmie z 2021 roku!

I w końcu, w 2022 „A flor de tierra” reportaż przygotowany przez publiczną telewizję RTVE. O poszukiwaniach prowadzonych przez rodziny pomordowanych jeszcze w okresie tzw. transformacji ustrojowej w 1978 roku.

Wreszcie w 2024 teatr z Madrytu, ze sztuką 1936, ze swoim śpiewem i prostotą pokazuje skomplikowaną, złożoną historię Hiszpanii w XX wieku i wbija cię w podłogę. **Szept zamienia się w krzyk.**

WŁADZO! ILE CIĘ TRZEBA CENIĆ, TEN TYLKO SIĘ DOWIE, KTO CIĘ STRACIŁ

Agnieszka Herbut

Czym jesteś? Jak Cię określić? Czy jesteś tworem stworzonym według jakiegoś konkretnego schematu? Czy jesteś czymś w rodzaju niedoścignionych pragnień, ambicji, pożądania? A może kajdankami systemu, który sami stworzyliśmy? Kiedy myślę o Tobie, myślę o czymś bardzo odległym. Nigdy nie miałam zapędów prowdadczych, nigdy nie chciałam objąć wysokiego stanowiska w pracy, czy w jakiejkolwiek organizacji lub hierarchii społecznej.

Myślę sobie, że posiadać Cię to nie lada wyzwanie, ale też strach, jaki wywołujesz w głowach wielu z nas. Nie oznacza to, że byłam i jestem osobą, która się boi. Wręcz przeciwnie.

Zawsze miałam naturę o wilczej duszy, z przysposobieniem do walki. Nigdy za to nie byłam osobą szczególnie chętną na specjalne wyróżnienia i przejmowanie roli alfa w żadnym stadzie, w którym się znajdowałam, chociaż przypinano mi różne łątki. W życiu zawodowym jestem trzymającą się na uboczu specjalistką. Raczej od dawna żyję już w stworzonej przez siebie utopii i zbudowanym murze, za którym czuję się bezpieczna i wolna. Dlaczego? Bo nie podoba mi się zupełnie ten zepsuty świat, wielkiego, globalnego biznesu. Nie ma w nim miejsca na wybitne jednostki, na oryginalność i nietuzinkowość, nie ma miejsca na żeński pierwiastek w takiej odsłonie, jakiej bym chciała go zobaczyć i przeżywać. Jest natomiast obszar sporych rozmiarów na toczący wielką batalię zespół osób, które nie patrzą w jednym kierunku, ale idąc po trupach do celu, poszukują Twoich słabości, prześwietlając Cię z góry na dół, każdego, pojedynczego dnia i walcząc przeciwko Tobie i sobie nawzajem.

Myślę, że wpaja nam się zupełnie fałszywe wartości. Niby mówią: „wyróżnij się spośród tłumu! Jeśli zawalczysz i powiesz „ja”, a nie „my”, to każdy Cię dostrzeże”. To jeden wielki blef. To chwyt marketingowy. To nieprawda. Oni nie chcą tych ambitnych i oryginalnych. Oni nie chcą, żebyś była super dobra. Wiesz dlaczego? Bo najzwyczajniej na świecie się Ciebie boją i nie zapraszają Cię do wspólnego stołu, te decyzje zawsze zapadają za Twoimi plecami. Czujesz ich oddech, ale ich nie dostrzegasz, gdyż trzymają Cię na dystans. Bo odkrywasz niewygodne dla nich realia i fakty, znasz wszystkie ich słabości, a kiedy zorientują się, że posiadasz pokera w rękawie, znajdują tysiące powodów, dla których nie jesteś już ani opłacalną, ani potrzebną. Dziś nie chcą Cię inteligentnej i

ponadprzeciętnej. Oni chcą, żebyś była od nich głupsza i tylko wykonywała ich polecenia. Mają mieć z Ciebie korzyść i chcą mieć prawo do tego, żeby delikatnie i frywolnie skubać Twoje roznegliżowane ciało, obdzierając Cię finalnie z ostatecznej godności. „Witamy w kołchozie znajome twarze”, ćwierkają wesoło do wszystkich, których witają każdego dnia o poranku, parząc pierwszą kawę w naszym firmowym, super ekspresie.

Kiedys usłyszałam, że w pracy nie ma kolegów i nie ma koleżanek, są tylko i wyłącznie znajome twarze. Nad wyraz celnie. Mam wrażenie, że nękanie w pracy to już nie tylko zakres przełożonych i Managementu, potrafi przybrać najrozmaitsze i mroczne formy, delikatnie mamiąc Twoją psychikę i podkradając się przebiegle do Twojego dobrobytu, niczym lisy w środku nocy, szukające swoich zdobyczy. Tutaj wszyscy jesteśmy wobec siebie cholernie polityczni. Udajemy nieskazitelnych, miłych, koleżeńskich i pomocnych. Dbamy wszakże o dobry wizerunek firmy.

Chciałabym porozmawiać o jednej bardzo nurtującej mnie kwestii. Nigdy nie uważałam się za osobę nad wyraz feministyczną. Jednakowoż muszę stwierdzić, że mizoginia w XXI wieku nadal obszernie funkcjonuje. Pamiętam ją jako pojęcie ze szkolnego słownika, przygotowującego mnie do egzaminów i pozostawioną przeze mnie notatkę, którą zrobiłam pogrubionym flamastrem: mizoginizm = Nietzsche, w korelacji władzy zapamiętałam Zaratustrę „Idziesz do kobiet? Nie zapomnij bata!”. Czyż nie jest przypadkiem tak, że w pewnym sensie w dalszym ciągu, to mężczyźni

trzymają ten bat nad naszymi głowami? Lub inaczej ujmując, chcą go nadal trzymać?

Uważam, że mężczyźni tracą wiele, nie pozwalając nam rozwijać naszych złotych skrzydeł. Z czego to wynika? Nie chcą przyznać się, że możemy w pewnych obszarach być od nich lepsze i to jest po prostu fakt.

Samo pojęcie feminizmu uważam za skostniałą dość ideologię wtórując Orianie Fallaci, która odrzucała go uznając za „seksualne lobby”, krytykując doktryny najstarszych religii świata, zarzucając im jednocześnie opresyjne traktowanie kobiet, umówmy się, niebezpodstawnie. Islam, Judaizm, Chrześcijaństwo, trzy główne nurty religijne. Nie trzeba być uczonym, żeby tego nie zauważyć.

Kobiety powinny rodzić dzieci, powinny gotować swoim mężczyznom, powinny dbać o dom, kobiety powinny. A co się dzieje w momencie, w którym kobieta jest niezależna finansowo, nie może mieć dzieci, może nie lubi gotować, może nie lubi prasować. Szczerze? Osobiście mogłabym być dzikuską biegającą boso, w

głębokich lasach amazońskich. Mogłabym rzucić to wszystko w cholerę, podróżować, odkrywać nieznane mi lądy, poczuć smak życia, ale jestem tu i trwam w przestrzeni gdzie rządzi świat mężczyzn, pieprzony patriarchat. Dlaczego? Chyba tylko z tego samego powodu, dla którego wszystkie w tym tkwimy. Dla zarobków. Nie ukrywajmy, w korporacji można zarobić całkiem przyzwoite pieniądze. Niestety, kosztem utraconych nerwów, zdrowia, czasem i nawet Rodziny, przyjaciół. Oczywiście, każdego dnia dokarmiają nas słynnym, populistycznym banerem „Work—Life Balance!”, ile to ma się z prawdą i realiami? Nie oszukujmy się, nic. Żart.

Z różnych stron i stanowisk, o różnym statusie, ja i moje koleżanki słyszałyśmy: „to głupie babskie gadanie”, „jesteście niestabilne emocjonalnie”, „płaczesz? Przestań się mazać do cholery, zajmij się robotą, nie wiesz jaką? My Ci zaraz znajdziemy”, „jesteś nieracjonalna”, „nie wiesz? A powinnaś, ja nie będę tracić czasu na takie głupie pytania, sprawdź sobie z czatem GPT”, „ściągaś szpilki i zapierdalaj na dół”, „osiem godzin? stanowczo za mało pracujesz”, „wy tam tylko kawkę

popijacie i o ciuchach rozmawiacie”, „co ty możesz wiedzieć o ciężkiej pracy? Tam tylko w komputerach sobie klikasz i wielce się zmęczyła”.

Niejednokrotnie dawano nam do zrozumienia, że nasze uwagi nie są wcale ani celne, ani mile widziane. Moje pomysły, choć wiem, że konkretne, z solidnym podłożem wiedzy, nie miały nigdy zastosowania. Zrobiłaś duże oszczędności, ale firma Cię olała? Kobieto! To Twoja praca! Mogli jeszcze dodać „to twój zasrany obowiązek”, wcale nie byłabym zdziwiona, natomiast zdziwiłabym się raczej, gdyby nie było komentarza, to już coś. Kobieto, puchu marny! Ile jeszcze Ci potrzeba, żeby pojąć, o czym jest to życie? Ile, żeby podjąć odpowiednią decyzję? Długo jeszcze będziesz się tak męczyć? Owszem. Widziałyście ceny mieszkań? No właśnie. Oczywiście hasło „Rzućmy wszystko i wyjedźmy w Bieszczady” króluje na salonach. Ciężko lekko żyć. Jeszcze ciężiej znosić codzienne szpileczki, ale przecież „to tylko żarty”, prawda?

Ale to o nas także opowiadała historia. Walhalla. Kraina wiecznego szczęścia, miejsce poległych i umierających w chwale wojowników, których dusze zabierane przez walkirie trafiały do świata ze snów. Nieskalane, mitologiczne wojowniczkę, co dosłownie oznacza w języku staronordyckim, wybierającą poległych. Ujeżdżające skrzydlate konie lub wilki, tarczowniczkę, zsyłające śmierć lub życie, zwycięstwo lub klęskę. Towarzyszki i opiekunki mężczyzn, pomagające w zdobyciu

chwały swoim wybrankom. Mitologia Skandynawii wskazuje na to, że legendy o nich, mogły zostać oparte na prawdziwych historiach kobiet, walczących u boku swoich mężów. W starodawnych sagach odnajdujemy ich wiele. Amazonki, Scytyjskie wojowniczkę, Gladiatorzy, kobiety z Argos toczące zawziętą walkę ze Spartanami, Artemizja, królowa Halikarnasu (sojuszniczka Kserksesa w bitwie pod Salaminą), Semiramida (antyczna królowa Babilonu, twórczyni imperium rozciągającego się od Egiptu po Indie), Królowe Egiptu, słynna Nefretete, zapomniana i wymazana przez historię Królowa Hatszepsut, walcząca z cesarstwem rzymskim Kleopatra — wszystkie posiadające prawa na równi z Faraonem. Joanna D’arc, bohaterka wojny stuletniej między Francją, a Anglią, Czarna Agnes, waleczna Szkotka, której statki siały postrach przez trzynaście lat, opływając kanał La

Manche. I nie zapominajmy o naszych „Kresowych Wilczycach” broniących granic Polski w czasach wojen z Turcją.

Zawzięte, uparte, stale dążące do realizacji swoich celów. Dzielne i silne. Córy księżycy! Czarownice, więdźmy drogie! Co jest z Wami u licha? Zapomniałyście o swojej historii? Przeciwstawmy się temu, przestańmy milczeć! Podążajmy do osobistego spełnienia, używajmy swobodnej ekspresji, postawmy się kulturze patriarchalnej, przygotujmy następne pokolenia na walkę z „ustalonymi” wzorcami. Bądźmy jak Hera, Atena i Artemida, skoncentrujmy się na swoich celach, bądźmy niezależne i zaskakujące dla siebie samych! Kochajmy namiętnie i szalenie, ale znajdźmy w sobie cechy antycznych archetypów.

Stwórzmy własną kulturę, własny coven. Bądźmy Szeptuchami, szamankami, kobietami, które widzą, wiedzą i czują więcej.

Władzo! Obawiaj się nas.

„Natura dała mi postać kobiety, ale czyny moje postawiły mnie obok największych mężów tego świata...” Semiramida, Królowa Babilonu.

KRZYKI I SZEPTY

Joanna Szalkowska

Kolejny dzień, wieczór, a ja się czuję jak tykająca bomba. Mój lont jest dzisiaj bardzo krótki, kilka razy wybuchłam.

Krzyknęłam.

„Nogi ze stołu!” „Siedź jak jesz!”

„Idź umyj ręce!”

„Zostaw Felka!”

„Nie bij go!”

„Oddaj mu tę zabawkę!”

„Zakładaj tę piżamę!”

„Umyj ręce! Robiłeś siku, myj ręce!”

Przymykam oczy. Wdech i wydech. Widziałam ostatnio rolkę, gdzie mówiono, że jeśli chcesz krzyknąć na dziecko, najlepiej zacząć tańczyć. Tańczyłabym chyba od rana do wieczora.

Mam dość.

Wszyscy czegoś ode mnie chcą. Gofrów, soku, przytulenia, zabawki, zabawy samochodami, przytulenia znowu, mleka z cycka, na ręce, na kolana, znowu na podłogę, na ręce, na kolana...

I tak w kółko.

Ile razy dzisiaj spytałam, kiedy to się skończy? Kiedy będzie lepiej?

Patrzę, jak Frycek zakłada piżamę. Biegnie do taty dać buziaka na dobranoc i czekam na niego przy jego łóżku. Wybiera książeczkę. Nie, nie jedną. Kilka.

„Mamo, proszę. Trzy dzisiaj”.

Wzdycham. Mam zmęczone oczy, ostatnie czego chcę, to czytać przygody Pucia po raz tysięczny i o samochodziku Franku, którego karoseria jest w czerwonym kolorze, a on sam zawsze się uśmiecha...

Ja pierdolę, już to wszystko mogę recytować. Znam wszystko na pamięć..

Ale nie dyskutuję. Fryderyk się do mnie przytula, a ja zaczynam czytać. Pierwszą, drugą, trzecią książkę.

W połowie tej ostatniej słyszę jego spokojny oddech. Patrzę, leży na boku, pod policzkiem ma złożone dłonie. Śpi. Wpatruję się w jego twarz, tak niewinną i kochaną. Chcę się podnieść, ale mój ruch sprawia, że otwiera półprzymknięte oczy.

— Kocham cię, mamó — szepcze, a potem zamyka powieki.

Leżę tak przez kilkanaście minut, wpatrując się w swojego starszego syna. Ukochanego, upragnionego.

Może mogłam być dzisiaj lepszą mamą?

Całuję go w czubek głowy.

— Kocham cię. Przepraszam. Śpij dobrze, synku — mówię cicho.

Powoli wstaję, odkładam książki na półkę i gaszę światło. Wychodzę z dziecięcej sypialni, a w oczach czuję zbierające się łzy.

W kuchni czeka na mnie mąż. Stoi i podaje mi kubek z ciepłą herbatą.

— Jesteś najlepszą mamą na świecie. Pamiętaj o tym — mówi, widząc mój wyraz twarzy i spojrzenie.

Kiwam głową, nieprzekonana.

— Mogłam...

— Każdego dnia jesteś najlepsza. Nie zapominaj.

Przytula mnie, nie zważając na herbatę. I wiem, że ma rację.

PARASOL

Sylvia Lenkiewicz

Powroty

Jest taki jeden, jedyny serial, do którego wracam niezmiennie raz w roku — już od ponad piętnastu lat. Serial, z którym czuję się związana tak mocno, że jeden z jego najważniejszych motywów — żółtą parasolkę, mam wytatuowaną na żebrach. I wracam do niego wciąż na nowo z tęsknotą, sentymentem i potrzebą ponownego przeżycia wszystkich tych dziewięciu sezonów na nowo. Pewnie się zastanawiasz dlaczego? Przecież znam tę historię na pamięć. Wiem, co się wydarzy, znam bohaterów, ich wybory, wzloty i upadki, a nawet momenty, które za każdym razem łamią mi moje wrażliwe serce. A jednak każdego roku oglądam ten serial zupełnie inaczej. Za każdym razem spotykam go w innym miejscu swojego życia. Z innymi emocjami, innymi doświadczeniami i inną wrażliwością. To, co kiedyś wydawało mi się oczywiste, po latach potrafi nabrać zupełnie nowego znaczenia. Bohaterowie, z obecnej perspektywy potrafią w inny sposób mnie wzruszać albo skłaniać do zupełnie innych refleksji. Historie, które kiedyś przeżywałam jako kompletną fikcję, z czasem zaczęły przypominać mi o własnych wyborach, relacjach, stratach, miłościach i o tym, jak bardzo sama się zmieniałam. Właśnie dlatego do niego wracam. Nie tylko po to, żeby ponownie przeżyć tę historię, ale też po to, żeby sprawdzić, kim jestem tym razem. Co zmieniło się we mnie przez kolejny rok. Co dziś widzę inaczej. Kogo rozumiem bardziej, komu przestałam przyznawać rację, a czyje historie zaczęły być mi bliższe niż, kiedykolwiek wcześniej. Ten serial jest dla mnie trochę jak lustro — historia pozostaje ta sama, ale ja patrzę w nią z coraz to innego miejsca, innych doświadczeń, emocji i uczuć. Właśnie dlatego, mimo upływu ponad piętnastu lat, wciąż zakochuję się w nim na nowo. Całym sercem. Co roku, trochę inaczej — ale równie mocno.

Pożegnania

Jestem ostrożna. Boję się wracać do relacji, które mnie zepsuły, bo wiem, jak łatwo pomylić tęsknotę z potrzebą powrotu. Wiem też, jak łatwo wejść po raz kolejny w relację, z której tak długo próbowało się wyjść. Obawiam się, że kolejny raz nie będę potrafiła być asertywna, że znowu przesunę własne granice, żeby zrobić miejsce dla kogoś innego. Dla kogoś, kto tego nie doceni w pełni, albo nawet w połowie. Mam z resztą problem z ich wyznaczaniem — granic, oczywiście. Wiem to od dawna, a może nawet i od zawsze? Dlatego, kiedy jakaś relacja się kończy, staram się ją zostawić za sobą. Bez rozdrapywania, bez szukania drzwi, które dawno zostały zamknięte. Nie każda znajomość zasługuje na drugi rozdział. Pozwalam im się przeterminować, tak po prostu. Oczywiście, są osoby, z którymi więź przetrwała pomimo przeciwności i ani kilometry, ani czas nie są w stanie ich zniszczyć. Nie każda relacja potrzebuje powrotu, bo niektórym, tak naprawdę, nie jest pisane, żeby się skończyć. Jest taki cytat z mojego ulubionego serialu, który brzmi — „Pewnego dnia spojrzysz wstecz i zrozumiesz, że wszystkie pożegnania prowadziły cię do właściwego miejsca”, myślę, że idealnie wpasowuje się w moje staranne zamykanie rozdziałów.

Pożegnania, a może powroty?

Jedna mała czynność, której nie odpuszczam za każdym razem, gdy rozstaje się z mężem. Mały całus na powitanie i pożegnanie. Za każdym razem. Prosta i nie wymagająca czynność, która sprawia, że jestem spokojniejsza i pełna poczucia bezpieczeństwa. Chciałabym, żeby każde pożegnanie było pełne spokoju i braku obaw. Dzięki temu zaczęłam rozumieć, że pożegnanie nie zawsze oznacza koniec. Czasem jest tylko przerwą. Czasem początkiem czegoś nowego. A czasem dopiero pożegnanie pozwala nam naprawdę docenić powrót ten właściwy i wyczekiwany. Nie wiem, ile pożegnań jeszcze przed nami. Nie wiem też, ile powrotów. Wiem tylko, że kiedy ktoś jest dla nas ważny, warto żegnać go tak, żeby niczego później nie żałować. Bo chyba właśnie tego najbardziej potrzebuję w miłości. Nie niepewności, że nigdy się nie pożegnamy, tylko pewności, że zawsze będzie, do kogo wracać.

WYWIAD Z PRZYJACIÓŁKĄ

Joanna Furdal

kwiecień, 2026

W rozmowie z Weroniką Rossą, która już dwukrotnie układała swoje życie w dwóch różnych krajach. Najpierw pracowała jako nauczycielka języka polskiego jako języka obcego na uniwersytecie Ain Shams w Kairze. Obecnie uczy na uniwersytecie Trường Đại học Hà Nội w Hanoi. Rozmawiamy o tym, co dzieje się po podjęciu decyzji, o kosztach, których nie widać na pierwszy rzut oka i o tym, jak wygląda oraz co daje życie poza schematem.

Pamiętasz te chwile z dzieciństwa, kiedy dorośli nachylali się nad Tobą i tym specyficznym głosem pytali: „Kim będziesz, kiedy dorośniesz?” Co wtedy odpowiadałaś?

Krawcową!

Z tego, co pamiętam, byłaś bliska realizacji tego marzenia, zanim podjęłaś decyzję o wyjeździe. Czy kiedykolwiek wyobrażałaś sobie obecny scenariusz swojego życia?

Może nie do końca taki, ale zawsze miałam wrażenie, że będę robić coś innego niż wszyscy.

Kiedy po raz pierwszy pojawiła się u Ciebie myśl, że nie chcesz tak: 8 godzin pracy dziennie, dzień w dzień, przez lata?

Ja nigdy nie miałam myśli, że chcę tak 8 godzin. Nigdy sobie tego nawet nie wyobrażałam.

Kiedy i w jakich okolicznościach pojawiła się możliwość pierwszej zmiany? Nie jesteś przecież osobą, która rzuciła wszystko i wyjechała

w Bieszczady czy inne Appalachy. Zdecydowałaś się na legalną pracę, zgodną ze swoim wykształceniem.

To był maj 2016 roku. Dostałam zwykły telefon i nie spodziewałam się, że to będzie ten moment, który wszystko zmieni. Telefon był z UAM, z moich pierwszych studiów (studiowałam Etnolingwistykę), usłyszałam pytanie, czy chciałabym wziąć wakat JPJO w Kairze. Myślałam, że to semestr, może zastępstwo, góra rok. Później wszystko ruszyło już bardzo szybko. Właściwie dostałam tę pracę, zanim sama zdecydowałam, czy ją chcę.

Czy to była trudna decyzja, czy raczej przyszła naturalnie? Jak zareagowała na nią Twoja rodzina i przyjaciele?

To była bardzo stresująca decyzja, bo zmieniała całe moje życie, ale chyba nie była trudna w tym sensie, czy robić to, czy nie. Wydaje mi się, że od początku czułam, że to zrobię, że nie mogę zmarnować takiej okazji. Zawsze chciałam mieszkać za granicą i to była w końcu moja szansa. Mama właściwie od razu spakowała mi walizkę. Tata miał więcej obaw. Dla przyjaciół było to chyba też trochę ekscytujące, ale i smutne, że się rozstajemy.

Często jest tak, że kiedy nasze marzenia są bliskie realizacji, czujemy radość i ekscytację, ale im bliżej celu, tym więcej pojawia się obaw. Co czułaś w momencie, kiedy decyzja była już ostateczna?

Co ja zrobiłam!? Oczywiście miałam mnóstwo wątpliwości. Bałam się, że sobie nie poradzę. Pocieszała mnie myśl, że to tylko na rok i w razie czego wrócę. Zostałam 9 lat.

A potem nastąpiło zderzenie z rzeczywistością. Znalazłaś się w zupełnie nowej, abstrakcyjnej przestrzeni. Dla wielu wyprawa do Kairu równa się niemal podróży w kosmos. Jak bardzo Twoje wyobrażenia o nowym życiu różniły się od tego, co zastałaś na miejscu?

Dla mnie w ogóle nie był to kosmos. Studiowałam język i kulturę arabską, więc mniej więcej wiedziałam, na co się piszę. Kair jest bardzo demonizowany w Europie. Turyści nie wypuszczają się daleko od autobusu. Piramidy, muzeum i z powrotem do Hurghady, ale tak naprawdę jest tam bardzo bezpiecznie. Oczywiście wiele

rzeczy mnie zdziwiło, a nawet zszokowało, ale raczej były to pozytywne doświadczenia, coś nowego i ekscytującego.

Pracowałaś i pracujesz jako nauczycielka języka polskiego jako języka obcego. Nazwanie wejścia w system szkolnictwa wyższego w Egipcie „szokiem kulturowym” byłoby eufemizmem. Jak wyglądała Twoja codzienność w pierwszych miesiącach w tak odmiennym od Polski kraju? Czy zdarzały się momenty, kiedy miałaś dość i chciałaś się wycofać? Co dawało Ci największą satysfakcję w nowym życiu?

Nigdy nawet przez myśl nie przeszło mi, żeby się wycofać. A dawali mi popalić. Na uniwersytecie w Kairze panuje kompletny chaos. Dość szybko musiałam nauczyć się, że nie ma co doszukiwać się tam logiki i że trzeba przyjąć lokalne metody działania. Zawodowo największą satysfakcję dawały mi postępy moich studentów. Momenty, w których mogłam z nimi porozmawiać po polsku, kiedy mnie rozumieli i sami potrafili coś powiedzieć. I to poczucie, że to ja ich tego nauczyłam. Życiowo chyba przekonanie, że z każdym dniem ogarniam ten świat coraz lepiej. Szybko też stworzyłam sobie siatkę bliższych i dalszych znajomych i zawsze wiedziałam, że mogę liczyć na wiele osób.

Skąd wziął się impuls do drugiej zmiany? Po ilu latach zdecydowałaś się na przeniesienie do Wietnamu?

Po 9 latach. Tak naprawdę zmianę planowałam już z moim partnerem, którego poznałam mniej więcej po roku pobytu w Kairze. Kilka lat przymierzaliśmy się do przeprowadzki, ale brakowało nam konkretnego pomysłu. Czuliśmy się zmęczeni Kairem, ale nie potrafiliśmy ruszyć do przodu. Nagle w 2025 roku zwolniło się miejsce w Hanoi i wtedy pomyślałam: teraz albo nigdy.

Tym razem była to decyzja dwojga ludzi i oznaczała przeniesienie nie tylko jednej osoby, ale całego wspólnego życia. Jak to wyglądało w praktyce?

O Jezu! Myślałam, że ten drugi raz będzie łatwiejszy, ale nie był. Dzień, w którym wyruszyliśmy w kilkudziesięciogodzinną podróż z Kairu do Hanoi, był chyba najbardziej stresującym dniem w moim życiu. Przenosiliśmy nie tylko siebie, ale też naszego kota. Do dziś pamiętam, jak siedzę w taksówce jadącej na lotnisko. Na kolanach trzymam naszą biedną kotkę, która jeszcze nie wie, co ją czeka. Mój

partner jedzie drugą taksówką, bo z bagażem jedną byśmy się nie zabrali. Ze stresu nawijałam do kierowcy jak szalona, chociaż zazwyczaj unikam kontaktu z taksówkarzami. Nawet on, kiedy usłyszał, co się dzieje, wydawał się przerażony.

Co daje Ci, a co odbiera życie w Hanoi?

Życie w Hanoi dało mi więcej wolności, wyższą jakość życia, dostęp do większej ilości produktów, potraw, uprawiania sportu, swobodę ubierania się, poczucie anonimowości (Wietnamczycy, w przeciwieństwie do Egipcjan, nie interesują się obcokrajowcami). A odebrało niestety przyjaciół. Mam wrażenie, że przyjaźnie, które stworzyliśmy sobie w Kairze, są nie do powtórzenia. A, no i słońce! W Hanoi od pół roku nie widziałam błękitnego nieba.

Są sprawy, o których się nie mówi ani ich nie pokazuje, bo źle wyglądają w mediach społecznościach, takich, jak: zmęczenie, niepewność, poczucie bycia „trochę obok”. Co było najtrudniejsze w obu tych zmianach?

Wydaje mi się, że w Kairze dosyć szybko się zaaklimatyzowałam. Może też dlatego, że w pewnym stopniu znałam już język. Chociaż po tylu latach miałam dość Kairu i cieszę się, że wyjechałam, to jednak myślę o nim jak o swoim drugim domu. W Hanoi nie mam jeszcze tego zakotwiczenia i to jest trudne. Nie czuję, że tu przynależę. Wietnam i Egipt nie mają ze sobą praktycznie nic wspólnego, więc wszystkiego trzeba się uczyć od początku. No i ta bariera językowa. Język tonalny to dla mnie kompletna abstrakcja!

Czy zdarza Ci się zazdrościć ludziom żyjącym „stabilnie”, na etacie, z kredytem, w przewidywalnym rytmie?

Nie.

Jak dziś definiujesz „dom”?

Mam dwa domy. Dom rodzinny w Poznaniu, moim ukochanym mieście, gdzie mieszka moja rodzina i nadal kilkoro starych przyjaciół i drugi dom w Kairze, który tworzą moi przyjaciele. Uwielbiam wracać latem do Poznania. Co roku tak w okolicach Wielkanocy zaczynam już bardzo tęsknić. Zimą nie tęsknię, bo jest za zimno!

Właściwie trudno nazwać Cię osobą zmienną, która stale za czymś pędzi. Od lat przecież masz tego samego partnera, ten sam zawód, tych samych

przyjaciół, z tą różnicą, że z czasem ich przybywa. Jedyne co się zmienia to sceneria. Czy nazwałabyś więc swoje decyzje „ucieczkami”?

Nie. Na pewno ucieczką nie był wyjazd do Kairu. To była szansa, której nie mogłam zmarnować. Wyprowadzka do Hanoi była może w pewnym sensie ucieczką od Kairu, ale przede wszystkim rozwojem osobistym i powiewem świeżości, którego nam obojgu bardzo było trzeba.

KIEDY KRZYCZĘ

Małgo Potocka

Gdy byłam mała, dużo krzyczałam. Stojąc na podwórku, wołałam w stronę okna: „Mamo! Rzuć mi skakankę!” albo: „Mamo, mogę iść do sklepu po chipsy?”. Zdyszana wrzeszczałam też: „Raz, dwa, trzy za siebie!”, gdy udawało mi się dobiec do bazy przed szukającym i „zaklepać się” w zabawie w chowanego. Gdy byłam w szpitalu, bawiliśmy się z innymi dziećmi w wyścigi na wózkach inwalidzkich i dopingowaliśmy się wzajemnie: „Dawaj, dawaj!”.

Ale gdy myślę o tych czasach, słyszę też w głowie głos mamy z okna: „Nie krzycz tak. Jak coś chcesz, to przyjdź do domu i weź”. Przypominam sobie komentarze sąsiadów, że „wszędzie mnie pełno”. Były uwagi w dzienniczku za głośne zachowanie na lekcjach. A ze szpitala najbardziej pamiętam tę pielęgniarkę, która twierdziła, że „okropnie się zachowuję”.

Gdy jako dziecko jeździłam z tatą i jego znajomymi na nartach, świetnie szusowało mi się z synem jego kolegi. Pamiętam, jak jedna ciocia powiedziała mi później, że była o mnie spokojna, bo wszędzie było mnie słychać — taki miałam głos!

Reagowałam zdziwieniem, a zaraz potem poczuciem winy: że jest mnie „za dużo”, że jestem „za bardzo”, że „za dobrze” się bawię. Czułam, jakby moje zachowanie naruszało granice komfortu i spokoju drugiego człowieka.

No i w końcu się nauczyłam. Teraz już nie krzyczę. Czy właśnie na tym polega dorosłość — na narzucaniu sobie ograniczeń, żeby było nas mniej? Na uczeniu się, jak tłumić emocje, zamiast je wyrażać? Żyjemy przykurczeni przez wstyd, normy społeczne i strach przed niezrozumieniem.

PTASIE MÓŻDŻKI

Kamila Kamińska

To krzywdzące określenie odebrało ptakom ich charakter, inteligencję i cały szereg indywidualnych cech gatunkowych na lata. Współcześnie nauka dowodzi, jak bardzo się myliliśmy. Mózgi ptaków mogą zajmować nawet do 8% masy ich ciała, co samo w sobie jest wyczynem, gdyż u przeciętnego, dorosłego człowieka wynik ten wynosi 2%.

Jako dzieciak wychowany na filmach z Davidem Attenborough czułam jedno. Mogę mieć różne stworzenia w domu, ale nie będę mieć ptaków. Ich potrzeba wolności, stadność i charakter nie zasługiwały na zniewolenie. Do dziś pamiętam upał i zapach ptaszarni w Oliwskim ZOO, gdy matka odciągała mnie spod woliery kondora, tłumacząc, że nic złego mu się nie dzieje. Nic, poza tym, że nie mógł latać, siedział ze spuszczonego łbem i próbował ignorować nachalnie zaglądających zwiedzających z roztopionymi lodami w dłoni. Nie muszę chyba dodawać jak bardzo nienawidzę ZOO, popularnych papugarni i innych przybytków niekoniecznie dbających o dobrostan zwierząt.

Skąd więc papużki faliste na moim biurku? Piszę ten tekst, a one z dzikim furkotem przelatują mi za plecami, to zaglądając do soczystego arbuza, to wracając na stojącą lampę, pełniąc ich centrum dowodzenia mini wszechświatem. Zawilości skąd i od kogo się o nich dowiedziałam są na tyle nudne i niczego nie wnoszące, że je pomnę. Ale ich zdjęć ze źle zorganizowanej klatki i faktu porzucenia w biurze ZUS pominąć już nie mogłam. Cała nadzieja pokładana w Starym, że jak podeślę mu zdjęcia, to powie stanowcze NIE, padła. Potwierdził, że trafią na karmówkę, albo do hodowli i żeby jechała po nie. Wiem, że i jemu na nonszalancko rzucone „córce się znudziły” otworzył się wewnętrzny scyzoryk społeczny.

ZUS jaki jest każdy wie. Do 16:00 piekło dźwięków i światła. Później, aż do rana głucho, ciemno, straszno. Przeciskam się przez główną salę z okienkami i bocznym wejściem wchodzę do niedużego gabinetu z upchanymi biurkami,

kserokopiarkami i wciśniętą w róg klatką. Pani urzędniczka macha do mnie z uciemiężonym wzrokiem rzucając „a bierzta je w cholerę”. Wiem tyle, że kupiły je z córką w sklepie, nie wiedzą, ile ptaki mogą mieć lat, a w ich domu spędziły dziesięć miesięcy. Na odchodne dodaje, że raz w tygodniu wypuszczała je na trzydzieści minut. Czujecie to? Ptaki, które żyją w ogromnych stadach, przemierzają tysiące kilometrów Australii (no dobra, ich krewni, bo one na pewno urodzone w niewoli). Mamy XXI wiek, a czuję się jakbym odbierała klatkę z XIX wiecznego okrętu handlowego. Tym samym na dłuższe rozmowy z panią urzędniczką czasu i sił nie mam. Nie ma o czym. I tak oto, w śnieżny piątek przed feriami staje się ptasią Starą.

Pierwsze dni dajemy im maksymalny spokój. Tłumaczę Trollom, żeby nie machały niczym w pobliżu klatki i założyły tłumiki na swoje słodkie paszcze. Wchodząc do mieszkania mówimy spokojnie już od wejścia, żeby przyzwycząić je do naszego głosu i widoku. Fiona z zazdrością próbuje skakać na biurko, gdy przemawiam do nich czule. Do tej pory taki tembr głosu i ciumciurumciu były tylko dla niej. Po mniej więcej tygodniu biorę się za porządki. Kuweta klatki nie była chyba myta przez tych dziesięć miesięcy, bo wraz z pianą splukuję metkę z ceną. Plastikowe drążki wywalam i mocujemy drewniane patyki, kość mątwy i kąpielówkę. Podstawy wyposażenia są dla nich czymś obcym. Jajko na twardo dla Fiony, jajko posiekane dla ptaków. Czytamy, oglądamy i uczymy się co i rusz czegoś nowego. Rozmawiamy o potrzebach gatunku, oglądamy filmiki i dostrzegamy jak żywo papugi na nie reagują. Po kilku miesiącach umiem już rozpoznać, które dźwięki i gesty oznaczają ekscytację, a które strach.

Pierwsze ich loty są chaotyczne, krótkie, a skrzydła wyraźnie podkurczone. Nie mają kondycji, a stres związany z przestrzenią pcha je na podłogę, pod krzesła, czy na psie legowisko ku zdziwieniu Fiony. Ale z każdym kolejnym dniem nabierają wprawy. Czasem lecą pióra i wtedy jak typowa Stara wkraczam je rozdzielić. Zazwyczaj jednak trzymają się razem. Nawołują, gdy któraś poleci do innego pokoju. Oswajają się z mieszkaniem, nic nie robią sobie z trzydziestu kilogramów futra, a nawet uczą się powrotu do klatki na mój gest.

Są skrajnie różne. Jolka jest wycofana, potrzebuje więcej czasu na wszystko, ale ma w oczach mnóstwo łagodności, gdy rozmawiamy. Niuńka to ptasi ninja, rozkrzyczana, charakterna, sprytna. I jak to dzisiejsza młodzież, tylko by siedziała z dziobem w telefonie. Oprócz filmików na Youtube z papugami w roli głównej obie ukochały sobie spotkania Akademii Kreatywnego Pisania. Ba! Mają swoje ulubione pisarki i drą się niemiłosiernie, gdy ja wyłożę słuch na ich czytaniu. Tu serdeczne pozdrowienia dla Agaty Schubert!

Czy zmieniło to nasze życie? Nieznacznie, ale na pewno zmieniło ich. Latają codziennie, tyle ile mogę im zaoferować. Na pewno jest to nauka dla Trolli, że za oswojone zwierzęta jesteśmy odpowiedzialni do końca, a pewne gatunki powinny pozostać dzikie. Od pół roku siedzę przy komputerze, czytam, sprzątam z nimi. Byle okna były zabezpieczone. Szarobrazowe wróble po drugiej stronie przyglądają im się z ciekawością. Ja też, jak ten przerośnięty wróbel siedzę każdego dnia patrząc na kolorowe pióra wirujące pod sufitem. Nie oczekuję, że będą przylatywać na dłoń i rozdawać buziaczki jak te z Youtube'a. Nie powinno ich tu być. To nie jest ich miejsce. Ani żadne inne mieszkanie. Możemy być dla nich tylko mniejszym złem.

W HOŁDZIE BABCI ANASTAZJI

Ewelina Anna Zawadzińska—Zawadzka

Miałam pisać o czymś zupełnie innym, lecz książka "Dlaczego kobiety uprawiają ogrody" Alice Vincent sprawiła, że zmieniłam zdanie. Jak to się stało, że trafiła do mnie? Nie kupiłam jej, dostałam w prezencie na pożegnanie. Tak się złożyło, że 30 czerwca 2026 był moim ostatnim dniem pracy po 28 latach, 6 miesiącach i 15 dniach. Zostałam a raczej moje stanowisko pracy zostało zlikwidowane w ramach restrukturyzacji, która trwała od grudnia 2024. I tak oto jednym z prezentów była ta książka. Jak to mówią nie ma przypadków. Miała do mnie trafić by... Podziękowania należą się Gosi B, bo to Ona zasugerowała tę książkę. Gosia jak Ty mnie dobrze znasz. 😊😊😊

Czytając książkę mniej więcej w połowie wpadłam na pewien pomysł. Przechodząc dalej, doszłam do wniosku, że pisząc o Babci i Jej pasji a tym samym czułości do Ziemi, Natury, oddam Jej hołd i pozostanie jakiś ślad. Gdy się urodziłam, Babcia miała 61 lat. Byłam jej drugą wnuczką. Był jeszcze rok starszy ode mnie wnuczek. Odkąd pamiętam Babcia wyglądała tak samo. Niska, dość dobrze zbudowana starsza Pani. Włosy miała koloru mysiego, które z czasem zaczęły siwieć. Najczęściej była ubrana w kolorowy fartuszek, który w tamtych czasach był bardzo modny. Na głowie kolorowa chustka. Kiedy miałam może pięć lub sześć lat, zostałyśmy właścicielkami trzyarowej działki ogrodowej. Za nim nie wybudowali Spółdzielni z sklepami z okna mojego pokoju widziałam ogródki działkowe. Jakiś cudem Babci udało się zdobyć pustaki i wybudować altankę i narzędziownię. Obok Babcia zbiła szopkę z desek. Pamiętam, że Jej ogród był mega uporządkowany. Wszystko miało swoje miejsce. Warzywa, drzewka owocowe, kwiaty. Co roku ogród eksplodował barwami. Do swojej pracy w ogrodzie

podchodziła z czułością, miłością, wdzięcznością. Bez tego ani ziemia, ani Matka Natura nie odwzajemniałyby się Jej, dając co roku plony. Zrozumiałam to dopiero sama mając ogród i warzywnik. Ile pracy, potu, energii, ile czułości, ile zaangażowania to wymaga. I w jakimś stopniu pokory do sił przyrody. Czasami jeden przymrozek, jeden deszcz niweczył wszystko, cały trud, całą pracę. Gdy tak wspominam Babci ogród nie przypominam sobie żdźbła trawy czy jakiegokolwiek chwastu. Nie to co bywa u mnie. Czasami śmiałam się, że jak Babcia widzi to z nieba to kiwa mi tylko palcem grożąc w ten sposób, a może jest jednak dumna ze mnie.

Teraz z perspektywy czasu i lat widzę, jak pielęgnacja ogrodu, warzyw wymagała od Babci dużego nakładu pracy. Potrafiła wyjść z domu przed 7:00 pójść na mszę, po której w sklepiku kupowała kilka bułek i masło. Więcej nie potrzebowała, reszta była na działce: pomidory, ogórki, cebula, czosnek. Z owoców były: truskawki, gruszki, porzeczka czerwona, czarna, maliny, jabłka, brzoskwinie, czereśnie, wiśnie, agrest czerwony i zielony, śliwki i winogron. Wszystko pięknie rosło, dojrzewało. Nic nie było przerośnięte. Krzaki porzeczek czy agrestów były jakby zaczarowane. Takiej samej wielkości i zawsze ugiwały się od owoców. Krzewy malin były kolejnym magicznym miejscem. Były posadzone w rzędach tworząc las. Pośrodku rosła jedyna czereśnia, na którą dało się wspinać bez problemu, by zrywać owoce. Przed wejściem do krainy malin rosła śliwka, którą Babcia wyhodowała z pestki. Pod płotem rosły zaś irysy i jesienne kwiaty jak marcinki. Były też astrы. Pamiętam, że jako dziecko uwielbiałam te astrы, bo były dość późno w ogrodzie, a do tego jeszcze Babcia miała przeróżne odmiany i było bardzo kolorowo.

W tamtych czasach w ogrodach nie było azalii, rododendronów, hortensji. Ogródki działkowe były kolorowe i przede wszystkim dawały dostęp do warzyw i owoców, z których robiło się przetwory, zapasy na okres zimowy. W Babcinym ogródku były bratki, żonkile, tulipany, narcyzy, piwonie w trzech kolorach oraz róże i tutaj również była cała plejada barw, podobnie jak z liliami. Dziś jest mnóstwo odmian, lecz nieliczne pachną. To się nazywa ewolucja 😊. Były floksy, które kwitną

do późnej jesieni. Goździki kamienne inaczej brodate, groszek pachnący o który się pokłóciłam z nauczycielką w drugiej klasie szkoły podstawowej. Oprócz tego były kosmosy, dalie, lwie paszcze, cynie, łąbiny, kocanki ogrodowe, miesięcznica roczna, mieczyki, szafirki. Wtedy każdy sam zbierał nasiona, suszył je i pieczołowicie przechowywał, nie to co dziś. I żeby było ciekawiej to te rośliny, kwiaty były dużo bardziej wytrzymałe na choroby. Postęp i cywilizacja również to zmodyfikowały — na naszą dużą niekorzyść.

Ktoś mógłby pomyśleć, że na trzech arach niewiele da się posadzić, a tymczasem syn Babci, który miał hektary i spore gospodarstwo, niejednokrotnie przyjeżdżał do nas i zabierał plony wiadrami. Śmieszyło mnie to, że tu z jednej strony pomstowali na nas, miastowych, że nudzi nam się w tym mieście, mamy tyle wolnego czasu i wszystko kupimy w sklepie, podczas gdy oni tacy zapracowani na roli. Tylko po owoce to do nas przyjeżdżali. Ciekawe, prawda? Nawet mój kuzyn co roku zabierał od nas parę gołębi, bo jego własne ginęły lub działa się z nim coś tym stylu. Jako dziecko nie do końca to rozumiałam. Wychodziłam raczej z założenia, że po raz kolejny wykorzystują Babcię i Jej ciężką pracę.

Z gołębiami związana jest też interesująca historia. Mieszkaliśmy w bloku na drugim piętrze. Balkon nie był zabudowany i stał tam wielki garnek, który Babcia wykorzystywała do przygotowywania zapasów na zimę, gotując w nim słoiki. Naczynie to było tak ogromne, że zajmowało aż cztery palniki kuchenki gazowej — bo innej w tamtych czasach nie było. I tak oto którejś wiosny para gołębi postanowiła uwić sobie gniazdo właśnie na tym garnku. Pokrywka była tak odwrócona w taki sposób, że ptaki miały idealnie płaską powierzchnię. Złożyły jajka i bez przeszkód je wysiedziały. Nie pamiętam, ile było piskląt, pamiętam, że mogłam je delikatnie podglądać zza firanki by ich nie przestraszyć. Jakoś Babci udało się je przenieść na działkę i tak to zaczęła hodować gołębie. Bez czułości, miłości i szacunku do nich to by się nie udało. A one Jej zaufały i nie dość, że wychowały swoje małe to jeszcze pozwoliły ulokować się w innym miejscu. Z czasem pojawiły się inne gołębie, bardziej rasowe z koronami na głowie. Pamiętam jak je Babcia wypuszczała, jak obserwowałyśmy, jak robią ileś okrążeń wokół działek a następnie przywoływało się je wołając taś. I przylatywały, grzecznie wchodząc do swojego

domu. Oczywiście całą konstrukcję dla nich zrobiła Babcia. W tamtych czasach to było normalne, że gołębie hodowało się na ogródkach działkowych. W sumie oprócz Babci w naszej alejce jeszcze było trzech gołębiarzy. Oczywiście na działce były koty, jeże — te nawet przepędziły koty z legowiska na dole do kryjówki na stryszku. Były świnki morskie, które Mamie za bardzo śmierdziały w domu.

Ta działka to było Jej miejsce, to nie było miejsce przymusowej pracy, lecz miejsce, do którego lubiła chodzić, spędzać tam całe dni. Pracować, odpoczywać, delektować się Przyrodą, Ciszą, Spokojem, Niebem, tym wszystkim co daje nam Matka Natura.

Jako Matka trójki dzieci, która musiała w 1967 roku zostawić cały majątek i z kilkoma tobołkami przenieść się z obecnej Ukrainy (wtedy ZSRR) na Ziemię Odzyskaną, czyli do Jelcza (obecnie Jelcza—Laskowic), przebyła długą i trudną drogę, by zacząć wszystko od nowa. Była wdową, nie bała się ciężkiej pracy w Jelczańskich Zakładach Samochodowych, gdzie ręcznie szyła fotele. W domu miałyśmy te igły i nici. To były naprawdę spore igły. Trzeba było mieć niesamowitą siłę w rękach by to robić. Nigdy nie narzekała, nigdy nie skarżyła się na nic, nigdy o nic nie zabiegała. Jedyne czego potrzebowała, to tych trzech arów Ziemi, Kościoła, modlitwy, zaś zimą zabierała się za haft krzyżykowy, wyszywanie oraz robienie na drutach. Wszystko to robiła z niesamowitą precyzją, miłością i czułością. Jej dzieła były pełne barw jak ogród. Nawet moje koleżanki z klasy prosiły, by robiła dla nich rzeczy na drutach. Udało się Jej zdobywać bardzo kolorowe włóczki, w tym srebrne i złote, co w tamtych czasach było niezwykle przedsięwzięciem.

Tak moja Babcia Anastazja była przedsiębiorcza, było w niej wiele ciepła, miłości, oddania, poświęcenia i czułości. Być może nie zawsze okazywała to wprost, nie mówiła tego otwarcie, lecz nie musiała, bo Jej czyny były tego dowodem. To jak dbała o mnie i Mamę, jak gotowała nam jedyne w swoim rodzaju zupy, jak robiła swój makaron, pierogi i nie potrzebowała szklanki by wszystkie były jednakowej wielkości. A Jej bułeczki drożdżowe, póki co żadne nie smakowały jak tamte. To dzięki Niej wiem, jak ugotować zupę, zrobić barszcz czerwony bez octu by był kwaśny. Daleko mi do Jej gołąbków z własnym sosem pomidorowym czy

bigosu, lecz wiem jedno — to dzięki podpatrywaniu Jej i przebywaniu z Nią w kuchni byłam w stanie ugotować cokolwiek bez zaglądania do książek. I to dzięki również Babci Anastazji mam ogród i dążyłam by wiele kwiatów, które Ona miała były u nas. Podobnie z drzewkami owocowymi.

Babciu gdziekolwiek jesteś ogromne podziękowania za Ciebie, za Twoją wiedzę, za Twoją obecność, za wyrozumiałość, za stanowczość, gdy trzeba było, za opowieści o psie Tyfce, za naukę modlitw i pieśni kościelnych dzięki którym ćwiczyłam pamięć, za to, że pokazałaś, iż pokora, skrucha są ważne w naszym życiu. I za uciszanie chłopaków na klatce, gdy byli za głośno. Za opiekę i pomoc mojej Mamie w wychowaniu mnie.

LET'S DANCE

Kasia Klein

Kilka lat temu po tanecznym występie mojej starszej córki, napisałam tak:

“Przez cały wieczór byłam dzielna. Pękałam z dumy, wzruszałam się wewnętrznym, wspominałam. Rozpłakałam się w domu, późnym wieczorem.

Bo ja kiedyś znalazłam coś swojego. Właśnie pod tym szyldem, w tych widzianych na telebimie strojach, na tych scenach z tymi ludźmi. To są jedne z tych drzwi, które z jakiegoś powodu się nie domykają. Czasem skrzypią, a czasem przez przeciąg wspomnień stoją rozwarte. I jednak trochę bolą. (...) Bo ja nie wyrosłam z tańca, jak z tych pierwszych baletek, podartych na wylot, przepoconych godzinami ćwiczeń.

Nie wyrosłam z tamtej siebie, która pewnego dnia po prostu nie wróciła.

M—ka tańczy naszą dwupokoleniową historię, a ja myślę, że jeśli te drzwi wciąż nie mogą się zamknąć, to trzeba je otworzyć szerzej.

Wybieram rozmiar 41 i dodaję do koszyka.

Bo dlaczego by nie?”

Tego dnia do koszyka włożyłam nie baletki, ale białe trampki. Byłyśmy grupą matek, która przyprowadzała swoje córki na zajęcia tańca i też chciała tańczyć. Dla zabawy, dla siebie. Ten sam trener, który uczył M—kę hip hopu, uczył go również mnie.

Tak, w wieku prawie 40 lat zaczęłam tańczyć hip hop.

Ale nie chodziło jednak o styl. Nie o zabicie czasu, czy zgubienie zbędnych kilogramów. Nawet nie o ruch. Za pomocą bounce i rocking tańczyłam swoją pasję, radość i kawałek życia, za którym tęskniłam. I znów mogłam wystąpić pod tym szyldem na corocznym koncercie zamykającym sezon i mówię wam... kulisy nadal pachniały tak samo, a serce skakało mi z radości. Tańczyłam hip hop tak długo, jak

pozwalalo mi to na ciało w drugiej ciąży. Mała Zo zaczęła tańczyć w zespole, zanim jeszcze przyszła na świat.

Do zespołu przyszedłem za kuzynką. Mieliśmy po 12 lat. Ona pochodziła miesiąc, ja zostałem na 6 lat. Na początku, ze względu na wzrost i przeciętną koordynację ruchową, tańczyłem ogony, ostatnie linie. Lepsza byłem w śpiewie, bo był to zespół tańca i piosenki. Nie tańczyliśmy disco ani hip hopu. Ale uczyłem się klasyki, obrotów i rock and rolla. I przez ten ostatni, a konkretnie przez to, w jaki sposób tańczyły moje ręce (bo one też chciały być skoczne jak i nogi), przeniesiono mnie do pierwszej linii, na sam środek. Najpierw w jednym układzie, a później w kolejnych. W tamtym czasie, w tamtych formacjach było to bardzo ważne miejsce. Punkt odniesienia wszystkich tancerek, dzięki któremu układ był harmonijny.

Moja grupa była tzw. szkółką. To z niej mieliśmy przechodzić do tego "prawdziwego" zespołu. Ale byliśmy dobrą grupą, więc oficjalnie też zrobili z nas zespół. Brałyśmy udział w konkursach, byliśmy zapraszane do telewizji, była scena w Koninie. Taniec był moim życiem i wiedział o tym każdy, a ja byłem ważna dla zespołu. W drugi dzień egzaminów próbnych w 8 klasie SP, zespół specjalnie opóźnił wyjazd na festiwal, abym mogła napisać i wystąpić. Na egzaminie wstępnym do liceum, pisałem wypracowanie o mojej nauczycielce tańca. W pamiętniku pisałem, że jeśli będę miała córki, to będą tańczyć tutaj, tak jak i ja.

Przez te lata nie raz rzucałem baletkami w kąt, nie raz narzekałem na kontuzję kostek, nie raz żałowałem, że nie jestem z koleżankami na trzepaku i nie raz dostałem jedynkę, bo wolałem tańczyć, niż wkuwać regułki. Nie raz płakałem po zejściu ze sceny, bo był to tak ważny emocjonalnie dla nas występ. W chwilach zwątpienia brałem do rąk swoje pierwsze baletki, z których zostały strzępy.

Przez te lata zespół i taniec się zmieniały. Dziewczyny odchodziły, przeszedłem do głównego zespołu, przestałyśmy śpiewać, naszą trenerkę i założycielkę zespołu zastąpiła jej córka, zaczęliśmy tańczyć modern i jazz.

Liceum miało swój najciekawszy czas. Chłopak mówił z pewnością głosem:

— No przecież nie będziesz tańczyć cały czas.

— Jasne, że nie. — Odpowiadałam myśląc o tym, że przecież sama chciałam uczyć dzieci tańczyć.

Pewnego dnia opuściłam zajęcia i już nie wróciłam. Potem żałowałam. Nie wracałam, bo “już za późno”.

Kiedy M—ka miała siedem lat, zaprowadziłam ją do tego samego zespołu. Trenerzy, w większości wychowanki zespołu, prowadząca — synowa mojej trenerki, taniec — disco i hip hop. Patrząc na M—kę widziałam w niej trochę siebie. Widziałam w niej podobną radość, chwile zwątpienia, zmęczenie, pasję i żar w oczach. Czułam tę samą adrenalinę, gdy występowała w turniejach. Dumą napędliały mnie jej medale, zdobyła ich więcej niż ja.

Po czterech latach M—ka zdecydowała się odejść. Przyznaję, że przez chwilę nie wiedziałam, czy mam być matką, która tu i teraz słucha swojego dziecka i za nim podąża. Czy może mam być matką, która nabyła życiowej mądrości (choć, jak u Osieckiej, wcale nie chciała jej skosztować) i która wie, że M—ka będzie żałować swojej decyzji. Ale właśnie, czy nie przemawiałaby wtedy przeze mnie moja własna strata? Czy nie nadganiałabym M—ką swojej pasji, z której tak łatwo zrezygnowałam? M—ka wytańczyła ostatnie ruchy w sezonie i nie wróciła na scenę.

Czerwiec 2026 rok. Koncert zamykający sezon. Przy okazji 40—lecie zespołu. Mała Zo wywija w pierwszym rzędzie i przy disco i przy hip hople. Tańczy jakby nie był to dla niej żaden wysiłek, każdy ruch przychodzi jej naturalnie. W końcu ma to w genach.

Ja i M—ka siedzimy na widowni w czwartym rzędzie. Za sceną na telebimie wyświetlane są zdjęcia z całych 40 lat. Jestem ja. Jest na nich M—ka. Podaję jej chusteczkę. Od ponad trzech lat mówi, że żałuje, że odeszła. Nie wróci, bo “już za późno”.

Wieczorem przesyłam jej reklamę szkoły tańca.

Idziemy?

OMG! Tak!

M—ka jednak wyjeżdża na wakacje. Dlatego sama wyciągam białe sneakersy. Przejeżdżam całe miasto, by o godzinie 21 stanąć w grupie przed lustrem. Po pięciu

minutach rozgrzewki dostaję zapaści. Shuffle dance nie bierze jeńców. Wychodzę ledwo trzymając się na nogach. Mam mokre plecy i skronie. Jestem przeschęśliwa.

Od koleżanki usłyszałam, że kiedy po czterdziestce wracasz do czegoś, co kręciło cię kilkanaście lat temu, to prawdziwa pasja. Jeśli masz zajawkę na coś nowego — to jest to kryzys wieku średniego. Moja relacja z shuffle dance trwała miesiąc. Może było to kryzysowe, ale dało mi wszystko, czego w tamtych chwilach potrzebowałam.

I wiecie, nie wytańczyłam się jeszcze do końca.

NAUCZYCIELE

Agnieszka Dziedzic

Paradoks najważniejszych lekcji polega na tym, że o ich wielkości zwykle dowiaduję się już po ich zakończeniu. Poza tym czas jakim dysponuję moi nauczyciele jest zawsze zdecydowanie za krótki na moje potrzeby.

Kula

Kotka—dachowiec. Szara eminencja mojego dzieciństwa. Kiedy ja stawiałam pierwsze kroki i uczyłam się pierwszych słów, ona już od wielu lat była na świecie i w niej jednej miseczce maczała wąsy. Ukochana kotka Babci Celi. Ale i najzacieklejsza, najbardziej podstępna przeciwniczka w kuchennych bataliach, której to nieraz Bacia groziła pogrzebaczem: „Ja ci dam, piorunico jedna!”. Kula nauczyła mnie, że można nie rzucać się w oczy, być szarą puchatą i niepozorną kulką, a tak naprawdę rządzić całym domem. Prawdziwa moc nie miauczy, że coś jej się należy. Ona mruczy z zadowolenia już po zdobyciu tego, na co ma ochotę.

Śnieżka

Owczarka podhalańska. Nasza relacja nie trwała długo, ale do dziś widok śniegu sprawia, że myślę właśnie o niej. Najspokojniejsza, najbardziej cierpliwa istota jaką znałam. A jednak to właśnie Śnieżka pokazała, że może być spokojna i cierpliwa, ale o okrucieństwie nigdy nie będzie milczeć. Którejś zimy dzieciaki z sąsiedztwa rzucały w nią kamieniami. Nic jej nie zrobiły na szczęście. Ale już zawsze kiedy tylko spotkała te dzieci nie przestawała szczekać ostrzegawczo. Ostro, dyscyplinująco i gdzieś z głębi swojego psiego jestestwa. To była lekcja o tym, że nie trzeba się mścić i odpłacać w tej samej walucie, ale nigdy nie wolno zostawić samej siebie i przemilczeć niesprawiedliwości.

Mirmur

Elegancki, czarny jak smoła dachowiec z uroczym krawatem pod szyją. Kot, który pojawił się pewnego dnia w naszym domu nie wiadomo skąd. I pewnego dnia zniknął. Wyszedł, jak to miał w zwyczaju, ale tym razem nie wrócił. Mruczał mi najpiękniejsze kocie pieśni, więc musiał dostać najbardziej dźwięczne imię jakie tylko potrafiła wymyślić niespełna siedmioletnia dziewczynka. Nauczył mnie, że nic nie jest na zawsze, więc kiedy ktoś tak czule mruczy, to rzuć wszystko i słuchaj.

Sprinter i Tusia

Żółw i żółwiczka stepowe. Niezastąpieni nauczyciele z największą pasją walczący ze stereotypami. Uczyli mnie różnorodności, rozbudzali ciekawość świata. To obcowanie z nimi w dzieciństwie dowiodło mi, że powiedzenie “wolny jak żółw” jest absolutnie nieprawdziwe. Imię “Sprinter” nie wzięło się przecież z niczego.

Prince

Sznaucer miniaturowy, który pojawił się w naszej rodzinie, kiedy świat się nam zawalił a nowy jeszcze nie miał żadnego kształtu. Mimo niemiłosiernie upalnego lipca wszystko było wtedy w kolorze żałoby po nagłej, przedwczesnej i niezrozumiałej śmierci mojego Taty. Czy pies miał uzupełnić wyrwę nie do uzupełnienia? Nie, wątpię, żeby to był powód dla którego się u nas pojawił. Jak sobie przypominam Mamę na lekach uspokajających, to trudno mi uwierzyć, żeby miała taki plan. Jakikolwiek plan. Funkcjonowała wiele miesięcy na autopilocie.

Prini początkowo był furtką do naszego nowego świata. Ale dosyć szybko stał się całym moim światem. Nauczył, że można śmiać się nawet kiedy w szafie masz już tylko czarne ubrania i nie wierzysz w żadne jutro. Był moim nieomylnym papierkiem lakmusowym na ludzi. Wielokrotnie dawał mi takie lekcje, na które z własnej woli nigdy, przenigdy sama bym się nie zapisała. Były więc zajęcia z asertywności, z proszenia o pomoc, z odpuszczania, z wypowiadania własnego zdania, które średnio podobało się otoczeniu. A po każdej takiej lekcji musiałam przyznać mu rację, dać dodatkowy przysmak i odrobić nadgodziny z głaskania.

I jeszcze coś — pierwszego poważnego chłopaka (a aktualnie męża) też dałam Prince'owi do “przetestowania”, co było jedną z lepszych decyzji w moim życiu.

FRANKENSTEIN CZYLI MOJE MAŁE UCIECZKI

Sylwia Duda

Przebrana w niebieskie robocze spodnie, w kilka warstw odzieży, schodzę na dół, na halę magazynową. Do kasku mam przypiętą słuchawkę, która w odpowiednim momencie wita mnie:

- Nic nie mów przez kilka sekund. Powiedz zero.
- Zero.
- Jeden.
- Jeden.
- Dwa.
- Dwa.
- Witam operatora Duda Sylwia, podaj hasło.

Wybieram sobie coś z pełną baterią z żółtych wózków Jungheinrich, najlepiej ze wskaźnikiem na dwanaście roboczogodzin. I dalej lecę. Dzień za dniem, powtarzalność. Rutyna, która daje spokój i pieniądze. Mój dzień pracy.

Ale soboty to moje małe ucieczki. Już dawno obiecałam sobie, że jak czas i pieniądze pozwolą, podróżuję ile się da. Ostatnio zeszłam z gór na rzecz zwiedzania miast. Zachwycił mnie niespodziewanie Kalisz, uwielbiam wysiadać z pociągu i witać PEKiN w Warszawie. Błądzą często po poznańskiej Avenidzie — ale kocham każde z tych miejsc, każdą sytuację.

Tym razem nie mówię mężowi, jaki plan nagle w piątek przyszedł mi do głowy. Wysyłam mu tylko SMS—a: pociąg jutro o 8:05.

Dokąd jedziemy, dowie się na miejscu. W dzienniku układam zarys dnia — wpisuję godziny pociągów, otwarcia atrakcji. Dodaję adresy miejsc, do których

zajrzymy. To malutkie miasteczko, dwanaście tysięcy mieszkańców. Wszystko blisko, w centrum, piętnaście minut spacerem od dworca.

I kiedy rano czekamy na stacji Legnica Piekary, nadal nie zająknęłam się słowem, dokąd jedziemy. Mijamy znajomo brzmiące miasta: Jawor, Jaworzyna Śląska, Świdnica. W każdym już byliśmy. Teraz przywołujemy wspomnienia. O 9:41 wysiadamy na małej, prawie pustej stacji. Budynek dworca dawno nie był remontowany. Nie ma tu kas ani automatu z biletami. Jest klimat. Podróż w czasie. Mało tego, przed dworcem stoi kiosk — taki prawdziwy kiosk z gazetami i papierosami — jak dawniej.

— To teraz odwróć się i zobacz, gdzie jesteśmy — mówię mężowi przed budynkiem stacji.

— Ząbkowice Śląskie — odczytuje z dworcowej tabliczki nad wejściem.

Witamy w mieście Krzywej Wieży i Laboratorium doktora Frankensteina. Mój obowiązkowy punkt startowy to zawsze Informacja Turystyczna. Miało być przy ul. św. Wojciecha 5/1, ale nie znajduję. Za to już widzimy Krzywą Wieżę. Jej odchylenie na dziś zatrzymało się na dwóch metrach i czternastu centymetrach. Wejdziemy na nią, żeby to poczuć. Ale najpierw bilety w Izbie Pamiątek Regionalnych im. J. Glabiszewskiego.

— Poproszę bilet łączony na wszystko — deklaruje przy pełnym ulotek stoliku. Oczywiście te o Ząbkowicach mam już w rękach. Będzie wklejka do dziennika.

— Niestety, ale zamku dzisiaj państwo nie zwiedzą. Został wynajęty. Od dwunastej jest impreza motocyklowa, otwarta, można tam wejść, zobaczyć dziedziniec.

Spacerujemy po salach Izby Pamiątek Regionalnych. Najdłużej schodzi nam przy starych fotelach i ławie ustawionych przed kineskopowym telewizorem. Na ławie stoją szklanki w koszykach. Sentyment do czasów słusznie minionych.

W innej sali zaglądam do gabloty:

— Gruszka do nosa?

Turystka obok nas zaczyna się śmiać:

— Też tak pomyślałam. Miałam mówić, że to każdy ma w domu. Ale to do lewatywy.

— Ło matko, ale gafa — śmiejemy się.

Na dole pan z obsługi jakby trochę nas pogania:

— O 11:00 przewodnik będzie pod Krzywą Wieżą. Już mogą państwo tam iść.

No, a Frankenstein?! — myślę. Chcę wiedzieć, co z tym Frankensteinem w Ząbkowicach!

Posłusznie idziemy jednak pod wieżę.

Przewodnik robi nam krótkie wprowadzenie. Na pierwszym piętrze jest sala tortur.

— Wpuszczam państwa, będę szedł ostatni, a państwo tam na mnie poczekają — mówi, otwierając nam drzwi dawnej baszty. Wszyscy stoją, więc ruszam pierwsza. Za mną babeczka od gruszki.

— Pierwsze trzy osoby będą demonstrowały nam działanie narzędzi tortur — krzyczy za nami przewodnik.

O nie!

Jest zabawnie. Jest pełno historycznych ciekawostek. Przewodnik nie odklepuje nam gotowych formułek na każdym piętrze. Jest naturalny, takich lubimy najbardziej.

Na tarasie widokowym, już pod sam koniec, opowiada nam jeden z najlepszych żartów o Ząbkowicach:

— Proszę państwa, a tam — wskazuje ręką kierunek — tam leży miejscowość Zwrócona. Bo nasze miasto jest w trochę niefortunnym położeniu. Wie ktoś z państwa, pomiędzy jakimi miejscowościami leżą Ząbkowice?

— Tak — odzywa się starsza turystka — między Zwróconą a Stolcem.

Śmiech.

— Dokładnie — kontynuuje przewodnik — a wiedzą państwo, z czego kiedyś słynęła miejscowość Stolec?

Ta sama pani:

— Z wyrobów garmazeryjnych.

— Tak. I w pewnej gazecie była reklama tych zakładów mięsnych: „Najlepsza kiełbasa ze Stolca”.

Wracamy do Izby Pamiątek Regionalnych. Do Laboratorium doktora Frankensteina. Bo ja muszę wiedzieć!

Sorki, jeśli myślicie, że zdradzę wam to powiązanie miasta z gotycką opowieścią tworzenia człowieka przez człowieka. Nic z tego — zapraszam do Ząbkowic. Historia jest niesamowita, umiejętnie spleciona. Na tyle, że obok znaczka turystycznego, które zbieram, kupuję egzemplarz powieści Mary Shelley — „Frankenstein albo współczesny Prometeusz” (1818), ale to wydanie wzbogacone o trzy inne opowiadania osób towarzyszących autorce w „roku bez lata” 1816.

Idziemy na aromatyczną kawę. Zwiedzamy Rynek i podziwiamy z bliska przepiękny Ratusz, bardzo gotycki. Podziwiamy chromy na motorach z Motofrankenstein na zamku.

Jest tak, jak lubię. Widoki, smaki, klimat.

I spokój.

O 16:00 wracamy na stację. A jutro znów założę niebieski kask ze słuchawką i odezwie się do mnie znajomy głos:

— Nic nie mów przez kilka sekund. Powiedz zero...

A ja mam już plan na kolejną małą ucieczkę.

KORPO-SRORPO, CZYLI PLUSZOWE KORPOKAJDANKI

Kamila Zięba

Nic mnie tak w życiu nie wkurwia, jak wszystko. Choć ostatnio już mało co mnie denerwuje w pełnym zakresie. Nie licząc pracy, oczywiście.

Człowiek dorasta, chce zmienić świat, potem już wie, że może zmienić tylko siebie. W końcu dożywa cichej rezygnacji, bo siebie też ciężko zmienić. I zaczyna rozumieć, że tak naprawdę nic nie znaczy — to po co się spalać?

Jestem człowiekiem prostych przyjemności, lubię zjeść coś dobrego, pooglądać seriale, zagrać w totka i przez chwilę pomarzyć o wygranej. Pogłaskać kota, choć mój kot aktualnie nie żyje. Nie po to chodzę na terapię, żeby teraz myśleć, co mnie wkurza.

Za to, jak okiem sięgnąć, frustruje mnie milion drobnych rzeczy. Brudne naczynia w kuchni, bałagan w salonie, kurz — a nie, przepraszam — patyna czasu na komodach w sypialni. I że właśnie skończyło mi się masło i jeszcze podnieśli ceny benzyny.

Starość się Panu Bogu nie udała — zwykła mawiać moja fryzjerka i choć jestem antyklerykałem, to ciężko mi się nie zgodzić. Mam wrażenie, że Bogu wiele rzeczy się nie udało, ale starość w szczególności. Rodzimy się i zakładają nam pieluchy. Potem zakładamy pieluchy i umieramy. I to jeszcze jak dobry los pozwoli, a nie za młodu i w strasznym wypadku.

Od dwudziestu lat jeżdżę autem i przeżyłam kilka stłuczek (żadna nie była z mojej winy, zanim pomyślicie — baba za kółkiem). Lubię mieć kontrolę. Czuć się panią sytuacji, siebie, swojego ciała i otoczenia. Jest to, niestety, jedynie iluzja.

Miałam okazję się o tym przekonać w życiu kilka razy. Najdotkliwiej, kiedy inny kierowca skasował moje dopiero co zakupione auto, na które wydałam całe oszczędności. Miałam je dwa tygodnie i jechałam nim może trzeci raz. Trzeci

i ostatni. Analizowałam wszystko dokładnie, ale nie zrobiłam na drodze nic, żeby sięgnąć na siebie to nieszczęście. To była wina drugiego kierowcy.

Później jednak zaczęłam dociekać. Co by było, gdybym wyszła z domu o dwie sekundy wcześniej lub później, gdybym wolniej zawiązała but lub w ostatniej chwili postanowiła założyć inną bluzkę albo gdybym nie stanęła po drodze na światłach. Zrozumiałam, że żeby doszło do tego wypadku, musiało się wszystko zebrać dokładnie w tej konkretnej sekundzie. To jest właśnie wypadek, gdy o życiu i śmierci decydują sekundy, a czasem nawet ułamki sekund.

Pamiętam, jak przez pewien czas bardzo bałam się wyjść z domu, bo czułam się zagrożona i w niebezpieczeństwie, jakby niebo mogło mi spaść na głowę. Wtedy człowiek zaczyna rozumieć, że kontrola nie istnieje. Żyjemy w wygodnej bańce własnej głowy, sami się oszukując.

Podobno większość wypadków dzieje się w domu. Ile to razy spadłam ze znajomych schodów lub potknęłam się o własne graty na podłodze, ale w domu, gdy się przewrócę, to przewrócę się o swoje i na swoim terenie.

Świat na zewnątrz jest dziki i niebezpieczny. Mogą ci ukraść torebkę, wyrwać z ręki telefon, sprzedać kosę pod żebro albo opluć lub wepchnąć się do kolejki. Na co dzień nikt o tym nie myśli, bo nie moglibyśmy normalnie funkcjonować.

Wszyscy szukamy bezpieczeństwa i komfortu. Potrzeba bezpieczeństwa to jedna z podstawowych potrzeb człowieka. I bardzo słusznie.

W januszexach tego nie rozumieli. Cały czas tylko poganianie, strzelanie z bicia i faster, faster! Dziś w pracy w korpo jest inaczej. To twoja druga rodzina, wszyscy się tu lubimy, uśmiechamy do siebie, dbamy razem o segregację śmieci, mamy poprawną politykę. Nie mówimy o deadlinech i asapach, ale mamy wyznaczony termin na każdy projekt, a jeśli się nie możemy wyrobić, to trzeba spokojnie porozmawiać, co się stało. Jeśli to nie pomoże, zawsze możemy liczyć na korygujący feedback od przełożonego.

No i oczywiście darmową dobrą kawę z ekspresu, żeby po piątym strzale kofeiny jeszcze szybciej przebierać paluszkami po klawiaturce. Och, jak pięknie.

I szkolonka. Jak sobie radzić ze stresem. Na przykład, kiedy nie możemy w nocy zasnąć, a w niedzielę myśleć o niczym innym niż o pracy, która nas czeka

w biurze w poniedziałek. Oraz szkolonka, jak być asertywnym, gdy przełożony przedstawia nasz projekt jako swój (tu wszyscy parsknęli śmiechem, ale cichutko, nieważne).

Nie możesz wziąć urlopu w terminie, który ci odpowiada, bo koleżanka co roku musi mieć w tym konkretnym terminie swój urlop. Więc się dostosowujesz, no bo trzeba się dogadać. Nie idziesz do lekarza, jak źle się czujesz, bo skoro już tyle czasu dajesz radę, to jeszcze trochę wytrzymasz. No i teraz nie jest odpowiedni termin, żeby iść na L4. Przecież nie możesz zrobić tego zespołowi. Nie możesz zawieść swoich koleżanek i kolegów.

Nawet jak chcesz zmienić pracę, to najpierw czekasz na bonus za półrocze, potem na dodatek wakacyjny i świąteczny. I tak jakoś się kręci ten kołowrotek.

No i benefity też są fajne. Cieszysz się z punktów, które możesz wydać na kino lub książki, bo to jak dodatkowe kieszonkowe. I nieważne, że gdyby ci lepiej płacili, to nikt by się nie oglądał na tę stówę miesięcznie. Masz też pakiet medyczny, co prawda ciężko o termin, ale gdybyś się naprawdę rozchorował, to masz.

Trochę bezpieczeństwa i trochę komfortu. Bo już znasz ludzi i wiesz, co jest co. I ogólnie jest super. W końcu to dobra praca.

Zaraz, ale o czym ja miałam napisać? Kontrola i władza? Pluszowe korpo kajdanki. Nie, bez przesady. Nie jest tak źle, a kredyt tylko trochę uwiera.

Dobra, muszę kończyć, bo jutro trzeba wstać wcześniej do pracy.

POWRÓT DO SIEBIE

Paulina Świątecka

Nie...

Powroty. Bo do siebie trzeba wracać ciągle.

Człowiek jest tak złożoną machiną, że w czasie całego życia zmienia się wiele razy. I tak sobie myślę, że to dobrze. Gdyby człowiek się nie zmieniał, oznaczałoby, że się nie rozwija.

Mając dziesięć lat myślimy inaczej, mamy inne priorytety i zainteresowania niż mając lat dwadzieścia, a potem trzydzieści. Niektóre rzeczy w nas zostają, inne sami odrzucamy, a jeszcze inne ewoluują pod wpływem naszych doświadczeń.

Z wracaniem do siebie łączy się jeszcze inna rzecz — trzeba najpierw wiedzieć kim się jest. Nie jest to jednak tak prosta sprawa jakby się mogło wydawać. Bo jak możemy wiedzieć kim jesteśmy, skoro całe życie się rozwijamy i zmieniamy?

Ciągle uczymy się swojej tożsamości. Tego, w co wierzymy, jakie są nasze przekonania, poglądy, wartości i w jaki sposób chcemy poprowadzić nasze życie. Od samego początku, jak kawałek gliny, świat próbuje ulepić z nas kogoś. Dokładane są kolejne warstwy, perspektywy. Najpierw rodzice i najbliższa rodzina, potem szkoła i znajomi, następnie studia, praca i te wszystkie etapy dorostania i dojrzewania. Aż zaczynamy się zastanawiać kiedy jest ten moment, w którym możemy powiedzieć “tak, to jestem ja”, a nie to jak ukształtował mnie świat i otoczenie.

Najpierw myślałam, że wtedy, gdy wychodzimy z domu i usamodzielniamy się. Potem, że wtedy, kiedy zaczynamy zarabiać własne pieniądze i sami umawiamy się do lekarza. Na terapii uświadomiłam sobie jednak, że nawet wtedy możemy działać według wzorców wyniesionych z domu i wypracowanych do tego czasu mechanizmów. Okazało się, że mając trzydzieści lat, też możemy nie wiedzieć, kim tak naprawdę jesteśmy, a przede wszystkim kim chcemy być.

Dziś wydaje mi się, że to “ja”, którego tak szukamy jest prawdziwe na każdym z życiowych etapów. Nawet jeśli nasze poglądy potrafią zmienić się diametralnie w przeciągu zaledwie kilku lat.

Widzę to na własnym przykładzie. To, kim jestem i kim chce być w pewnym stopniu zmienia się z roku na rok, bo moje doświadczenia się zmieniają, a wiedza na różne tematy staje się bogatsza. Są we mnie natomiast takie elementy, które nawet pomimo upływu lat nie ulegają większym zmianom. Są również takie, które jak niesforne nitki odstawały od obrazu. Kiedy jednak próbowałam je wyciągnąć, okazało się, że wcale nie chce się ich pozbywać.

Pochodzę z Podlasia, wychowałam się na wsi, wśród katolicko—wioskowego podejścia. Kiedy miałam dwadzieścia trzy lata bardzo chciałam do dwudziestego piątego roku życia wyjść za mąż i max do dwudziestego szóstego urodzić pierwsze dziecko. Odczuwałam ogromną potrzebę posiadania dzieci, bo mama mi powtarzała:

—dziecko to najlepsze, co Cię może w życiu spotkać.

Za mąż wyszłam w wieku dwudziestu dziewięciu lat. A jeszcze do niedawna czułam, że jednak nie chcę dzieci, że bez nich jest łatwiej, przyjemniej. Miałam też myśli, że po co sprowadzać dzieci na świat pełen bólu, samotności i pogoni za pieniądzem. Od niedawna zaczęło mi się znów zmieniać. Czuję gdzieś pod skórą, że jednak chciałabym być mamą. Chciałabym pokazać swojemu dziecku, że świat nie jest tylko straszny, zły i pełen cierpienia. Chciałabym mu pokazać, że można patrzeć inaczej i we wszystkim znaleźć szczęście. Mam wrażenie, że tym razem ta chęć posiadania dziecka jest bardziej moja. Bardziej świadoma. Dojrzała.

A te trzy różne przekonania? To jestem ja. W innym wieku, z innym bagażem doświadczeń i każda z nich jest prawdziwa. Na każdym z tych etapów równie mocno i żarliwie wierzyłam w swoje przekonania.

I nawet jeśli chciałabym wrócić do którejś z poprzednich wersji siebie, nie jestem w stanie zrobić tego w pełni. Nie da się cofnąć czasu, zapomnieć tego, co się przeżyło, ani anulować decyzji, które się podjęło. Mogę odzyskać pewne części tamtej siebie, ale nigdy nie będę już dokładnie tą samą osobą. Wszystko, co wydarzyło się po drodze, jest już częścią mnie.

W tym momencie pewnie zastanawiasz się, jakim więc cudem mamy ciągle wracać do siebie.

A no właśnie takim — ciągle się rozwijając. Zadając sobie non stop pytania, dosłownie grzebiąc w naszych emocjach, przeżyciach i myślach. Łapiąc te nitki, które gdzieś odstają i wygładzać je, wplatając z powrotem do obrazu siebie, który gdzieś majaczy nam w sercu. A im dłużej o tym myślę tym bardziej jestem przekonana, że my wcale nie wracamy do siebie.

My siebie tworzymy.

Nieustannie.

Przez nasze myśli, przez to co i w jaki sposób do siebie mówimy. Przez nasze czyny, wybory, a nawet przez ich brak. I to nie jest tak, że jest jakaś jedna, jedyna, prawdziwa wersja nas. Nie. Wszystkie te wersje są prawdziwe. Ba, one są potrzebne. Dzięki nim, jesteśmy dziś takie jakie jesteśmy.

Dlatego bądźmy wyrozumiałe dla naszych wcześniejszych wersji, one nie wiedziały tego, co wiemy dzisiaj.

I nie przestawajmy się rozwijać. Pytajmy wciąż siebie jaka chciałabym być, jaką chciałabym siebie stworzyć. Czerpmy pełnymi garściami z wcześniejszych wersji. Inspirujmy się.

Jeśli kiedyś śpiewałaś i sprawiało Ci to przyjemność, zacznij znów śpiewać. Jeśli w którejś z poprzednich wersji byłaś bardziej odważna i znów chciałabyś być, możesz już dzisiaj zacząć siebie taką tworzyć.

I tak, czasami będzie ciężko, bo trzeba wygrzebać się z bagien przeszłości, zbić skorupę, zeszkrobać wiele warstw zaschniętej gliny i pozwolić, by deszcz swobodnie spływał po włosach, twarzy i nagim ciele. Nierzadko mieszając się ze łzami.

Jednak jeśli już otworzysz się na tę chwilę wolności, będziesz mogła odetchnąć pełną piersią. Będziesz mogła tworzyć, wracać, rozbijać i sklejać siebie na nowo. Bo mimo tego, że świat próbował z nas kogoś ulepić, ten kawałek gliny leży też i w naszych rękach.

Jesteśmy cholernie plastyczne, wiesz? Spróbuj!

JĘZYK JAKO ZAMKNIĘTA PRAKTYKA

Anna Krasińska

Kiedy byłam mała kaszubski jeszcze nie był wpisany na listę zagrożonych języków UNESCO. Słyszałam go na ulicy, w szkole, w kolejce do lekarza. Mówiła nim sąsiadka, koleżanki z klasy, moi dziadkowie, ciotki, kuzyni i oczywiście mój ojciec. Tylko nigdy ze mną i nigdy do mnie.

Jest nas więcej, ludzi, którzy rozumieją wszystko, czasem nawet potrafią czytać, ale nigdy nie rozmawiali z nikim po kaszubsku.

Mamy też podobne wspomnienia: stoję przed drzwiami salonu, lub kuchni. W środku siedzą moi bliscy, ci którym wolno mówić po kaszubsku. Nasłuchuję. Babcia zdaje relację z ostatniego pogrzebu, może ciotka plotkuje o sąsiadce. Kiedy tylko przekroczę próg i ktoś z nich mnie zauważy to bez porozumiewania się między sobą, czasem nawet w pół zdania, przejdą na polski.

Kaszubski, do niedawna był jednym z tych języków, którego nie można się nauczyć, a to kto może się nim posługiwać podlegało ścisłej kontroli. Nie pamiętam, żeby ktoś powiedział mi wprost, że mi nie wolno, ale do dziś, kiedy pojawia się u mnie na końcu języka zdanie po kaszubsku, w głowie słyszę: „Jeśli masz kaleczyć, lepiej żebyś nie mówiła wcale”.

A to wszystko było po to żeby zachować to co dla Kaszubów najcenniejsze: prawdziwy żywy język, żeby go nie oddać obcym. Nawet jeśli to oznaczało za obcą uznać swoją własną córkę.

W zeszłym roku po raz pierwszy usłyszałam publicznie kogoś kto mówi po kaszubsku z obcym akcentem, popełniając przy tym błędy. Pomyślcie jakie to dziwne: mam czterdzieści pięć lat i po raz pierwszy usłyszałam jak brzmi mój język ojczysty w ustach osoby, która się go dopiero uczy. A to wszystko dzięki temu, że

młodym ludziom, którzy szukają drogi do swoich korzeni nikt nie zdążył powiedzieć, że nie wolno, i że „Jak masz kaleczyć, lepiej żebyś nie mówił wcale”.

Myślę ostatnio dużo o tym jaką władzę nade mną miały te słowa przez całe moje życie. I mam nadzieję, że kiedyś uda mi się je odczarować.

Jeśli chcesz, żeby Twój tekst ukazał się w kolejnej antologii
dołącz do wyzwania "Nie mogę, bo piszę".

Aleks ♡♡